




JOSEPH CONRAD
PISM WYBRANYCH
TOM I





JÓZEF / CONRAD / KO
RZENIOWSKI / PISMA /
WYBRANE / Z / PRZED
MOWĄ / STEFANA / ŻE
ROMSKIEGO

TOM I
FANTAZJA ALMAYERA

JÓZEF/CONRAD/KO
RZENIOWSKI/FANTA
ZJA/ALMAYERA/
ALMAYER'S/FOLLY/PO
WIEŚĆ/O/WSCHODNIEJ/
RZECIE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-33, 26-32-31 w. 42

WARSZAWA
TOW. WYDAWNICZE „IGNIS” S. A.

Z upoważnienia autora tłumaczyła z angielskiego
A N I E Ł A Z A G Ó R S K A

Zdobił graficznie T. Gronowski

Odbito 5200 egz. w druk.

L. Bogusławskiego

w Warszawie

1923

4126







<http://rcin.org.pl>

y
e
r
t
z
t
v
e
l
l
l
e

JOSEPH CONRAD

<http://rcin.org.pl>

I

W jednej z nowel, malujących przygody marynarzy francuskich w czasie wojny ostatniej, Klaudjusz Farrère opisuje szczególny wypadek palacza okrętowego, który sam jeno z całej załogi ocalał po uderzeniu pancernika torpedą. Gdy wszyscy znajdujący się na pokładzie, przy armatach, masztach i maszynach w górnym przedziale statku szli wraz z nim pod wodę, jeden z palaczy od ognisk, z samego dna kadłuba okrętu, pchnięty i porwany z miejsca przez potężny strumień, który runął w otwór, wyrwany od pocisku torpedy, — rzucony w przesmyki klatek schodowych, w hale maszyn, w pustki wentylów, — tłukąc się od ścian do ścian, od burtu do burtu, — na kłębach masy wodnej, jak fontanna tryskającej z dołu w górę wszystkimi przejściami, — wymięciony został z dna na pokład, a gdy ten znikł pod falami, znalazł się wśród bałwanów wolnego morza, skąd go zdrowego na ciele i umyśle obcy wyłowili ludzie i odwieźli ku szczęśliwego życia wybrzeżom.

Ten napoły nieprawdopodobny, niemal cudowny wypadek francuskiego żeglarza przychodzi na myśl, gdy się rozważa koleje życia, przygody i dzisiejsze stanowisko znakomitego pisarza Anglii współczesnej, Josepha Conrada.

I on, skazany od najwcześniejszego dzieciństwa na pobyt w otchłani moskiewskiego odmetu, pędził dni na zatraconym, najostatniejszym dniu nawy polskiego niezależnego bytu pospołu z ojcem i matką, nie mając żadnej nadziei, ażeby się z owych piekieł istnienia kiedykolwiek mógł wyrwać.

Apollo Korzeniowski, ojciec Josepha Conrada, był jednym z palaczy ducha polskiego, jednym z „zapaleńców“, jednym z „podżegaczy“ wybuchu powstania w roku 1863-im. Szwagier jego, Tadeusz Bobrowski, w znanych „Pamiętnikach“, wydanych przez Włodzimierza Spasowicza (Lwów 1900), tak opisuje te sprawy:

„Pierwszą ofiarą został mój szwagier Korzeniowski, który zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam, pozornie dla zajęć literackich, ogłosiwszy nawet prenumeratę na pismo miesięczne „Słowo“ w rodzaju „Revue des deux mondes“, wybitnie w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 roku aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisję, której prezesem był pułkownik Roźnow, niegdyś kolega mego brata Stanisława z pułku huzarów grodzieńskiego, a następnie gubernator warszawski. Ten specjalnym względem koleżeństwa z naszym bratem przypisywał, że Korzeniowski osądzony został „tylko“ na mieszkanie w oddalonych guberniach. Prosił on sam o zesłanie do Permu, gdzie gubernatorem był szkolny jego kolega i przyjaciel szkolny Łaszkarew, lecz ten, dowiedziawszy się o wysłaniu Korzeniowskiego do zarządzanej przez się gubernii, prosił, aby go od niego uwolniono. Dojeżdżających więc już prawie do Permu Korzeniowskich (bo mu żona z czteroletnim synkiem towarzyszyła), zwrócono i posłano do Wołogdy, gdzie gubernatorem był zacny białorusin Cho-

miński (były marszałek szlachty jednego z powiatów gubernji mohylowskiej), który obowiązki stanowiska z ludzkością godzić umiał. W drodze, na przedostatniej przed Moskwą stacji, rozchorował się Korzeniowski synek, a gdy eskortujący ich żandarmi zatrzymania się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakiś ludzki podróżny, jadący do Moskwy, przyrzekł im posłać lekarza, a Korzeniowski, przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego dra Młodzianowskiego, profesora uniwersytetu, który był kiedyś jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem owego uczynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadjechał zacny eskulap i odratował dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu, a posiadając rozległe w Moskwie stosunki, wyrobił kilkodniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło. Dalej znowu, dojeżdżając do Niżnego Nowgorodu, siostra moja tak z sił spadła, że żandarmi ją z powozu wynosili i wnosili, a jednak koniecznego odpoczynku odmawiali uparcie. Na stacji pocztowej w Niżnym jakiś przejeżdżający oficer gwardji, oburzony bezwzględnością żandarmów i grubijaństwem ich obchodzenia się z eskortowanymi, jak również nieuwzględnieniem własnych jego uwag, zawrócił do miasta i dał znać miejscowemu gubernatorowi i pułkownikowi żandarmów o tem, czego był świadkiem. Pułkownik żandarmów, jako bezpośredni naczelnik eskortujących, niezwłocznie przybył na stację i dalszą podróż powstrzymał... W Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22-ą, a ich synek 23-ą osobą, składającą ówczesną kolonję polską w Wołogdzie, a jakkolwiek pobyt tam był zupełnie znośny pod względem obchodzenia się władz, klimat brał swoje. Prawie wszyscy mężczyźni chorowali na skor-

but, siostra moja i jej synek, acz wolni od niego, w upadku sił wpływ niezdrowego klimatu i odmiennego sposobu życia odczuwali“.

Należałoby tutaj przytoczyć cały szereg szczegółów o p. Ewie z Bobrowskich Korzeniowskiej, które widnieją na stronicach „Pamiętników“ jej brata, gdyż te uwagi i wzmianki wysuwają przed nasze oczy postać wysokiej wartości moralnej, wyraźny w swem dostojeństwie typ owoczesnej kultury narodowej, — lecz szczupłość miejsca na to nie pozwala. Należałoby również podać podobiznę dobrowolnej wygnanki, reprodukcję jednej z tych przedziwnie wyrażnych, starych fotografii powstańczych, która przechodzić musiała przez setki rąk żandarmskich, obraz uroczej postaci, w której wszystko jest samem pięknem, ocienionem aureolą gorzkiego losu. Z miłości oddawszy rękę poecie, „wieloletniemu wielbicielowi Apollonowi Korzeniowskiemu, dla którego wszelkie starania innych od pierwszego kroku odsuwała“, poszła za nim na kraj świata i aż do owego dołu wygnańczego w ziemi dalekiej. Zabiła Moskwa tego barwistego motyla. Że Apollo Korzeniowski zasługiwał na miłość, wiemy to dziś z jego pism i z jego życia. Oto w przygodnym wierszu na ślub szwagra, Tadeusza Bobrowskiego, za czasów jeszcze złotej i bujnej wokół wolności, taki dźwięk w czasie uczty weselnej daje się słyszeć:

„Za wasze szczęście płacić Bogu trzeba!
Myślcie w swym domu, że tylu bez domu,
I łamiąc chleb wasz, że tylu bez chleba“...

Przykuły do miejsca swego wygnania, zdala od krwawej tragedji roku 1863-go, po latach, w których ciągu utracił żonę, pisał w roku 1866 do krewnych w kraju te słowa

tak proste i pokorne, jakby były dalszym ciągiem księgi Pielgrzymstwa Polskiego, brzmiące w naszym uchu, jako najistotniejszy wyraz i najgłębszy ton tego przekłętego czasu:

„Jeżeli gdzie jest uśmiech u nas, niech wam zabłyśnie; niech łzy nie wypalają wam serc, lecz ulgą bolejącym duszom się staną. Niech ten rok nowy, nie wiem już który niewymownych smutków i boleści, — nowych wam nie przynosi i pozwoli przynajmniej w świętem utęsknieniu i ciszy miłować czynnie tych, co dalecy i tych, co śpią po grobach, a żyją w miłosierdziu bożem. Przebyłem te ciężkie, okropne dni najlepszych, najświętszych wspomnień, przeżyłem nie moją, lecz bożą siłą. Zapewne nigdy nie cierpiałem, ani mogę tyle cierpieć, co cierpiał Zbawiciel nasz, ale też człowiek tylko. Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tem krzepiłem omdlewającą duszę, mącące się myśli. Przeszły dni święte katuszy i wstałem do codziennego życia trochę więcej złamany, ale dyszący, żywy. A i sierota za poję mię trzyma, uciec od troski o niego niepodobna. To też żyję, moi drodzy, i kocham, co mi pozostało do kochania, także silnie, jak dawniej, tylko że dawniej dla przedmiotów mej miłości mogłem coś dać, poświęcić, a dziś nic już nie mam. Cobym uczynił już w życiu, ani poświęcenia, ani ofiary być w tem nie może, bo nie mam co poświęcać i w ofierze złożyć. Smutny to los człowieka, dla którego zamykają się te dwie jedyne drogi, godności obrazu i podobieństwa Boga, ale taka jest wola Opatrzności. Drogi wasz list odczytuję sobie, gdy mię dławią gorycze i posmutnieję nie dumną rozpaczą, a jakimś bożym smutkiem, — łzy popłyną, na ich zdroju myśl — i spokojniejszy trochę znów biorę się do tego życia, które, jak na dziś, zasklepione w jednym Konradku. Uczę go, co sam umiem, — niestety, to niewiele, strzegę go od wpływów

tutejszej atmosfery i malec wychowuje się, jak w celi klasztornej; grób naszej Niezapomnianej zastępuje nam zakonnicze *memento mori*, a posty, włosiennice i smagania przychodzą ku nam z każdym listem od Wschodu i Zachodu, od Północy i Południa. Trzęsiemy się zimnem, mrzemy głodem, targamy się w nędzy bliźnich — braci, a modlitwa. Bóg widzi, ledwo parę słów o nas zawiera. Położenie miejsca mego pobytu jest jakby z jednej strony pod zaryglowanymi drzwiami, za którymi najdroższa istota kona, a my nawet śmiertelnego potu z jej czoła otrzeć nie możemy; z drugiej strony otwarte podwoje, w które wejść nie można, ale przez które patrzeć możemy na to, co Dante — nie opisał, bo w przerażonej we wszelkie grozy, ale chrześcijańskiej duszy nie mógł mieć widzeń nieludzkich. To nasze życie". („Tygodnik Ilustrowany“ z d. 15 maja 1920).

Dno bytu. Samotny palacz sprawy przegranej, arki, skazanej na zagładę, nie wie nawet, czy statek stacza jeszcze bitwę, czy już dostał cios ostateczny, czy już tonie.

A gdy spoglądamy dziś na szeregi znakomitych pism małego ongi „Konradka“ z Wołogdy, dziecięcia nietylko cieleśnie wyhodowanego, lecz płodu duszy, w którym „zasklepiło się życie“, idei umiłowanej, który kołysały wiersze wygnańczej poezji, siostry jedynej, — na powodzenie tych obrazów wolnego świata, gdzie widać lądy i morza kuli ziemskiej, typy wszelakich człowieczych ras, splecione w przygody, dokonane z tej i tamtej strony równika w poszukiwaniu po tajemniczych szlakach oceanu myśli istotnej o rodzaju ludzkim, — pism, czytanych z upodobaniem przez wszystkie inteligencje cywilizacji, — to w istocie te dzieje przypominają cudowną przygodę francuskiego marynarza z noweli Farrera.

Richard Curle w obszernej pracy biograficznej p. t. „Joseph Conrad's study“ (London 1914), korzystając z informacji samego autora, taki podaje życiorys, którego w żadnym źródle polskim niepodobna znaleźć: „Teodor Józef Konrad Korzeniowski urodził się na Ukrainie dnia 6 grudnia 1857 roku“ (zapewne w Łuczyńcu na Podolu, gdzie Apollo Korzeniowski zarządzał majątkiem Melanji z Uruskich Sobańskiej, matki jego przyjaciela, Aleksandra Sobańskiego). „W roku 1861 wywieziony został do Warszawy przez rodziców, którzy się tam udali. Ojciec, zamieszany w sprawy powstańcze, wygnany został do Wołogdy, a żona i syn podążyli za nim. W roku 1865 matka Conrada umarła, a ojciec wysłał dziecko do wuja (Tadeusza Bobrowskiego), „o którym świetny pisarz wspomina w „Some Reminiscences“. Był to szczęśliwy okres dzieciństwa“ (w Kazimierówce, której życie z całą plastyką odmalowane zostało w „Pamiętnikach“ T. Bobrowskiego). „W roku 1868 ojciec Conrada uwolniony został z zesłania i podążył do Krakowa, zabierając syna ze sobą. W roku 1870 Apollo Korzeniowski umarł w Krakowie“. Tutaj biografa angielskiego wyłącza sam autor, dając opis śmierci ojca. We wspomnieniu wycieczki do Polski, odbytej w roku 1914 p. t. „Poland revisited“, drukowanym najprzód w „Daily News“ (1914), a następnie umieszczonym w zbiorze ogólnym „Notes on Life and Letters by Joseph Conrad“ (London 1921) znajdujemy szczegóły, które tu podaję w przekładzie:

„Kraków—to miasto, gdzie spędziłem z ojcem ostatnie ośm miesięcy jego życia. Tam, w tym starym królewskim i akademickim grodzie, przestałem być dzieckiem i przedzierzgnąłem się w młodzieńca, zawarłem przyjazne związki, powziąłem pierwsze uwielbienia, myśli i oburzenia tego wieku. Wśród tych historycznych murów zacząłem rozumieć

istotę spraw, kształtować swe uczucia, gromadzić obfitość wspomnień i zapas wrażeń, z których pomocą przedsięwzię-
łem gwałtowne zerwanie, rzucając się w byt zgoła niezale-
żny" (str. 195).

Przybywszy do Krakowa w lecie 1914 roku, po czter-
dziestu latach niebytności, autor w towarzystwie swego star-
szego syna późno w nocy, natychmiast po przyjeździe wy-
chodzi na miasto. Stary gród, opustoszały o tej porze, zala-
ny jest światłem księżyca. Same nogi niosą przychodnia
w wąskie zaułki, znajome z lat dzieciństwa. Tam oto, w trze-
cim domu od bramy Florjańskiej wstępował na schody szko-
ły początkowej, tam kroczył z książkami pod pachą. Są to
wspomnienia:

„Było to w ciągu miesięcy zimowych 1868 roku. Co
dnia o godzinie ósmej rano, w pogodę czy śnieżycę kroczy-
łem wzdłuż ulicy Florjańskiej. Tę moją pierwszą szkołę
bardzo słabo pamiętam. Jeden z moich współcierpiętników
owoczesnych w tejże uczelni jest dziś wysoce cenionym wy-
dawcą dokumentów historycznych. Co do mnie, nie martwi-
łem się zbytnio z racji rozmaitych niedomagań mej szkoły.
Byłem raczej obojętnym wobec wynikających stamtąd kłó-
potów. Miałem wówczas własnego czerwia, przegryzającego
me wewnątrz. Codzień wieczorem, o godzinie siódmej, opu-
ściwszy też ulicę Florjańską, kierowałem swe kroki w stronę
starego i ciężkiego domu w zacisznej, ciasnej ulicy, po dru-
giej stronie i w znacznej już odległości od Marjackiego Pla-
cu. Tam, w dużym, pustym salonie z ciężkimi gzemsami
i wysokim sufitem, wśród maleńkiej oazy światła, rzuconej
przez dwie świece w pustyni mroku, zasiadałem przy ma-
łym stoliku, ażeby zamęczać się odrabianiem zadań i mazać
atramentem. Stolik moich znojów stał nawprost wysokich,
białych drzwi, stale zamkniętych; czasami te drzwi półtuchy-

łały się i wówczas zakonnica w białym kornecie ukazywała się wraz z ich skrzypnięciem, sunęła wpoprzek sali i znikła. Były takie dwie pielęgniarki. Głosy ich rzadko można było słyszeć. Ale o czymże to, w istocie, miały mówić? Jeżeli zwracały się do mnie, to z ich ledwo poruszających się warg sływał klasztorny, wyraźny szept. Nasze sprawy domowe prowadziła podstarzała gospodyni sąsiada z drugiego piętra, kanonika katedralnego, użyczona nam w nagłej potrzebie. Ta także mówiła bardzo rzadko. Ubierała się w czarne suknie, a krzyż na łańcuchu zwisał z jej sutego łona. A chociaż, gdy przemawiała, wargi jej poruszały się nieco żywiej, niż u zakonnicy, nigdy jednak nie podnosiła skali głosu ponad nuty brzmące, niby spokojny szept. Powietrze dokoła mnie pełne było nabożeństwa, rezygnacji i milczenia. Nie wiem, co by się było ze mną stało, gdyby nie to, że byłem chłopcem lubiącym czytać. Po skończeniu zadań nie miałbym być nic a nic do robienia, tylko siedzieć i wsłuchiwać się w ciszę, która budziła zgrozę, wynikając z pokoju chorego, poprzez zamknięte drzwi i zimnem przejmowała me przerażone serce. Przypuszczam, że na tej jałowej drodze udręczenia doszedłbym był do pomieszania zmysłów. Ale byłem chłopcem lubiącym czytać. Dokoła było mnóstwo książek, leżących na konsolach, na stołach, a nawet na ziemi, gdyż nie mieliśmy czasu na ich uprzątnięcie. Czytałem! I czegoż to nie wchłonałem wówczas! Kiedyniekiedy starsza z zakonnicy, przemykając się obok i rzuciwszy nieufne spojrzenie na rozłożone stronicę, kładzie, bywało, zlekka rękę na mej głowie i poszeptnie z powątpiewającym szemranem: — Czy to dobrze, żebyś ty czytał te książki!... Spoglądałem w milczeniu na jej oblicze, dopóki z nieokreślonym gestem poniechania tej sprawy nie przesunęła się dalej. Późnym wieczorem pozwalano mi, — ale nie zawsze,—

wejść na palcach do pokoju chorego, ażeby powiedzieć dobra-noc złożonej na pościeli postaci, która częstokroć świadomość o mej obecności mogła zaznaczyć jedynie przez powolne skinienie oczyma, — złożyć powinny pocałunek na ręce bezsilnej, leżącej na kołdrze, i znowu na palcach coprędezej wychodzić. Wówczas mogłem już udać się do łóżka w pokoju położonym na końcu korytarza i często, — choć nie zawsze, — samotnie szlochać wśród dobrych i głębokich snów. Spoglądałem na to, co nadchodziło, z niewiarogodnym przerażeniem. Nieraz udawało mi się odwracać oczy od tej zgrozy, ale naogół w tym czasie miałem pełnię uczucia o nadciągającej katastrofie. Przeżywałem również godziny buntu, które wydzierały ze mnie prostą ufność w zarządzenia Opatrzności. Ale gdy nieunikniona godzina nadeszła, białe drzwi roztwarło i pustką na mnie zionął pokój chorego, nie znalazłem w sobie ani jednej łzy do wylania. Mam podejrzenie, że gospodyni kanonika patrzyła wtedy na mnie, jako na najbardziej nieczulą zakałę tej ziemi. Dzień pogrzebu nadszedł we właściwym terminie i oto wszystka szlachetna „Młódź szkolna“, uroczysty senat uniwersytecki, delegacje cechów mogły były ustalić (gdyby tego zechciały), *de visu* oczywistość zatwardziałości małego zbrodniarza. W mej bolesnej głowie zostało nieco głupich sentencyj, jak ta: „Stało się!“, albo — „Dokonało się!“ (po polsku brzmi to krócej, niż po angielsku), czy coś jeszcze w tym rodzaju, powtarzane bez końca. Długa procesja wysunęła się z wąskiej uliczki, szła wzdłuż innej, długiej i szerokiej, kierując się ku gotyckiemu frontowi kościoła Panny Marji, popod nierówne jego wieże i ku Florjańskiej Bramie. W ciszy i w świetle księżyca, zalewajacem stary gród sławnych grobów i tragicznych wspomnień mogłem również ujrzeć małego chłopczykę z tamtego dnia, jak kroczy za ka-

rawanem; otworzyła się znowu przedemną ta przestrzeń czy-
sta, w której szedłem sam jeden, świadomy niezmiernono-
ści następstw wahania się tej przedemną czarnej maszyny,
kleru w komżach, wznoszącego pienia na przedzie pocho-
du, płomieni świec, przeciągających pod niskim łukiem bra-
my, szeregów obnażonych głów z oczyma utkwionymi w zie-
mi. Połowę ludności miasta wyciągnęło było to piękne po-
południe majowe. Ci nie przyszli, aby uczcić to wielkie do-
pełnienie powinności, ani nawet to dostojne bankructwo.
Zmarły i świadomi z tłumu były to dwie ofiary losu, jedna-
kowo nieugiętego. Tylko że jego los ściał i odrzucił, gdy
o kilka stał kroków od sławy i uznania zasługi. Oni zaś
przyszli oddać honory jedynie płomiennej wierności czło-
wieka, którego życie było nieustraszonem wyznaniem w sło-
wie i czynie wiary, dostępnej do pojęcia i odczucia dla naj-
prostszej duszy w tej ciżbie. Wydawało mi się, że gdybym
dłużej pozostał tam, w tej wąskiej ulicy, mógłbym się stać
bezradnym łupem cieniów, które wywołałem. Nawisły nade-
mną tajemnicze i natarczywe w tem lepkiem powietrzu gro-
bów, o posmaku prochu, goryczy i nicości starych nadziei“.
(Str. 227).

Opuszczając liczne, a niezmiernie charakterystyczne
uwagi i wyznania autora, rozrzucone w wymienionym arty-
kule, należy wrócić do głównej linii życiorysu, uwidocznio-
nej w pracy Richarda Curle'a. Powiada on, iż po śmierci oj-
ca mały sierota uczęszczał w Krakowie do gimnazjum świę-
tej Anny w ciągu lat czterech, czyli do roku 1874. Pozosta-
wał wówczas pod opieką przewodnika, który nań dość głą-
boko oddziaływał, a według zaświadczenia w „Some Remi-
niscences“, był człowiekiem wybitnej wartości. Kierownik
ów był przeciwnikiem stanowczej decyzji wychowawca po-
święcenia się służbie marynarskiej, staczał z nim dyskusje,

lecz przekonawszy się, że postanowienie młodzieńca jest niezłomne, zaniechał sprzeciwu. „Joseph Conrad”, — mówi Richard Curle, — „wychowany w kraju bez pobrzeża morskigo, nie umiejac języka angielskiego, (aczkolwiek czytał sporo co znamienitszych utworów literackich angielskich w przekładzie swego ojca), postanowił nieodwołalnie, iż musi być angielskim marynarzem na statku handlowym. Od tej myśli nic go odwieść nie mogło. W roku 1874 wyruszył ku morzu. Marsylja stała się jego „j u m p i n g - o f - g r o u n d”. W ciągu trzech lat pływał na rozmaitych statkach po morzu Śródziemnem, doznając wielorakich przygód; dwukrotnie był w Indjach. Dopiero w roku 1878 po raz pierwszy wylądował w porcie Lowestoft i stanął na ziemi angielskiej. Do tego czasu nie władał językiem angielskim, chociaż uczył się tego języka gdzie tylko mógł, nawet od budowniczych statków i cieśli, umiejących nieco po francusku. W ciągu pięciu miesięcy służył na pokładzie pobrzejnego statku „The Skimmer of the Sea”, który krążył między portem Lowestott i Newcastle. W październiku 1878 roku przystał do załogi statku „Duke of Sutherland”, płynącego do Australji, jako zwyczajny majtek. Wszyscy marynarze tego parowca byli Anglikami, z wyjątkiem Josepha Conrada, jednego Norwega, dwu Amerykanów i murzyna Kitts'a, zwanego James Wait, którego imię w dwanaście lat później nosić będzie murzyn z załogi „Narcissus”. W ciągu dwudziestu lat, to znaczy do roku 1894, gdy ostatecznie na wybrzeża powrócił, życie Josepha Conrada było normalną karierą angielskiego marynarza. W roku 1879 jest on już *second mate*, a w roku 1884 przyjmuje poddaństwo angielskie, naturalizuje się i otrzymuje stopień *Master in the English Merchant Service*. W roku 1890 jeździł na Ukrainę

do wuja Tadeusza Bobrowskiego, a w roku 1894, roku śmierci tego krewnego, udał się tam powtórnie. Po powrocie na ląd i ożenieniu się z Angielką, mieszka pod Londynem, zajęty pracami literackimi i wychowaniem dwu synów. W ciągu swego życia na morzu pływał na rozmaitych statkach, jako to — „Loch-Etive“, „Palestine“, „Riversdale“, „Narcissus“, „John P. Best“, „Tilkhurst“, „Falkonhurst“, „Highland Forest“, „Vidar“, „Otago“, „Roi de Belges“, „Torrens“, „Adowa“. Każdy z tych statków, a raczej żywot każdego z nich, — jego dzieje, przeżycia, niszczące burze i dni radości, — ma swój udział w twórczości pisarza, widnieje w jego utworach. Niektóre, jak „Narcissus“ widnieją w całej swej pełni.

II

Po opuszczeniu morza na zawsze w roku 1894, „*Master*“, który w ciągu okrągłych dwudziestu lat kołysał się na fali, nie wiedział, co ma począć ze sobą na lądzie. Miał napisaną dawniej, bo jeszcze w roku 1889 powieść p. t. „*Almayer's Folly*“. Posłał tedy ów utwór na ręce Edwarda Garnett'a. Po kilku miesiącach wyczekiwania rzecz została przyjęta do druku. I oto, wraz z ogłoszeniem tego utworu w roku 1895, na targowisku literackim angielskim zjawił się nowy pisarz, który zajął wkrótce jedno z najwybitniejszych stanowisk. Ukazują się tedy kolejno „*An Outcast of the Islands*“ (w r. 1896), sprawa, poprzedzająca właściwie „*Almayera*“, gdyż dokonywuje się na wiele lat przed tamtą historją w tejże okolicy nad rzeką Pantai i wśród tej samej czeredy osób. Wkrótce potem, w roku 1898 wyszedł sławny „*The Nigger of the „Narcissus*“, oraz w tymże roku zbiór nowel p. t. „*Tales of Unrest*“, zawierający następujące utwory: „*Karain*“, „*The Idiots*“, „*An Outpost of Progress*“, „*The Return*“ i „*The Lagoon*“. W roku 1900 wyszedł „*Lord Jim*“, w roku 1902 zbiór p. t. „*Youth*“, zawierający trzy no-

wele: „Youth“, „Heart of Darkness“ i „The End of the Tether“. W roku 1903 ukazał się świetny utwór p. t. „Nostromo“, zbiór nowel p. t. „Typhoon“, złożony z utworów — „Typhoon“, „Amy Foster“, „Falk“ i „To-morrow“, oraz „Romance“, pisany do spółki z Ford Huefferem. Potem następują „The Secret Agent“ (1907), „A set of six“ (1908), złożone ze sześciu nowel — „Gaspar Ruiz“, „The Informer“, „The Brute“, „An Anarchist“, „The Duel“, „Il Conde“, w roku 1911 „Under Western Eyes“, w roku 1912 „Twixt Land and Sea“, zawierające nowele — „A Smile of Fortune“, „The Secret Sharer“ i „Freya of the Seven Islands“, wreszcie w r. 1914 powieść p. t. „Chance“. W czasie wojny wyszły niesłychanie poczytne utwory: „Victory“, „Shadow Line“, „The Arrow of Gold“ i „Rescue“. Poza tą kolekcją beletrystyczną ukazały się nadto dwa zbiory niejako autobiograficzne: w roku 1906 „The Mirror of the Sea“, a w roku 1912 „Some Reminiscences“, wreszcie w roku 1921 zbiór artykułów, wspomnień i ocen p. t. „Notes on Life and Letters“.

Ktokolwiek pragnie zapoznać się z twórczością tego pisarza, winien, według mnie, zacząć od „The Mirror of the Sea“. Jest to w istocie Zwierciadło morza, podobne w swej dokładności, w niezrównanej precyzji odtworzenia wszystkiego, co na morzu postrzec się daje, do lustra, umieszczonego na dnie tuby periskopu łodzi podwodnej. Widać w niem cały widnokrąg tak dalece, iż oko spokojnie obserwujące może mieć w sobie wszystkie ocean, a nawet te jego części, które leżą poza oczami, bo w tyle głowy obserwatora. Joseph Conrad nadewszystko kocha statek, ów doskonały produkt cywilizacji, wymysł i dzieło pracowitego człowieka, który na nieobeszłym oceanie i wśród najstraszliwszej burzy, gdy niszcząca moc żywiołów przechodzi wszystko, co

o nich wyrzecby można, założył sobie, jakgdyby bezpieczny dom i spokojnie nad przepaścią zasypia. Tyle statków mając w życiu pod stopą, zna on je nawskroś, starych przyjaciół, i odróżnia jeden od drugiego, jakoby istoty żywe, mające w sobie duszę. — „Okrety!“ — woła stary oficer marynarki, ujrzawszy szereg parowców w głębi portu. W tym okrzyku maluje się i streszcza całe marynarskie życie. Monstra te są istotami napoły żyjącemi, mają swe indywidualne cechy niemal, jak ludzie. Jedne z nich noszą nad niezmiernymi głębiami potęgę, bohaterstwo, szlachetność i zdolność do męczeństwa, inne — są to komiczne figury, błaznujące na wodach, inne wreszcie — to zwyczajne ryfy, jak ludzie, obdarzeni sprytem i uporem. Od niezrównanych opisów portów, ładowania towarów, od opisu perypetji z kotwicą, która tak płomienną ciekawością zapala umysły chłopięce, poprzez tysiączone szczegóły, zawarte w relacji „In captivity“ — w doku, — wpływamy na ocean. Ta książka, na podstawie dwudziestoletnich przeżyć autora, opowiada o wszystkim, co, jako młodzieniec, stęskniony do „świata“, musiał widzieć żądzami wyobraźni. Jest to, jakgdyby konspekt wszystkich wymienionych powyżej utworów, które morale mają za treść, a zdarzenia na morzu dokonane za fabułę. Najcharakterystyczniejszą cechą zwierzeń tutaj wyrażonych jest przeżycie. Każde wrażenie, nawet opis każdego pejzażu, ma swą trwałą i mocną podstawę w wieloletniem nieraz doświadczeniu, wypływa z prawdy wydarzeń. Nie jest to wizja morską poety, jak u Artura Rimbaud, który z wybrzeża opiewa niewiadomy ogrom, czerpiąc obrazy z fantazji, mniemań i przypuszczeń, lecz niewzruszone syllogizmy, wylamane ze zmagania się z ogromem żywiołu, lub osiągnięte w długiem baczeniu jego bytu, gdy spoczywa w stanie beczynności lub omdlenia. Joseph Conrad nie ina-

czej nazywa ocean, tylko słowem — wróg — *the Foe*. Marynarz „krzyżuje z tym wrogiem miecz“ w bohaterskim sam na sam spotkaniu. Zapomocą niezrównanych, przepysznie trafnych określeń pisarz bada charakter swego wroga, mierzy i oddaje siłę jego potęg, czyli wichrów, których rozmaite rodzaje, a raczej osobistości — *personalities* — klasyfikuje szczegółowo. Naocznie widzimy, jak jedne z tych podmuchów kędyś w okręgach przyładka Dobrej Nadziei, kędyś w okręgach samotnych Oceanu Indyjskiego, kędyś w stronach wyspy Świętej Heleny, osaczają wędrowny statek, niczem myśliwcy, spuszczejący ze smyczy szare chmury, — ścigają go w szale, wzbudzającym do głębi pienisty ocean. Inne — wypadają z ciszy tak niespodziewanie, chyżo i nagle, iż statek zмага się i miota, przewala z boku na bok, lub wylatuje jedną połową swoją w powietrze, a drugą zanurza się w przepaść wodną. Połowa załogi pływa, a druga zawisa w przestworze. Z niewymownem zainteresowaniem czytamy opowieść o cichych i pogodnych nocach na wodach wysp Azorskich podczas „babiego lata“. Statek na równej płaszczyźnie przemierza dalekość w nieprzerwanej ciszy, przemawiając jednostajnym głosem swych doskonałych maszyn, tworząc w przestworze bezsłowną pieśń siły, sprzymierzonej z człowiekiem, posłusznej mu, a groźnej w swojej samoistnej potędze, mowę duszy zbudzonej do jego duszy. Na wiele lat przed futurystami włoskimi Joseph Conrad posłyszał tę mowę silników i umiał wyrazić jej brzmienie. Gdy opisuje osadzenie się statku na mieliźnie, lub rafie podwodnej i sensacje przez ten wypadek wywołane, — jak on to określa — niby nagłego popadnięcia stóp w niepochwytą pułapkę, w nieważkie sidła, — wskutek przerwania balansów poziomym i nagłego zniweczenia w mózgu stałej wagi, utrzymującej od tak długiego czasu wszystko w ryzach

nad ruchomością powierzchni, — mamy zupełnie nowe, nieznanne nam i niemożliwe do osiągnięcia relacje. Nie są to bowiem spostrzeżenia obserwatora, noty podróżnika, poczynione dla ich osiągnięcia, które mogą być zawodne, a nawet chybione, lecz fakty, ujęte niegdyś sposobem podświadomego wiedzenia i czucia przez czynnego marynarza w wypadku owego „taking the ground” szukającego nie wrażeń i uogólnień bynajmniej, lecz sposobów wydobywania nawy z ławicy, czy zepchnięcia jej z raty podwodnej. Są to więc przypomnienia, wyłowione później z głębin pamięci, zważone wielokroć w spokoju świadomości, formuły uczuć prawdziwe, dane psychologiczne wydarzeń pewne w relacji. Nic tu nie ma dla połysku i dla samego brzmienia czczego literackiego słowa. Można by powiedzieć, iż ta sztuka jest pragmatyczną, to znaczy, iż o tyle podnosi brzmienie i ton, natęża moc słowa, o ile treść podspodnia zmusi ją do tego. To też, gdy słowo podnosi się w istocie, staje się formalną potęgą, skoro sama wewnętrzna treść w górę je wydzwignęła. Czynny marynarz nie mógł się kontemplacyjnie zachwycać pięknnością morza, — nią tylko samą. Czyhające niebezpieczeństwo strąciłoby wnet zamarczenie się i zaślepienie w żywiole. Ale nadchodziły chwile wielkich niebezpieczeństw, momenty grozy i przetrwania, kiedy dusza otchłania swej potęgi obejmowała morze we władzę. I wtedy słowo dosięgało najwyższej granicy swojej. Marynarz stał się głosicielem niedostępnego dla innych piękna żywiołu w furji. Krytyka angielska nie waha się zestawić tych kart jego książki ze stronicami Milтона w „Raju utraconym”. W rozdziale p. t. „Initiation” Joseph Conrad mówi o oceanie samym w sobie, o „nieskazitelnym”: „Wszystkie zapalczywe pasje młodości rodu ludzkiego, żądza walki i głód sławy, łaknienie przygód i pragnienie niebezpieczeństw, pospołu z wielką ponętą, jaką

w sobie kryje tajemnica, rozległe sny o władzy i panowaniu przesuwają się, niczem widziadła w zwierciadle odbite poprzez tajemnicze oblicze morza". Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, iż takie zapewne uczucia przepływały przez duszę młodzieńca, który opuszczał stary Kraków, zapadły w stary kontynent, w poszukiwaniu strawy dla swojej młodej, wewnętrznej pasji. Dusza jego pożądała morza, a znalazłszy je, pokochała się w niem na śmierć i życie. Młody poszukiwacz przygód nie poszedł drogą łatwą zapisania się w szeregi oficerów floty Jego Cesarsko-Królewskiej Mości cesarza Franciszka Józefa, lecz wybrał drogę trudną, samotną. Żelazna wola niosła go temi szlakami, które są, jak mówi Pismo, „skryte“, szlakami „okrętu pośród morza“. Przepływały przed oczyma lądy kuli ziemskiej, góry i pustynie, odludne przylądki z ich ostatnimi diunami, cuchnące zatoki, gdzie interes swarzy się o rzeczy i zyski, wolne otchłanie same jedne pod niebem, gdzie wichler przechadza się samowładny i pali słońce, nieczące barwy czarodziejskie. Jak sny przechodziły przed oczyma warsztaty starych cywilizacji — Indje, Chiny, Egipt, Arabja — wielkie kontynenty i wyspy, pełne dzikich szczepów, o włosach, wysmarowanych nawozem i gliną. Przesuwali się przed jego oczyma ludzie czarni i ludzie żółci, a wszędzie wynurzał się przed oczyma ów szczep biały, który swe panowanie, swój cywilizacyjny despotyzm szerzył wciąż i niepostrzeżenie, gdziekolwiek można było władzę rozpostrzeć: Gibraltar, Malta, Suez, Malakka, Indje, Nowa-Zelandja, Australia, Afryka. Wyobraźnia napełniła się zjawiskami po brzegi, kipiała od nadmiaru wiadomości, od przeładowania faktami, od przepychu obrazów, wspomnień, figur, typów, barw, świetnych postaci, lakonicznych słów, w których zawarte leży pokonanie olbrzymich i długotrwałych niebezpie-



czeństw,— albo, ujęte w świetny dowcip, w którym tkwią sytuacje niezmiernie skomplikowane. Nadto—w długich służbach prostego majtka, a przychodnia z głębi najbardziej lądowego zaświecia, podczas ślot i burz nasuwały się przed oczy figury przepotężne, rzeźbione przez wichry, jak ów Singleton, Craig, zwany „Belfast“, murzyn Wait, Donkin, jak Captain Mac - Whirr, stary Francuz na statku Patna, Falk-Norweg, bracia Jacobus i mnóstwo innych. Oczy przybysza wpijały się w te figury, wchłaniały każdy ich ruch, gest i słowo. Przyszła z czasem chęć odtworzenia tego wielorakiego przepychu rzeczy i spraw widzianych. Tak zaczęły powstawać owe świetne książki, które dziś należą już do dorobku cywilizacji. Lecz ubliżylibyśmy temu pisarzowi, twierdząc, iż jego dzieła są tylko wspomnieniami podróżnika i obrazami malarza osobliwych na kuli ziemskiej typów i wydarzeń. W wypadku „Lorda Jima“ mamy rzucone przed oczy zagadnienie bohaterstwa i tchórzostwa, graniczącego z łotrstwem, które się tłucze zarówno po lądzie, jak po Morzu Czerwonem i Indyjskich Zatokach. Ręką niezrównanego rzeźbiarza postawione są figury tak plastycznie, iż można je porównać z pewnemi typami Tolstoja i Sienkiewicza. Ów kapitan statku, Francuz, pijanica i wałkoń, który spełnia czyn najbezwzględniejszego bohaterstwa, a gdy mu to przed oczy wynoszą, śmiejąc się w kulać, powiada, że przecie takie rzeczy robi się z tchórzostwa — jakaż to niezrównana postać! W powieści p. t. „Nostromo“, (przezwisek Włocha, przybysza do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej Costaguana), — mamy olbrzymie mrowisko, gdzie się przesuwają obrazy gromadzenia niezmiernych bogactw, szaleją najbardziej rozkielznane pasje, uwidoczniona jest chciwość, oszukująca w sposób najbardziej podstępny czyste zamysły pa-

trjoty, przewala się istic zwierzęce okrucieństwo, działają instynkty najpodlejsze i pracują najszlachetniejsze pobudki marzycieli. Mamy tam typy przepyszne, jak owego milczącego fanatyka Goulda, dyktatora Ribieri, młodego dziennikarza Decouda, a przede wszystkim samego „Nostromo”, — które stawiają to dzieło w rzędzie pierwszorzędnych kreacji artystycznych.

Opowieść, w której główne światło skierowane jest na postać Włocha Nostromo, wskutek wciągnięcia w akcję szeregu figur świetnie narysowanych, przemienia się ostatecznie na historję nietylko awantur i zaburzeń w jakiejś miejscinie Sulaco, czy w południowo-amerykańskich kopalniach srebra San Tomé, lecz na dzieje rewolucji wogóle. Innemi przeprowadzone środkami i inne malujące strony kuli ziemskiej, dzieło to staje obok „The Revolt of Islam” Percy Bysshe Shelley’a.

Niewątpliwie najwspanialszemi kreacjami Josepha Conrada są jego epepeje morskie — rzecz o murzynie z „Narcyza” i burza morska, wyrażone w Tajfunie. Wichry, o których czytaliśmy w „The Mirror of the Sea”, tutaj pokazane są w ich rozpętaniu. Gdy przewały fal poprzez pokład „Narcyza” zmiatają mężną załogę okrętu, jak śmiecie i uciskają w drugi koniec tej arki zbiorowisko rąk, nóg, głów, kadłubów, gdy okręt trzeszczy, a cały jego takiel szarpie się i skręca, jak kupa łachmanów, mamy fizyczne jasnowidzenie istoty zjawiska. W Tajfunie patrzymy na człowieka, kapitana Mac-Whirr i rozumiemy, iż marynarz krzyżuje miecz z wrogiem. Gdy odziany w skórzaną kapiecę, ni to w hełm wikingów, w skórzanym kostjum i buty długie po pachwiny, walczy w ciągu dwudziestu godzin, ażeby uratować życie nietylko swoje, lecz tłumu kulisów i załogi, mamy wydobytą z niewiadomości wizję oczywistą, czem jest

morze. Czem jest morze w jego grozie i w jego piękności powiedział Anglikom, odwiecznym żeglarzom i zwycięzcom morza, dopiero ten ze wschodu przychodzi. Sami to przyznają, iż najdobitniej, najplastyczniej przedstawił im w ich mowie to, na co patrząc przez stulecia, nie mieli wyrazu o takiej doskonałości i sile. Doskonałość, obfitość, muzyczność prozy Conrada uderza angielskiego czytelnika. Krytyk zadaje sobie pytanie: „jakimże to się dzieje sposobem, żeby Polak mógł tak pisać po angielsku?“ Rozważając dwa okresy w kształtowaniu się prozy Josepha Conrada, drugiemu okresowi przypisując takie znaczenie w rozwoju stylu angielskiego, jakie we Francji posiada praca Gustawa Flauberta, Richard Curle zaznacza: „Muzykarność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie angielskich usiłowań, to jest wogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy“. Zdaje się, że w tem musi być nieco prawdy. Gdy w roku 1914 miałem zaszczyt poznać w Zakopanem Josepha Conrada, przekonałem się z pewnem zdziwieniem, jak doskonale włada on naszym językiem. W ciągu czterdziestu lat, parę razy zapewne tylko mając możliwość rozmawiania po polsku, nie zatracił ani jednego wyrazu, nie zagubił akcentu krakowskiej wymowy. Wnoszę z tego, — dość może ryzykownie, — iż ten znakomity autor angielski myśli po polsku, zwłaszcza w chwilach trudnych, albo podniosłych, a więc w dobie tworzenia. Nie przemawia tu przezemnie bynajmniej nacjonalistyczna chęć akaparowania tej twórczości na naszą korzyść, gdyż ani jednym włóknem dorobek czysto artystyczny Josepha Conrada nie jest z literaturą polską złączony. Chodzi jedynie o zjawisko psychologicznej natury. Gdyby tak było, jak myślę, to mielibyśmy wypadek urabiania zdań we dwu mowach. Mówiąc i pisząc

jedynie we własnym języku, nie zwracamy żadnej uwagi na nazwę przedmiotów, na historję rzeczowników, która niejednokrotnie sięga zamierzchłych czasów, na dostojność i, niejako, moc tajemniczą wyrazów. Są one dla nas powszednie i zdeptane, jak bruk i piasek drogi. Skoro zaś zajdzie potrzeba myślenia w jednej, a pisania w innej mowie, wyrazy dźwigają się ze swego poniżenia, mieniają się, wiążą i, niejako, przechwalają, pokazując swą dostojność. Stąd wypływa konieczność szukania synonimów, dobierania nazw i strojenia inaczej wyrazów. Język zabarwia się i lśni niepowszednio, niezwykle, zgoła inaczej. W wypadku Josepha Conrada ta jeszcze zachodzi okoliczność, iż swój język angielski zdobywał on najprzód od marynarzy, synów ludu, — poznał w toku twardych, żeglarskich prac przedewszystkiem gwaraę angielską. Stamtąd dopiero szedł coraz wyżej i wyżej, wciągając w siebie coraz więcej wyrazów literackiego języka. Muzyczność naszej mowy słowiańskiej musiała mu pozostać w uchu: przecież do siedmnastego roku życia uczył się tylko po polsku, w Krakowie, w siedlisku, skąd na Polskę spływał jej język literacki przez wieki. W dzieciństwie czytał mnóstwo po polsku. — „I read!“ — pisze we wspomnieniu o Krakowie. Nawet utwory literatury angielskiej czytał w tłumaczeniach ojca jedynie po polsku. Została tedy w jego uchu ta podświadoma, niejasna nuta, polski sposób łączenia wyrazów, polski entuzjizm dziwienia się na widok rzeczy nieznanych, tajemniczych, straszliwych i wzniosłych. Goniąc światami i z mórz przepływając w morza, nieraz, zapewne, wśród niebezpieczeństw, czy w chwili zachwyty zaklął zci-cha po polsku, lub ujął obraz w najprostsze, najpierwsze z brzegu wyrazy swej dawnej mowy. Później, gdy przyszło stwarzać nanowo te obrazy widziane i przeżyte, wynurzyły się one w pamięci wraz z pierwotnemi ich polskimi nazwa-

mi. Nazwy, zepchnięte w inny język, szukały dla siebie odpowiednich form i znajdowały może najlepsze, a jednak niezwykłe, nie takie, jakich zazwyczaj Anglik używa. I oto w przebogatej literaturze angielskiej zabrzmiał ton zgoła nowy i tak niezwykły, iż ten z Polski przychodziń zajął miejsce jednego z najpierwszych, a, jak mówią niektórzy, najpierwszego angielskiego stylisty.

III.

Niezależnie od wspomnień osobistych Joseph Conrad dwukrotnie zabierał głos podczas wojny w sprawie polskiej. W roku 1916 pomieścił w „Fortnightly Review” artykuł p. t. „A note on the Polish Problem”, a w roku 1919 w temże piśmie — „The Crime of Partition”. Obadwa te artykuły, które można znaleźć w zbiorze ogólnym p. t. „Notes on Life and Letters” — w sposób szlachetny ujmują się za nami, za naszą nieprzedawnioną sprawą, za złaczeniem rozerwanych części narodu. Znakomity autor czynił wówczas, co mógł: rzucił na szalę wążących się losów naszych swe nazwisko. Jesteśmy mu wdzięczni za to przyczynienie się za nami w chwilach stanowczych i decydujących. Lecz, — niezależnie od wszelkiej polityki, — pragnęlibyśmy dziś z bogacie literaturę polską, lądową, od początku do końca, tłumaczeniem świetnych jego pism w tak doskonałych przekładach, ażeby w jego oczach mogły uchodzić za oddające dokładnie ducha i siłę oryginału. Polska, jak dotąd, wydała poprawdzie dwu żeglarzy. Jednym był Jan z Kolna, — postać napoły mityczna, — tu, u nas, pono, urodzony, lecz pod obca

banderą wędrujący po morzach odkrywca Labradoru. — Drugim jest Józef Konrad Korzeniowski, niewątpliwie wśród nas urodzony, lecz również pod obcą banderą w ciągu tylu lat wędrowiec i piewca mórz. Można poczytywać za przypadek, iż tutaj stała jego kołyska, wszystko bowiem za wdzięcza sobie samemu, swej pasji, sile woli, wytrwaniu, pracy. Nikt nie ma prawa wtrącać się do jego postanowień. Ale jak z dorobku innych znakomitych pisarzy na świecie, taksamo z tego specjalnie dorobku, pragniemy skorzystać w sposób jaknajgodniejszy. Już dziś młodzi chłopcy w Polsce nie potrzebują uciekać z kraju, stęsknieni za wodami mórz i żądzą przygód. Działa już szkoła morska w Tczewie i rozwija się zwolna polska marynarka. Piszący te słowa miał szczęście uczestniczyć w poświęceniu statku szkolnego „Lwów“ i słyszeć komendę: — Patrz na banderę! — na Orła Białego w czerwonym polu ponad Bałtykiem. Statek ten popłynie wkrótce do Południowej Ameryki, przesunie się poprzez ocean i równik. Uczniowie szkoły morskiej, oficerowie na statkach i jaknajszerszy ogół młodzieży potrzebuje literatury morskiej. Jakaż jest najznakomitsza? Oto ta: Pisma Josepha Conrada. Oddawna nawoływałem prywatnie i publicznie do tłumaczenia tych pism. I oto, za zgodą autora, a dzięki usiłowaniom p. Anieli Zagórskiej, która część tłumaczenia wzięła na siebie, oraz przeprowadziła do końca sprawę wydania, — rzecz dochodzi do skutku. Znakomici znawcy języka polskiego i wybitni pisarze — Jan Lemański, Stanisław Wyrzykowski i Wilam Horzyca podjęli się dokonania przekładów najświetniejszych utworów — „Murzy-na“, „Tajfunu“ i „Nostromo“. Obecnie ukazuje się „Almayer“ w przekładzie Anieli Zagórskiej.

Przekłady te stoją na wyżynie oryginału. Należy dołożyć wszelkich starań, ażeby wszystkie pisma w ich cało-

ści stały się polskimi oryginałami angielskich pism Josepha Conrada. Należy dołożyć wszelkich starań, ażeby to zbiorowe wydanie było godnem nas, literatów polskich, pozdrowieniem wielkiego twórcy z tej ziemi, gdzie stała jego kołyska. Polska dzisiejsza zaczyna gromadzić, zbierać, zgarniać do kupy rzeczy swe i sprawy rozproszone, pokradzione, pogubione, wydarte. W tej pracy, w tej pasji staje się łakoma, łapczywą, natarczywą, nieustępliwą, żarliwą. To jej prawo. Zbyt długo ją obdzierano. Przedewszystkiem musi podnosić i ku czci powszechnej ukazywać to, co jest najbezczenniejsze w jej dziejach: zapomniane trudy i znoje swych męczenników.

Kołysek wielkiego pisarza Anglii i świata, Josepha Conrada, poruszała najszlachetniejsza, najdosłojniejsza dłoń kobiety naszego rodu, gdy zbójcka pięść wroga kołatała we drzwi domu. Postać ta poszła za miłością swoją i prawdą swoją aż do ostatniego tchu, podobnie, jak tysiące innych ze dworów, z chat, z izb robotniczych.

„Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tem krzepiłem omdlewającą duszę, mącące się myśli“ — mówi ojciec wielkiego pisarza.

Zważone zostały kędyś na szali niewiadomej spojrzenia takie: Polska wolna, potężna i nieśmiertelna zajaśniała pod słońcem. — Należy rozradować dwa bohaterskie cienie, co nietylko „żyją w miłosierdziu bożem“, lecz żyją i żyć będą w wiecznej, wdzięcznej pamięci pokoleń, najgłębszą i ostatnią radością, iż doskonałe pisma ich umiłowanego dziecięcia, jaśniejące w bezcennym dorobku świata, stanowią także klejnot tej mowy, która była głosem ich cierpień, wyrazem ich cnoty i zawarła w sobie westchnienia ich świętej nadziei.

STEFAN ZEROMSKI

*Qui de nous n'a eu sa terre promise,
son jour d'extase et sa fin en exil?*

Amiel

FANTAZJA ALMAYERA

PAMIĘCI T. B.

ROZDZIAŁ I

— Kaspar! Makaan!

Ten znajomy, ostry głos targnął Almayerem, budząc go z marzeń o wspaniałej przyszłości; wróciła przykra rzeczywistość. Głos był także przykry. Almayer słuchał go przez tyle lat i z każdym rokiem coraz mniej go znosił. Ale co tam! skończy się już wkrótce to wszystko.

Poruszył się niespokojnie, po chwili jednak przestał zważać na wołanie. Wsparty obu łokciami o balustradę werandy, wpatrzył się znów w wielką rzekę, płynącą przed nim wartko i obojętnie. Lubił przyglądać się jej o zachodzie; gorejące złoto sypało się wtedy na fale Pantai, a myśli Almayera błędziły często około złota. Nie zdołał go dotąd opanować — tego złota, które posiadli inni, z pewnością nieuczciwie. Musi jednak zdobyć je dla siebie i Niny, wyczerpując wszystkie siły w rzetelnej pracy. Pograżył się w marzeniach o bogactwie i potędze, przenosząc się myślą daleko od wybrzeża, gdzie mieszkał tyle lat; zapomniał o goryczy znoju i walki, olśniony wizją wielkiej, wspaniałej nagrody. Osiądzie w Europie razem z córką. Będą

bogaci i szanowani. Nikt nie zwróci uwagi na mieszaną krew Niny wobec jej wielkiej piękności i niezmiernego bogactwa. On sam odmłodnieje, patrząc na triumfy córki, i zapomni o dwudziestu pięciu latach rozpaczliwej walki na tem wybrzeżu, gdzie czuł się jak w więzieniu. Niech tylko Dein powróci. Powinien wrócić prędko, w tem leży jego interes. Spóźnił się więcej niż o tydzień. Może zjawi się dziś w nocy?

Takie myśli snuły się po głowie Almayera. Patrzył na szeroką rzekę, stojąc na werandzie nowo zbudowanego domu, który zaczynał już butwieć; było to ostatnie z niepowodzeń jego życia. Owego wieczoru rzeka nie lśniła złotem; wzdęta od deszczów toczyła złe, bure wody przed roz-targnionym wzrokiem Almayera, unosząc mnóstwo drzewnego śmiecia, wielkie, martwe kłody i całe z korzeniami wyrwane drzewa z gałęzmi i listowiem, wśród którego wirowała woda, szumiąc złowrogo.

Jedno z tych porwanych drzew zawadziło o spadzisty brzeg, tuż przy domu; Almayer zaczął je śledzić leniwym wzrokiem. Drzewo obróciło się zwolna wśród huku spienionych fal i, wyzwolone z zatoru, popłynęło znowu z prądem; przewalając się powoli z boku na bok, wzniosło ku niebu długi, obnażony konar, niby rękę, wyciągniętą w niemem wołaniu o pomstę za brutalną przemoc rzeki. Almayer przejmował się coraz bardziej losem drzewa. Wy-chylił się, śledząc czy pień wyminie niski przyładek i cofnął się uspokojony. Teraz droga była swobodna aż hen, ku morzu. Pozazdrościł losu tej martwej kłodzie, która szybko malała, aż znikła w gęstniejących ciemnościach. Wówczas jął rozmyślać, jak daleko drzewo popłynie? czy prąd uniesie je na północ, czy na południe? prawdopodobnie na południe, ku Celebes; może aż do Makassaru?

Makassar! Podniecone myśli Almayera pomknęły naprzód urojonym szlakiem drzewa; ogarnęły go wspomnienia z przed jakich dwudziestu lat, albo i więcej. Oto smukły młodzieniec w białym ubraniu opuszcza holenderski parowiec i wysiada na bulwarze pełnym kurzu; to Almayer przybywa do Makassaru, aby zdobyć majątek w halach targowych starego Hudiga. Od tej epokowej chwili rozpoczął nowe życie. Ojciec Almayera, niższy urzędnik ogrodów botanicznych w Buitenzorgu, był uszczęśliwiony, że udało mu się umieścić syna w takiej solidnej firmie. Młody chłopak porzucił chętnie trujące wybrzeża Jawy i niedostatek w rodzinnym bungalowu, gdzie ojciec zrzędził od rana do nocy na głupotę ogrodników krajowców, a matka oplakiwała w głębi fotelu utracone wspaniałości Amsterdamu i świetność swojej pozycji, jako córki tamtejszego handlarza cygar.

Almayer opuścił dom rodzinny z lekkim sercem i lżejszą jeszcze kieszenią; mówił dobrze po angielsku, znał się na rachunkowości, — gotów był świat cały wyzwąć do walki, nie wąpiąc, że go zdobędzie.

Dwadzieścia lat minęło od tej chwili. Wdychając parne gorąco borneańskiego wieczoru, przypomniał sobie z żalem wyniosłe, rozkosznie chłodne składy Hudiga, zawalone pakami dżynu i bawełnianych tkanin; długie, proste uliczki między szeregami pak; wielkie drzwi, obracające się bez szelestu i przyćmione światło, tak miłe dla oczu po jaskrawym blasku ulicznym. Wśród spiętrzonych towarów oddzielone były balustradą niewielkie przestrzenie, gdzie schludni urzędnicy chińscy o smutnych oczach i chłodnem obejściu pisali szybko, milcząc, w hałasie i rozgwarze. Robotnicy toczyli beczki lub przesuwali paki w takt śpiewnego pomruku, kończącego się rozpaczliwym wrzas-

kiem. Przy końcu wyższej części hali odgrodzono większą przestrzeń w pełnym świetle, naprzeciw wielkich drzwi; tu nad hałasem, stłumionym przez oddalenie, górował łagodny i bezustanny dźwięk srebrnych guldenów. Dyskretni Chińczycy liczyli je i układali w stosy pod nadzorem pana Vincka, kasjera, który był duchem opiekuńczym tego miejsca i prawą ręką władcy.

W tym jasnym zakątku pracował Almayer przy swoim stole, niedaleko małych, zielonych drzwi, u których stał zawsze Malaj w czerwonym pasie i turbanie; ciągnął za spuszczonej się sznurek, podnosząc i zniżając rękę z dokładnością maszyny. Sznurek ten wprawiał w ruch punkah *) po drugiej stronie zielonych drzwi, gdzie mieściło się tak zwane prywatne biuro; królował tam stary Hudig, — władca — udzielając hałaśliwych posłuchań. Niekiedy małe drzwi otwierały się gwałtownie, ukazując przez błękitną mgłę dymu tytoniowego długi stół, obstawiony butelkami przeróżnych kształtów i smukłymi dzbanami z wodą; w fotelach z rattanu leżeli hałaśliwie rozprawiający mężczyźni, a władca wychylał głowę przez drzwi i, trzymając za klamkę, mruczał coś poufnie do Vincka; czasem rzucał grzmiący rozkaz na halę, lub też, zwietrywszy nieznanego gościa, witał go przyjaznym rykiem: „Moje uszanowanie kapitanowi! Skądże pan przybywa? Czy nie z Bali, co? Ma pan kuce? potrzeba mi kuców, potrzeba mi wszystkiego, co tylko pan ma do zbycia! ha! ha! ha! niechże pan wejdzie!“ Wśród huraganu wykrzyków wciągał nieznanego do biura, drzwi się zamykały i zwykłe hałasy rozlegały się znowu: śpiew robotników, łoskot beczek, skrzypie-

*) Punkah rodzaj ogromnego, prostokątnego wachlarza, wiszącego zwykle nad stołem w jadalniach i biurach.

nie pośpiesznych piór; nad wszystkim zaś górował melodyjny dźwięk dużych, srebrnych pieniędzy, płynących nieustannie przez złote palce uważnych Chińczyków.

W Makassarze kipiało wówczas życie, kwitł handel. Był to punkt zborny dla wszystkich awanturników, którzy, zaopatrzywszy swoje szkuńce na wybrzeżu australijskiem, puszczali się w głąb archipelagu malajskiego w pogoni za pieniędzmi i przygodami. Ci śmiałkowie, ważący się na wszystko, nie stronili od potyczek z korsarzami, grasującymi jeszcze wtedy na wielu wybrzeżach; mając węch do interesów, dorabiali się szybko majątku, a ogólnem ich „rendez-vous” była owa zatoka, gdzie zjeżdżali się dla transakcyj handlowych i uciech. Kupcy holenderscy zwali tych ludzi angielskimi kramarzami. Niektórzy z nich byli to bezsprzecznie dżentelmeni, których ten rodzaj życia pociągał swoim urokiem, lecz większość stanowili zawodowi marynarze. Za króla ich uważano powszechnie Toma Lingarda, którego wszyscy Malaje — uczciwi, czy nieuczciwi, spokojni rybacy, czy też skończeni zbóje, — nazywali „Radzą Lautem” — Królem Morza.

Almayer nie był i trzech dni w Makassarze, gdy posłyszał o nim; o zręcznych jego transakcjach handlowych, miłośkach i zaciekłych walkach z piratami plemienia Sulu. Powtórzone mu także romantyczną opowieść o jakimś dziecku, — dziewczynce, znalezionej przez zwycięskiego Lingarda na korsarskim statku, którym po długiej walce zawładnął, zmiótlszy załogę z pokładu. Ogólnie było wiadomo, że Lingard tę dziewczynkę zaadoptował; umieścił ją w jakimś klasztorze na Jawie — i mówił o niej zawsze: „moja córka”. Złożył uroczystą przysięgę, że wyda ją za białego człowieka przed powrotem do kraju i zostawi jej cały majątek. „A kapitan Lingard jest bardzo bogaty!” ma-

wiał uroczyście pan Vinck, przechylając głowę na bok, — „bardzo bogaty, bogatszy od samego Hudiga!” Tu urywał na chwilę, aby słuchacze mogli ochłonąć po tak nieprawdopodobnej wieści i dodawał szeptem wyjaśnienie: „Widzi pan, on odkrył rzekę”.

Otóż to — odkrył rzekę! Ten fakt właśnie wynosił Lingarda tak wysoko nad pospolity tłum morskich awanturników, którzy za dnia handlowali z Hudigiem, a nocę spędzali na picu szampana, szulerce, śpiewaniu krzykliwych piosnek i na umizgach do dziewcząt krwi mieszanej pod dachem obszernej werandy hotelu Sunda. Dostęp do owej rzeki znany był jedynie samemu Lingardowi. Wyruszając w drogę, zabierał doborowy ładunek bawełnianych tkanin, mosiężnych gongów, strzelb i prochu. *Flash*, bryg jego, którym sam dowodził, zniknął nieznacznie nocą z przystani, podczas gdy kamraci Lingarda przesypiali skutki nocnej orgji. Zostawiał ich pijanych pod stołem i wracał na pokład; sam zaś, nawet pijąc bez miary, nigdy przytomności nie tracił. Niejeden usiłował go wytropić i dostać się do tego kraju obfitości, bogatego w gutaperkę i rattan, wosk i gumę dammar, perłowe konchy i ptasie gniazda, ale niewielki *Flash* umiał prześcignąć każdy statek na tych wodach. Kilku śmiałków natknęło się na ukryte mielizny i rafy koralowe; tracąc całe mienie, ledwie z życiem ujść zdołali z okrutnych objęć tego morza, uśmiechającego się słonecznie. Zniechęciło to innych. Zielone wyspy o niewinnym wyglądzie, stróżujące u wejścia do ziemi obiecanej, przechowały swoją tajemnicę przez długie lata z bezlitosną pogodą natury podzwrotnikowej. A Lingard po dawnemu zjawiał się i zniknął w ciągu swoich wycieczek jawnych, czy ukrytych. Śmiałość jego ryzykownych wypraw i olbrzymie dochody promieniały go bohaterstwem w oczach Almayer-

ra, który z najgłębszym podziwem zwykł był patrzeć, gdy wielki człowiek szedł przez halę, mrużąc mimochodem dzień dobry do Vincka, albo witając władcę Hudiga gromkim wykrzykiem: „Jak się masz, stary korsarzu! cóż, żyjesz jeszcze?” Był to zwykły wstęp do transakcyj handlowych za zielonemi drzwiami. Wieczorem, gdy cisza zaległa opustoszałą halę, Almayer porządkował papiery przed powrotem do domu w towarzystwie Vincka, u którego mieszkał. Przerzywał wówczas często swoje zajęcie, przysłuchując się hałaśliwym i gorącym rozprawom w prywatnem biurze, skąd dochodził głęboki, monotony pomruk władcy i wrzaskliwe wybuchy Lingarda, dwóch brytanów, walczących o kość pełną szpiku. W uszach Almayera brzmiało to jak tytaniczna zwada, jak walka bogów.

Mniej więcej w rok potem Lingard zapalał nagle niewytłomaczoną sympatją do Almayera, z którym stykał się często z powodu interesów. Wychwalał go pod niebiosa przed kamratami, gdy późno w nocy siedzieli przy kieliszku w hotelu Sunda, a pewnego pięknego poranku zelektryzował Vincka oświadczeniem, że musi „zabrać z sobą tego smyka. Będzie załatwiał za mnie wszystkie gryzmoły — coś w rodzaju sekretarza”. Hudig przystał na to. Przejęty młodzieńczą żądzą zmiany, Almayer zgodził się chętnie i, spakowawszy swoje manatki, puścił się na pokładzie *Flasha* w długą podróż. W czasie takiego objazdu stary żeglarz odwiedzał zwykle wszystkie wyspy archipelagu. Mijały miesiące, a przyjaźń Lingarda zdawała się wzrastać. Przechadzał się często z Almayerem po pokładzie brygu, który sunął lekko pod spokojnem, wyiskrzonem niebem, pędzony łagodnie przez nikły powiew nocny, niosący od strony wysp ciężkie aromaty. Stary żeglarz lubił wtedy otwierać serce przed zachwyconym słuchaczem. Mówił

o swojej przeszłości, o niebezpieczeństwach, których uniknął, o wielkich dochodach, płynących z jego transakcyj handlowych, o nowych planach, które w przyszłości miały przynieść jeszcze większe zyski. Wspominał często swoją córkę, dziewczynkę znaną na statku korsarskim i mówił o niej z dziwnym porywem ojcowskiej tkliwości. „Wyrosła pewnie na dużą dziewczynę, cztery lata prawie jej nie widziałem! No, Almayer, niech mnie djabli porwą, jeśli nie znajdziemy się tym razem w Sourabaya!” Po takim oświadczeniu dawał zwykle nurka do swojej kabiny, mrużąc pod nosem: „Trzeba coś z tem zrobić—trzeba koniecznie!” Zadziwił Almayera kilkakrotnie swoim zachowaniem; podchodził szybko do niego, chrząkał potężnie, jakby chcąc coś powiedzieć, a potem nagle zawracał na pięcie i opierał się, milcząc, o parapet; godzinami całymi śledził bez ruchu blask i iskrzenie się morskich fosforescencyj wzdłuż statku. Ostatniej nocy, przed samem przybyciem do Sourabaya, jeden z takich wysiłków w kierunku zwierzeń udał się nareszcie. Odchrząknąwszy kilkakrotnie, Lingard przemówił, odsłaniając swój zamiar. Oto chciał ożenić Almayera ze swoją przybraną córką. „Tylko mi się nie stawiaj, dlatego żeś biały!” wybuchnął nagle, nie dając przyjąć do słowa zdumionemu młodzieńcowi. „Ze mną to się na nic nie zda. Nikt nie zauważy, jaką twoja żona ma skórę — od czegoż dolary! Ja ci to mówię! I zapamiętaj sobie, będzie ich grubo więcej jeszcze, zanim umrę. Miljony, słyszysz, Kacprze? miljony! A wszystko dla niej i dla ciebie, jeżeli zrobisz, co ci każę“.

Zaskoczony tą nieoczekiwaną propozycją, Almayer zawahał się i zamilkł na chwilę. Wyobraźnię miał bujną i ruchliwą; w mgnieniu oka ujrzał — niby w błysku olśniewającego światła,—wielkie stopy błyszczących guldenów i uświa-

domił sobie wszelkie rozkosze, płynące z bogactwa. Ogólne uznanie, błogość beczynnej egzystencji, do której czuł się wprost stworzony, własne okręty, domy handlowe, towary (stary Lingard nie będzie przecież żył wiecznie) — a wreszcie korona wszystkich marzeń: w dalekiej przyszłości — niby czarodziejski pałac z bajki — wielki dom w Amsterdamie, tym ziemskim rajem jego snów. Wyniesiony na morza przez pieniądze starego Lingarda spędzi tam koniec życia w niewypowiedzianej wspaniałości. Co do odwrotnej strony medalu — związania się na całe życie z malajską dziewczyną, tym spadkiem po korsarskim statku — miał tylko niejasną świadomość wstydu, że on, człowiek biały — — No, ale czteroletnie wychowanie w klasztorze coś przecież znaczy! A potem — może ją los jakoś uprzątnie. Szczęście sprzyjało mu zawsze, a pieniąż to potęga! Trzeba przejść przez to. A może?... Mignęła mu niejasna myśl, aby ją gdziekolwiek zamknąć, usunąć po za ramy jego wspaniałej przyszłości. Z malajską dziewczyną łatwo sobie poradzi — klasztor nie klasztor, ślub nie ślub — ostatecznie, to niewolnica według wschodnich pojęć.

Podniósł głowę i spojrzął w oczy marynarzowi, który czekał rozdrażniony i niespokojny:

— Ja, naturalnie — wszystko czego pan sobie życzy, kapitanie Lingard — —

— Nazywaj mnie ojcem, mój chłopcze, tak jak ona! — rozczulił się stary awanturnik. — Do diabła, myślałem, że chcesz odmówić! Widzisz Kacprze, toby się i tak na nic nie przydało, bo ja zawsze dopnę swego. Ale ty nie jesteś głupi!

Pamiętał dobrze tę chwilę: spojrzenie, wyraz twarzy Lingarda, jego słowa, wrażenie jakiego doznał, a nawet wszystko, co ich otaczało. Pamiętał wąski, pochyły pokład

brygu, śpiące cicho wybrzeże i gładką, czarną powierzchnię morza, na której wschodzący księżyc kładł wielką sztabę złota. Pamiętał także uczucie szalonego uniesienia na myśl o cisnących mu się do rąk bogactwach. Nie był głupim ani wtedy, ani dzisiaj. Los zawziął się na niego; przepadły bogactwa, ale została jeszcze nadzieja.

Nocne powietrze przejęło go dreszczem; uświadomił sobie nagle głęboką ciemność, która po zniknięciu słońca zawisała nad rzeką, chłonąc zarysy przeciwległego brzegu. Tylko stos suchych gałęzi zapalony przed ostrokołem, otaczającym podwórzec radży, oświetlał raz po raz chropawe pnie najbliższych drzew i rzucał na wodę plamę gorącej czerwieni aż po sam środek rzeki, gdzie w nieprzeniknionym mroku mknęły śpiesznie ku morzu kłody, unoszone wartkim prądem. Jak przez mgłę przypomniał się Almayerowi głos żony, nawołujący go kilkakrotnie — pewno na obiad. Ale człowiek, który rozpamiętywa bankructwo swojej przeszłości w brzasku wskrzeszonych nadziei, nie może być głodnym na zawołanie, tylko dlatego, że ryż czeka na stole. Czas jednak do domu, późno już.

Skierował się ku drabinie, stąpając ostrożnie po luznych deskach. Spłoszona krokami jaszczurka pisnęła żałośnie i pomknęła przez wysoką trawę, porastającą brzegi. Almayer zszedł powoli z drabiny; musiał skupić całą uwagę, aby nie potknąć się na nierównym gruncie i to go zupełnie otrzeźwiło. Kamienie, zgniłe deski, niedopiłowane belki leżały tu stosami w najwyższym nieładzie. Zwrócił się w stronę tak zwanego „starego domu”, gdzie było jego mieszkanie i w tej chwili właśnie usłyszał daleki plusk wiosł. Przystanął na ścieżce, zdumiony, że ktoś płynie wezbraną rzeką o tak późnej godzinie. Teraz słyszał już wyraźnie uderzenia wiosł, a nawet kilka słów, zamienionych śpiesz-

nie przyciszonym głosem i ciężki oddech ludzi walczących z prądem tuż przy brzegu, gdzie się zatrzymał. Za ciemno było jednak, aby mógł rozróżnić cokolwiek za zwisającymi krzakami.

— Pewno Arabowie, — mruknął, starając się przeniknąć gęste ciemności — co oni tu robią tak późno? To muszą być sprawki tego przekłętego Abdulli, oby zczezł marnie!

Łódka była już bardzo blisko.

— Oh, ya! Kto tam! — krzyknął Almayer.

Szmer głosów przycichł, lecz wiosła pracowały z poprzednią gwałtownością. Wtem zatrząśł się krzak tuż przed Almayerem i łoskot wioseł, rzuconych na dno łodzi, rozdarł cichość nocy. Wioślarz uchwycił się zwisających gałęzi, lecz mimo to Almayer zaledwie mógł rozeznac ciemny zarys głowy i ramion, wystający nad brzegiem.

— Czy to ty, Abdullo? — spytał niepewnie.

Poważny głos odpowiedział:

— Tuan Almayer mówi do przyjaciela. Niema tu żadnego Araba.

Almayerowi serce targnęło się w piersi.

— Dein! — krzyknął — nareszcie! nareszcie! wyczekiwałem cię co dnia i co nocy! Straciłem już prawie nadzieję!

— Nic nie mogłoby wstrzymać mnie od powrotu — odparł tamten prawie gwałtownie. — Nawet śmierć — dodał ciszej.

— Tak mówi przyjaciel, prawdziwy przyjaciel! — zawołał serdecznie Almayer. — Ale popłynęliście za daleko. Każ przybić do przystani, niech twoi ludzie ugotują sobie ryżu w kampongu, a my przez ten czas porozmawiamy.

Nie było odpowiedzi na to zapytanie.

— Cóż to znaczy? — spytał niespokojnie Almayer. — Mam nadzieję, że brygowi nic się nie stało?

— Bryg znajduje się tam, gdzie ręce Orang Blanda nie mogą go dosięgnąć — rzekł Dein prawie ponuro, lecz Almayer, uniesiony radością, nie zauważył jego tonu.

— To dobrze. Ale gdzież wszyscy twoi ludzie? Dwóch tylko masz z sobą.

— Posłuchaj mnie, tuanie Almayer — rzekł Dein. — Jutrzejsze słońce ujrzy mnie w twoim domu i będziemy wtedy rozmawiali, ale teraz muszę jechać do radży.

— Do radży! dlaczego? czegoś chcesz od Lakamby?

— Tuanie, pomówimy jutro jak przyjaciele. Muszę widzieć Lakambę jeszcze dziś w nocy.

— Deinie, ty nie opuścisz mnie teraz, kiedy wszystko już gotowe! — zawołał Almayer błagalnym tonem.

— Czyż nie powróciłem? Ale muszę się widzieć z Lakambą — dla mojego i twojego dobra.

Ciemny zarys głowy znikł nagle z nad brzegu. Krzew, uwolniony z rąk wioslarza, odgiął się wstecz z szelestem, opryskując deszczem błotnistych kropel Almayera, który pochylił się naprzód, aby dojrzeć cośkolwiek.

Po chwili łódź znalazła się w smudze światła, padającego na rzekę od wielkiego ogniska na przeciwnym brzegu. Można było teraz rozróżnić sylwetki dwóch ludzi, pochylonych nad wiosłami; trzeci zaś, siedzący u steru, wyglądał w olbrzymim, płaskim kapeluszu, jak grzyb fantastycznej wielkości.

Almayer śledził łódź, póki nie znikła za smugą światła. Wkrótce gwar wielu głosów dosięgnął go przez rzekę. Widział, jak wyciągano z ogniska płonące główne, które oświetliły na chwilę wrota w ostrokole i tłoczących się ludzi. Po chwili weszli widocznie do środka, gdyż pochodnie

znikły, a rozproszony ogień świecił przyćmionym i dorywym blaskiem.

Ruszył wielkimi krokami ku domowi, pełen nieokreślonej troski. Niemożliwe, aby Dein knuł coś przeciw niemu; to przypuszczenie było bez sensu. I Deinowi, i Lakambie zanadto zależało na pomyślnem przeprowadzeniu planu obmyślonego przez Almayera. Wprawdzie Malajom zbytnio wierzyć nie można, ale przecież i oni mają pewien zdrowy rozsądek i zrozumienie własnego interesu. Wszystko będzie dobrze, musi być dobrze. Doszedłszy do tego wniosku znalazł się u stóp schodów, prowadzących na werandę. Z nisko położonego miejsca, gdzie stał, mógł widzieć oba ramiona rzeki. Główna odnoga Pantai gubiła się w ciemnościach, gdyż ogień pod ostrokołem radży już wygasł, natomiast w górę ku Sambirowi można było rozróżnić długi szereg chat malajskich, skupionych przy brzegu; gdzieniegdzie migotało przyćmione światło przez bambusową ścianę lub też paliły się dymiące pochodnie na pomostach nad wodą. Jeszcze dalej, tam gdzie wybrzeże przechodziło w płaską skałę, piętrzyła się nad chatami ciemna masa budynków; ożywiały ją gęste światła o białym i silnym blasku, pochodzącym widocznie od lamp naftowych. Była to posiadłość Abdulli ben Selima, najbogatszego kupca w Sambirze. Wśród wolnej przestrzeni stał jego dom, zbudowany trwale na skalistem podłożu i otoczony składami towarów. Dla Almayera był to widok nienawistny. Wyciągnął ściśniętą pięść ku budynkom, które z wyzyna swego dobrobytu zdawały się spoglądać zimno i wyzywająco, naigrawając się nad jego upadkiem.

Zaczął wstępować powoli na schody swojego domu.

W pośrodku werandy stał okrągły stół, a na nim lampa bez klosza rzucała jaskrawy blask na trzy ściany. Czwar-

ta strona werandy, otwarta, wychodziła na rzekę. Między grubo ociosanemi słupami, podtrzymującemi wysoki, spadzisty dach, wisały podarte zasłony z rattanu. Sufitu nie było wcale; ostre światło lampy przechodziło u góry w łagodny półcień, a jeszcze wyżej krokwie ginęły w zupełnym mroku. Środkową ścianę przecinała czerwona firanka, zasłaniająca wyjście na korytarz, który łączył się drzwiami z pokojem kobiet i prowadził dalej do szopy kuchennej i podwórza. W jednej z bocznych ścian były drzwi z nawpół zatartym napisem: „Biuro: Lingard i Sp.”; pokryte warstwą kurzu, wyglądały, jakby ich przez wiele lat nikt nie otwierał. Pod przeciwległą ścianą stał bujający fotel z giętego drzewa, zaś naokoło stołu i dalej, rozrzucone po werandzie, błąkały się cztery drewniane fotele, niby wstydząc się marnego otoczenia. Stos mat leżał w kącie; nad niemi wisiał ukośnie stary hamak. W drugim rogu spał na podłodze Malaj, zwinięty w kłębek, z głową obwiązaną szmatą czerwonego perkalu. Był to jeden z domowych niewolników Almayera, jego „własnych ludzi”, jak ich nazywał. Cała chmara ciem płaśała zapamiętałe naokoło lampy w takt skocznej przygrywki moskitów, unoszących się rojami. Pod strzechą z palmowych liści jaszczurki biegały po belkach, nawołując się łagodnie. Małpa, uwiązana na łańcuchu u jednego ze słupów, podpierających werandę, wyjrzała z za okapu, gdzie była jej nocna kryjówka; strojąc przyjazne miny do Almayera, zawisła na pręcie bambusowym, sterczącym ze strzechy i strząsnęła obfity deszcz kurzu i okruchów zesłych liści, które osiadły na odrapanym stole. Jakieś zwiedłe rośliny leżały na nierównej podłodze, pokrytej zeschem błotem. Zaniedbanie i niechlujstwo wyzierały z każdego kąta. Wielkie, czerwone plamy na podłodze i ścianach świadczyły o częstym żuciu betelu. Od rzeki szedł lek-

ki powiew i kołysał łagodnie postrzępione zasłony, niosąc z przeciwległych lasów nikły i mdły zapach ni to przekwitłych kwiatów.

Podłoga werandy zaskrzypiała głośno pod ciężkimi krokami Almayera. Śpiący w kącie Malaj poruszył się niespokojnie, mrużąc jakieś niewyraźne słowa. Coś zaszeleściło za firanką, zakrywającą drzwi i łagodny głos spytał po malajsku: „Czy to ty, ojczy?”

— To ja, Nino. Głodny jestem. Czy wszyscy już śpią w tym domu? — rzekł wesoło Almayer i z westchnieniem ulgi osunął się na fotel, stojący najbliżej stołu.

Nina Almayer ukazała się w przejściu, zasłoniętem firanką, a za nią weszła stara kobieta malajska i zakrzętnęła się koło stołu; ustawiła półmisek z ryżem i rybami, dzban z wodą i pół butelki jałowcówki. Umieściwszy troskliwie przed swym panem pękniętą szklanę i łyżkę cynową, oddaliła się bez szelestu. Nina stała oparta o brzeg stołu, z ręką opuszczoną bezwładnie wzdłuż ciała. Wyraz niecierpliwego oczekiwania malował się na jej twarzy, zwróconej ku ciemnościom, skroś których senne oczy zdawały się dostrzegać jakiś czarowny obraz. Wzrostu wysokiego, jak na dziewczynę krwi mieszanej, miała poprawny profil ojca, nieco jednak zmieniony przez wyraz siły, którą zdradzał kwadratowy zarys podbródka, odziedziczonego po przodkach matki, korsarzach z plemienia Sulu. Stanowczy łuk ust i błysk białych zębów między rozchylonemi wargami nadawały pewien odcień dzikości niecierpliwemu wyrazowi jej twarzy. A jednak prześliczne, ciemne jej oczy jaśniały tkliwą słodyczą, właściwą kobietom malajskim, lecz ożywioną promieniem wyższej inteligencji. Oczy te spoglądały poważnie, szeroko rozwarte i nieruchome, jakby zapatrzone w coś niewidzialnego dla wszystkich innych oczu, gdy stała tak cała w bieli, prosta

i gibka, nieświadoma swojego czaru. Nad niskim, szerokim jej czołem lśnił przepych czarnych włosów, które w ciężkich splotach spływały na barki, potęgując jeszcze oliwkową bladość cery w czarnem jak węgiel obramowaniu.

Almayer zabrał się chciwie do ryżu, ale już po paru łykach przerwał jedzenie i z łyżką w rękę spojrział ciekawie na córkę.

— Czy słyszałaś, jak przejeżdżała tędy łódź, z pół godziny temu? — zapytał.

Dziewczyna szybko rzuciła na niego wzrokiem i odwróciła się od stołu, stając tyłem do światła.

— Nie, — odpowiedziała powoli.

— Łódź przejeżdżała. Nareszcie! to był Dein. Pojechał teraz do Lakamby; sam mi to powiedział. Mówiłem z nim, ale nie chciał przyjść dzisiaj. Będzie tu dopiero jutro rano.

Połknął znów łyżkę ryżu i mówił dalej.

— Jestem dziś prawie szczęśliwy, Nino! Widzę nareszcie kres długiej drogi, która wyprowadzi nas z tego nędznego bagna. Wydostaniemy się stąd prędko, moja droga dziewczynko, a wtedy — —

Podniósł się i utkwiał wzrok w przestrzeni, jakby wpa-trzony w czarującą jakąś wizję.

— A wtedy — mówił dalej — będziemy szczęśliwi oboje, i ty, i ja. Będziemy żyli daleko stąd, w bogactwie i szacunku. Zapomnimy o tem, co było, o wszystkich walkach, o całej tej nędzy!

Zbliżył się do córki i pieszczotliwie pogładził ją po włosach.

— Nie można wierzyć Malajom, ale muszę przyznać, że ten Dein to dżentelmen — prawdziwy dżentelmen — powtórzył.

— Czy prosiłeś go, żeby tu przyszedł? — zapytała Nina, nie patrząc na ojca.

— Naturalnie! Wyjedziemy pojutrze, — rzekł radośnie. — Nie trzeba tracić ani chwili. No cóż, szczęśliwa jesteś, moja ty malutka?

Dorównywała prawie wzrostem ojcu, ale lubił przypominać sobie czasy jej dzieciństwa, kiedy byli dla siebie wszystkim.

— Jestem szczęśliwa — odrzekła bardzo cicho.

— Naturalnie — ciągnął żywo Almayer, — nie możesz sobie nawet wyobrazić, co cię czeka! Ja sam nie byłem w Europie, ale nasłuchiwałem się tylu opowiadań mojej matki! Wydaje mi się, że znam wszystko doskonale. Będziemy tam żyli, jak — jak — no, poprostu wspaniale. Zobaczysz!

I znów stał, milcząc, obok córki, wpatrzony w tę czarującą wizję. Po chwili wyciągnął zaciśniętą pięść w kierunku śpiącej osady.

— No, mój przyjacielu Abdullo, — zawołał, — zobaczymy na koniec, po tylu latach, czyje będzie na wierzchu!

Popatrzył w górę rzeki i zauważył spokojnie:

— Znów będzie burza. A niech tam! Żaden piorun mnie dziś nie zbudzi. Dobranoc, moja malutka, — szepnął, całując ją czule w policzek. — Jakoś nie wyglądasz mi na bardzo szczęśliwą, ale jutro pokażesz weselszą twarzyczkę, co?

Nina słuchała ojca z twarzą nieporuszoną, patrząc z pod przymkniętych powiek w ciemność, która stała się teraz jeszcze głębszą. Ciężka chmura spełzła ze wzgórz, gasząc gwiazdy i stopiła niebo, las i rzekę w jedną masę prawie że dotykanej czerni. Lekki powiew od rzeki zamarł, lecz oddalony bełkot grzmotu i blade błyskawice ostrzegały o zbliżającej się burzy.

Z westchnieniem odwróciła się Nina ku stołowi.
Almayer leżał już w hamaku, nawpół usypiony.

— Zabierz lampę, Nino, — mruknął zaspanym głosem. — Pełno tu moskitów. Idź spać, córuchno.

Lecz Nina, zgasiwszy lampę, zwróciła się znów ku balustradzie i objęła ramieniem drewniany słup, patrząc z napięciem ku rzece. Stała nieruchomo wśród przygniatającej ciszy nocy podzwrotnikowej, a każda błyskawica ukazywała jej oczom górny bieg Pantai. Las po obu stronach rzeki gwałcił się pod wściekłym podmuchem nadciągającej burzy, schłostane wichrem fale zakwitły białą pianą, a czarne chmury o dziwacznie poszarpanych kształtach wlokły się nisko nad rozkołysanymi drzewami. Wokół Niny wszystko było jeszcze ciszą i spokojem, lecz z oddali dochodziło już wycie wichru, plusk ulewnego deszczu i szum dręczonej rzeki. Burza zbliżała się coraz bardziej wśród rozgłośnych grzmotów i przeciągłych, jaskrawych błyskawic, po których nastawały krótkie chwile przerażającego mroku. Gdy dosięgła niskiego przylądka między dwoma ramionami Pantai, dom zatrzęsł się od wichury, rozległ się chlupot deszczu, bijącego o dach z liści palmowych, a grom przemówił jednym, ciągłym rykiem. Nieustanne błyskawice ukazywały odmęty rozkołysanych fal, rozpędzone kłody i wielkie drzewa, gnące się przed brutalną i bezlitosną siłą.

Ojciec Niny spał spokojnie, nieczuły na szalejący monsun i ulewę, nie pomnąc jednak swoich klęsk i nadziei, przyjaciół i wrogów; a córka jego stała bez ruchu, za każdym błyskiem piorunu ogarniając szeroką rzekę badawczym, niespokojnym spojrzeniem.

ROZDZIAŁ II

Kiedy Almayer zgodził się zaślubić malajską dziewczynę, ulegając nagłemu żądaniu Lingarda, tragiczne jej dzieje nie były znane nikomu. Nie wiadano, że zajmująca, młoda Malajka, tak niedawno ochrzczona, walczyła rozpaczliwie na pokładzie wraz z innymi korsarzami owego dnia, gdy straciwszy wszystkich swoich bliskich, zyskała białego ojca. Tylko ciężka rana w nodze przeszkodziła jej rzucić się w morze za przykładem kilku korsarzy, pozostałych przy życiu. Stary Lingard znalazł ją na przednim pokładzie pod stosem martwych i konających i kazał ją przenieść na *Flash'a*, a statek malajski podpalamo, puszczając go na los fal.

Młoda Malajka była przytomna. Wśród wielkiego spokoju i ciszy, co zapadła po zamęcie bitwy w ten wieczór podzwrotnikowy, chłonęła wzrokiem statek malajski, oddalający się w ciemność wśród huku płomieni i kłębow dymu; zabierał wszystko, co miała najdroższego, do czego lgnęła w swój dziki sposób. Nie czuła troskliwych rąk, opatrujących jej ranę; wpatrywała się, milcząc, w stos śmiertelny

tych mężnych ludzi, tych uwielbianych wojowników, którym tak dzielnie pomagała w walce z groźnym „Radżą Laut“.

Lekki powiew nocny pędził bryg łagodnie ku południowi. Wielka luna malała coraz bardziej, aż zablęśtała na horyzoncie niby zachodząca gwiazda i znikła. Ciężki baldachim dymu odbijał jeszcze przez krótki czas jaskrawy blask ukrytych płomieni, lecz i on rozwiął się niebawem.

Młoda Malajka zrozumiała, że wraz z tym zagasłym blaskiem przepadło i dawne jej życie. Odtąd czeka ją niewola w dalekich krajach, między obcymi, wśród okoliczności nieznanych, a może nawet i strasznych. Mając już lat czternaście, zdawała sobie jasno sprawę z położenia; przyszła do wniosku, jedynie możliwego dla malajskiej dziewczyny, dojrzałej wcześniej w żarze tropikalnego słońca i świadomej swych wdzięków, które wzbudzały głośny zachwyt wśród młodych, dzielnych wojowników załogi jej ojca. Przejmował ją strach przed nieznanem; zresztą, zniosła swój los spokojnie, w sposób właściwy malajskiej rasie, a nawet uważała wszystko za zupełnie naturalne: czyż nie była córką wojownika, zdobytą w boju? czy nie należała z prawa do zwycięskiego radży? Nawet widoczna łaskawość groźnego starca pochodziła, w jej przekonaniu, z podziwu dla branki; polectana jej próżność łagodziła męczarnie rozpaczy po tej okropnej klęsce. Gdyby była znała wysoki mur, ciche ogrody i milczące mniszki klasztoru w Samarang, dokąd przeznaczenie miało ją zaprowadzić, szukałaby może śmierci w porywie przerażenia i wstępu do takiej niewoli. Ale w wyobraźni jawił się przed nią zwykły tryb życia malajskiej dziewczyny: kolejne następstwo ciężkiej pracy i płomiennej miłości, intryg, złotych ozdób, harowania przy gospodarstwie i wielkiego, choć tajemnego wpływu, który

jest jednym z niewielu przywilejów półdzikiej kobiety. Tymczasem stary wilk morski, postąpił, jak zwykle, według bezwiednych porywów serca. Ujął w szorstkie ręce los młodej Malajki i dziwnie nim pokierował, budząc w niej rozpacz i odrazę. Zniosła z uległością zamknięcie w klasztorze, i naukę, i nową wiarę, kryjąc nienawiść i pogardę dla tego obcego życia. Języka nauczyła się prędko, ale nie rozumiała nowej wiary, którą wpajały w nią zacne siostry; przyswoiła sobie szybko tylko zabobonną stronę religii. Nazywała Lingarda ojcem, wdzięcząc się do niego pieszczotliwie podczas wszystkich jego wizyt, krótkich a hałaśliwych; zdawała sobie jasno sprawę, że jest to wielka i niebezpieczna potęga, którą należy ugłaskać. Czyż nie był teraz jej władcą? I podczas tych długich czterech lat żywiła nadzieję, że, znalazwszy łaskę w jego oczach, zostanie ostatecznie jego żoną, doradczynią i przewodniczką.

Król morza rozproszył te marzenia o przyszłości, wypowiadając swoje „fiat“, które olśniło Almayera nadzieją wielkiej przyszłości. Młoda Malajka, ubrana z nienawistnym sobie europejskim wykwiem, znalazła się przed ołtarzem wśród grona zaciekawionych widzów z batawijskiego towarzystwa, obok niej zaś stanął nieznany jej młody człowiek o skwaszonej minie. Gdyż Almayer był niespokojny, przejęty niesmakiem i wielce skłonny do ucieczki. Roztropny strach przed przybranym ojcem i wzgląd na własny dobrobyt powstrzymały go od skandalu; ale, zaprzysięgając wierność, snuł już plany, jakby się pozbyć prędzej czy później tej ładnej, malajskiej dziewczyny. Jednak Malajka zapamiętała na tyle klasztorną naukę, aby zrozumieć, że, zgodnie z prawami białych ludzi, miała zostać towarzyszką Almayera, a nie jego niewolnicą, i przyrzekła sobie odpowiednio do tego postępować.

Flash, obładowany materiałem na budowę nowego domu, opuścił przystań w Batawji, zabierając nowożeńców na nieznaną Borneo; na jego pokładzie nie było jednak miłości i szczęścia, choć opowiadał tak stary Lingard, chępiąc się młodą parą wobec przygodnych przyjaciół po werandach różnych hoteli. Stary żeglarz natomiast czuł się idealnie szczęśliwym. Wypełnił nakoniec swój obowiązek względem dziewczyny. „Wicie przecież, przezemnie została sierotą”, — kończył uroczyście gawędy o interesach, rozprawiając, jak zwykle, w zakazanym towarzystwie łazęgów z wybrzeża. Wykrzyki uznania nawpół pijanych słuchaczy napępniały prostą jego duszę rozkoszą i dumą. „Ja potrafię przeprowadzić wszystko, co tylko zechcę”, — było także uuoionem jego powiedzeniem; stosując się do tej zasady, przyśpieszał gorączkowo budowę domu i składów nad rzeką Pantai. Dom przeznaczony był dla młodej pary, a składy dla wielkiego handlu, który miał się rozwinąć pod kierownictwem Almayera. Natomiast on, Lingard, będzie mógł oddać się całkowicie pewnemu tajemniczemu przedsięwzięciu. Mówiło się o niem tylko półsłówkami, lecz wiedziano, że chodzi o złoto i djamenty w głębi wyspy. Almayer gorączkował się również. Gdyby był wiedział, co go czeka, nie śledziłby z takim upragnieniem i nadzieją ostatniej łódki z wyprawy Lingarda, znikającej na zakręcie, w górze rzeki. Gdy obejrzał się wokoło i ogarnął wzrokiem ładny domek, wielkie składy, budowane porządnie przez całą armję chińskich cieśli i nowy pomost, u którego skupiały się łodzie handlowe, porwało go nagłe uniesienie na myśl, że cały świat do niego należy.

Ale świat trzeba wpiery zdobyć, a zdobycie to nie było tak łatwe, jak mu się zdawało. Bardzo prędko dano mu do zrozumienia, że nie jest wcale pożądany w tym zakątku

świata, gdzie umieścił go Lingard i własna jego słaba wola; w tem gnieździe intryg, nie przebijających w środkach i dzikiego współzawodnictwa w handlu. Arabowie wynaleźli niebawem wjazd do rzeki i założyli osadę w Sambirze, a gdziekolwiek handlowali, chcieli być panami u siebie, nie znosząc współzawodnictwa. Pierwsza wyprawa Lingarda nie powiodła się; wyruszył po raz drugi, wydając na tajemnicze podróże wszystkie zyski, osiągnięte z jawnie prowadzonego handlu. Almayer pasował się z trudnościami swojego położenia, pozbawiony przyjaciół i wszelkiej pomocy; jedynym jego opiekunem—przez wzgląd na Lingarda—był stary radża, poprzednik Lakamby. Sam Lakamba mieszkał wtedy jako człowiek prywatny wśród ryżowej polanki, położonej siedem mil niżej nad rzeką i używał całego swojego wpływu, aby pomagać nieprzyjaciółom białego człowieka. Knuł spiski przeciw staremu radży i Almayerowi, kombinując przytem z niezawodzącą nigdy pewnością, która świadczyła jasno o jego wtajemniczeniu się w najskrytsze ich sprawy. Napozór usposobiony był przyjaźnie. Okazała postać Malaja widywano często na werandzie Almayera; zielony jego turban i kaftan złotem szyty jaśniały w pierwszym rzędzie tłumu spokojnych i godnych Malajów, którzy przychodzili pozdrowić Lingarda, wracającego z głębi wyspy. Pokłony Lakamby były najniższe, a uściski ręki należały do najserdeczniejszych, gdy witał starego kupca, lecz małe jego oczki umiały zawsze przeniknąć położenie w danej chwili. Opuszczając dom Almayera z przelotnym uśmiechem zadowolenia, udawał się na długie narady do przyjaciela swojego i współnika, — szefa handlowej stacji arabskiej — Saida Abdulli, który był człowiekiem bardzo możnym i cieszył się potężnym wpływem na wyspach okolicznych.

W osadzie wiedziano wtedy powszechnie, że odwiedzi-ny Lakamby w domu Almayera nie ograniczały się do tych oficjalnych wizyt. W nocie księżycowe zapóźnieni rybacy z Sambiru widywali często czółenka, wymykające się z wąskiej zatoki za domem białego człowieka; samotny wioślarz płynął ostrożnie wdół rzeki, trzymając się głęboko cienia wzdłuż brzegu. Zdarzenia te, z których sumiennie zdawano sprawę, roztrząsane były do późnej nocy wokół ognisk wieczornych z cynizmem określeń, zwykłym u Malajów arystokratycznego pochodzenia i złośliwym zadowoleniem z domowych nieszczęść Orang Blando, — znenawidzonego Holendra. Almayer walczył wciąż rozpaczliwie, lecz chwiejność jego zamiarów pozbawiała go wszelkiej możliwości powodzenia wobec ludzi tak bezwzględnych i zdecydowanych na wszystko, jak przeciwnicy jego, Arabowie. Handel zamierał stopniowo w obszernych składach; budynki zaczęły miejscami butwieć. Bankier starego marynarza, Hudig z Makasaru, zbankrutował; wskutek tego przepadł cały kapitał, którym można było rozporządzać. Dochody z ubiegłych lat pochłonęła odkrywca manja Lingarda. Stary żeglarz przebywał wtedy w głębi wyspy — może już nie żył — a w każdym razie nie dawał znaku o sobie. Almayer pozostał sam wśród tych wrogich okoliczności; jedyną jego osłoda było towarzystwo sześciolatniej córeczki, która urodziła się w dwa lata po ślubie. Żona Almayera zaczęła go prędko traktować z dziką pogardą, zaznaczając się ponurem milczeniem, urozmaiconem przy sposobności potokiem wściekłych obelg. Czuł, że ta kobieta go nie znosi. Widział nieraz zawistne jej oczy, śledzące dziecko i jego z wyrazem prawie nienawistnym: zazdrosna była o dziewczynkę, która okazywała ojcu więcej przywiązania. Almayer nie czuł się bezpiecznym z tą kobietą pod jednym dachem. Zdarzało się

nieraz, że w szale bezmyślnej nienawiści do wszystkich oznak cywilizacji paliła meble i zdzierła firanki, — podczas, gdy Almayer, przerażony temi wybuchami dzikości, rozmyślał w milczeniu, jaką drogą mógłby się jej najłatwiej pozbyć. Wszelkie możliwe sposoby przewinęły mu się przez głowę, snuł nawet plan morderstwa, chwiejny i niejasny, jednak na czyn się nie odważył, oczekując lada dzień powrotu Lingarda z wieścią o jakimś niesłychanem powodzeniu. Król Morza rzeczywiście powrócił, lecz postarzały i chory, — cień dawnego Lingarda — z płomieniem gorączki w zapadłych oczach; z licznej wyprawy prawie on jeden tylko ocalał. Ale powiodło mu się nareszcie! Nieprzebrane skarby były w jego ręku: potrzebował tylko więcej pieniędzy — trochę więcej jeszcze — aby urzeczywistnić marzenie o bajecznej fortunie. A Hudig tymczasem zbankrutował! Almayer zgarnął wszystko, co tylko mógł, lecz stary żeglarz potrzebował dużo więcej jeszcze. Jeśli Almayer nie będzie mógł mu dopomóc, pojedzie do Singapuru, a nawet do Europy, lecz przedewszystkiem do Singapuru i weźmie z sobą małą Ninę. Dziecko musi otrzymać przyzwoite wychowanie. W Singapurze mieszkają dobrzy przyjaciele Lingarda, którzy zajmą się małą i dopilnują jej wykształcenia. Wszystko pójdzie dobrze i dziewczynka — na którą stary żeglarz zdawał się przenosić swoją dawną miłość do jej matki — będzie najbogatszą kobietą na wschodzie, a nawet na całym świecie. Tak wykrzykiwał stary Lingard; obdarty, rozczochrany, uniesiony zapałem, wymachiwał cygarem, chodząc po werandzie ciężkim krokiem, przyzwyczajonym do mierzenia pokładu; Almayer zaś siedział skulony na stosie mat i myślał z trwogą o rozstaniu z jedyną istotą, którą kochał. Może większem jeszcze przerażeniem przejmowała go myśl o nieuniknionem przejściu z żoną, dziką



tygrysią, której miał wydrzeć młode. „Otruje mnie“, myślał nieborak, znając dobrze ten łatwy i ostateczny sposób rozwiązywania wszelkich zagadnień życia malajskiego: społecznych, politycznych czy też rodzinnych.

Ku wielkiemu zdumieniu Almayera żona jego przyjęła tę wiadomość bardzo spokojnie, spojrzała tylko ukradkiem na męża i na Lingarda, nie mówiąc ani słowa. To jednak nie przeszkodziło jej nazajutrz skoczyć do rzeki i płynąć za łódką, w której Lingard uwoził niankę z płaczącym dzieckiem. Almayer musiał ścigać żonę w myśliwskim czólnie i wyciągać ją z wody za włosy wśród wrzasków i przekleństw, od których zdawało się, że niebo pęknie. Ale po dwu dniach, spędzonych na zawodzeniu, wróciła do poprzedniego trybu życia i, żując betel, siedziała cały dzień wśród swoich kobiet, pogrążona w tępem lenistwie. Od tego czasu zaczęła się szybko starzeć, budząc się z odrętwienia po to jedynie, aby rzucić mężowi jadowitą uwagę czy obelżywy wykrzyknik, — gdy się wypadkiem znalazł w jej obecności. Almayer zbudował dla żony szałas w podwórzu nad rzeką, gdzie żyła w zupełnem odosobnieniu. Wizyty Lakamby ustały z chwilą, gdy stary władca Sambiru rozstał się z tym światem wskutek odnośnego dekretu Opatrzności, popartego drobną, leczniczą manipulacją. Lakamba objął po nim rządy, do czego przyczynili się u władz holenderskich życzliwi mu Arabowie. Said Abdulla był pierwszą osobą i najpotężniejszym kupcem na całą Pantai. Zrujnowany i bezsilny Almayer, uwikłany w gęstej sieci ich knowań, zawdzięczał życie tylko przypuszczeniu, że posiada cenną tajemnicę Lingarda. A Lingard przepadł. Napisał raz z Singapuru, donosząc, że dziecko ma się dobrze i pozostaje pod opieką niejakiej pani Vinck, a on sam jedzie do Europy, aby zebrać pieniądze na wielkie swoje przedsięwzięcie. „Wracam nie-

zadługo. Nie będzie z tem żadnych trudności", pisał: „ludzie rzucają się do mnie tłumnie z pieniędzmi". Widocznie stało się inaczej; przyszedł od niego jeszcze jeden list, gdzie donosił, że jest chory, że krewni jego pomarli — i nic więcej. Nastąpiło zupełne milczenie. Europa najwidoczniej połknęła Radzę Lauta; napróżno spoglądał Almayer na zachód, wypatrując promienia światła w mroku zawiedzionych nadziei. Mijały lata; zrzadka przychodziły listy od pani Vinck, potem od samej dziewczynki; była to jedyna rzecz, która umożliwiała życie wśród triumfującego barbarzyństwa. Almayer żył teraz samotnie, nie odwiedzając nawet swoich dłużników; wiedział, że płacić nie myślą, pewni opieki Lakamby. Wierny Sumatryjczyk, Ali, gotował mu ryż i kawę, gdyż Almayer nie ufał nikomu, a najmniej ze wszystkich własnej żonie. Zabijał czas, błakając się smutnie po zarośniętych ścieżkach naokoło domu: obchodził także rozwalające się hale towarowe, gdzie kilka mosiężnych strzelb, pokrytych grynszpanem i parę rozbitych pak z butwiejącymi perkalami przypominało mu dawne, dobre czasy. W halach, przepełnionych towarem, kipiało wtedy życie, a on stał na wybrzeżu obok swej córeczki i doglądał krzątających się ludzi. Teraz zaś łódki z wyżej położonych okolic omijały zmurszały pomost Lingarda i Sp., skupiając się w nowej przystani, należącej do Abdulli. I to wcale nie z miłości do potężnego Araba; poprostu, nikt nie miał odwagi prowadzić handlu z człowiekiem, którego gwiazda zagasła. Taki kupiec nie mógłby się spodziewać litości ani od Arabów, ani od radży; nie dostałby na kredyt ryżu w czasie przednówka, Almayer zaś nie byłby w stanie mu pomóc, bo czasem ledwie sam mógł się wyżywić. Pograżony w osamotnieniu i rozpacz, zazdrościł często swemu bliskiemu sąsiadowi, Chińczykowi Dżim Eng; widywał go nieraz, rozciągniętego

na stosie chłodnych mat, z drewnianą poduszką pod głową i fajką z opium w bezsilnych palcach. Almayer nie szukał jednak ukojenia w opium — może było to za kosztowne, — może duma człowieka białego ratowała go od upadku, — a najprawdopodobniej strzegła go myśl o córeczce w odległych Straits Settlements. Miewał o niej częste wiadomości odkąd Abdulla kupił parowiec, kursujący mniej więcej co trzy miesiące między Singapurem a osadą nad Pantai. Czuł się teraz bliżej córki. Tęsknił za jej widokiem i projektował podróż do Singapuru, lecz wyjazd swój z roku na rok odkładał, oczekując ciągle jakiegoś pomyślnego zwrotu w swoim losie. Nie chciał powitać córki z pustemi rękoma, bez słów nadziei na ustach. Nie mógł skazywać jej na dziki tryb życia, jaki sam prowadził — a zarazem bał się jej trochę. Co też sobie o nim pomyśli? Zaczął liczyć lata. To już dojrzała kobieta, wychowana wśród zachodniej cywilizacji, młoda i pełna nadziei; a on czuł się starym, zwątpiałym i bardzo podobnym do tych dzikich wokół siebie. Zadawał sobie pytanie, jaką będzie jej przyszłość? Nie mógł na to odpowiedzieć i nie śmiał myśleć o tem. A jednak tęsknił za córką. Latami ciągnęło się jego wahanie.

Niespodziane zjawienie się Niny w Sambirze położyło kres tej niepewności. Przyjechała na parowcu pod opieką kapitana. Almayer powitał ją ze zdumieniem, niepozbawionem podziwu. W ciągu tych lat dziesięciu wyrosła z dziecka na kobietę czarnowłosą o cerze oliwkowej, wysmukłą i piękną. W wielkich, smutnych jej oczach o lęklwym wyrazie, właściwym Malajkom, przebijał odcień zadumy, dziedzictwo po przodkach europejskich. Almayer myślał z przerażeniem o spotkaniu żony z córką. Co sobie pomyśli to poważne dziewczę w sukni europejskiej o matce, żującej betel, siedzącej w kucki w ciemnym szałasie, nie-

porządnej, półnagiej i ponurej? Obawiał się także wybuchu wściekłości ze strony tej jędzy; dotychczas umiał ją utrzymywać w jakim takim spokoju, ratując resztki swych potrzaskanych mebli. I stał teraz przed zamkniętymi drzwiami szałas, w oślepiającym blasku słońca—przysłuchując się szmerowi głosów, — rozciekawiony tem, co się wewnątrz dzieje. Wszystkie dziewczęta służebne zostały wyrzucone za drzwi na samym początku rozmowy i stały zbite w gromadkę przy ogrodzeniu z twarzami nawpół zasłoniętymi, szczebiocąc z ciekawością i snując domysły. Almayer zapamiętał się zupełnie, usiłując pochwycić choć jakieś luźne słowo przez bambusową ścianę; dopiero kapitan parowca, na którym przyjechała Nina, bojąc się słonecznego udaru dla Almayera, wziął go pod rękę i zaprowadził na werandę. Stał już tam kufer Niny, przyniesiony przez ludzi z parowca. Almayer usadowił kapitana Forda przed pełną szklanką, poczęstował go cygarem, i zapytał zaraz o przyczynę niespodziewanego przyjazdu córki. Ale Ford niewiele miał do powiedzenia poza gwałtownymi ogólnikami o głupocie kobiet wogóle, a pani Vinck w szczególności.

— Wiesz, Kacprze, — rzekł na zakończenie do podnieconego Almayera, — djabelnie głupio mieć w domu metyskę. Wszędzie się trafiają idjoci. Był tam ten młody facet z banku i ciągle jeździł do bungalowu Vincków, i rano i wieczorem. Stara myślała, że to chodzi o jej Emmę. Jak tylko wymiarkowała, co mu właściwie pachnie — dopiero się wrzask podniósł! no! mówię ci. Ani chwili dłużej nie chciała mieć Niny u siebie. Dowiedziałem się o tej historii i wziąłem dziewczynę do nas. Moja żona jest niezłą sobie kobieciną i — słowo daję, — bylibyśmy ją zatrzymali przez wzgląd na ciebie, tylko że sama nie chciała zostać. No, no!

nie unós się Kacprze. Siedz spokojnie. Cóż na to możesz poradzić? Tak będzie lepiej — niech zostanie z wami. Nigdy nie byłaby tam szczęśliwa. Te dwie dziewczyny Vinczków są mało co lepsze od tresowanych małp. Pogardzały nią. Trudno, nie możesz zmienić jej skóry. I po co kłać? nic ci to nie pomoże. To dobra dziewczyna, pomimo wszystko, ale nie chciała nic mojej żonie powiedzieć. Chcesz, to jej się sam rozpytaj, ale na twojem miejscu zostawiłbym ją w spokoju. O zapłatę za przejazd niech cię głowa nie boli, mój stary, pewno jesteś kuso z pieniędzmi". Tu kapitan rzucił cygaro i poszedł, aby „napędzić tych tam na statku”, jak się wyraził.

Almayer naprózno oczekiwał, że dowie się o przyczynie powrotu córki z jej własnych ust. Ani pierwszego dnia, ani też później nie wspomniała nigdy o swoim życiu w Singapurze. Bał się pytać, onieśmielony niewzruszonym spokojem jej twarzy, poważnym wyrazem oczu, skierowanych wdał, poza niego, na wielkie, ciche lasy, spoczywające w majestatycznym śnie przy wtórze szerokiej rzeki. Pogodził się ze skrytością córki, uszczęśliwiony jej przywiązaniem i opieką, jaką go otaczała. Stosunek Niny do ojca nie był jednak równy. Przychodziły na nią niekiedy tak zwane „złe dni”; odwiedzała wtedy matkę, przesiadując godzinami w szałasie nad rzeką. Wychodziła stamtąd równie niezbadana, jak i przedtem, lecz w spojrzeniu jej przebijała pogarda, a wszelkie przemowy Almayera zbywała krótką odpowiedzią. Przyzwyczał się nawet i do tego; zachowywał się cicho w takie dni, nie okazując wielkiej trwogi, jaką w nim budził wpływ żony na córkę. Skądinąd Nina przystosowała się z zadziwiającą łatwością do warunków nawpół dzikiego, nędznego życia. Znosiła bez niechęci ani też widocznego wstrętu zaniedbanie, nieład, bie-

dę panującą w domu, brak umeblowania i uprzykrzone potrawy z ryżu. Mieszkała z Almayerem w butwiejącym domku, zbudowanym niegdyś przez Lingarda dla młodej pary. Malaje rozprawiali z ożywieniem o przybyciu Niny. Zdarzały się na początku tłumne najścia Malajek z dziećmi, domagających się natarczywie od młodej Mem Putih, aby udzieliła im „Ubat” na wszystkie choroby. Z nadejściem wieczornego chłodu poważni Arabowie w długich, białych koszulach i żółtych kaftanach bez rękawów kroczyli zwolna pylną ścieżką wzdłuż rzeki ku wrotom Almayera. Zaszczycając niewiernego uroczystymi odwiedzinami pod pierwszym lepszym pozorem jakiegoś interesu, myśleli tylko o tem, aby zerknąć na jego córkę,—w sposób zresztą wysoce przywoity. Nawet Lakamba ukazał się z poza swego częstokołu, olśniewając widzów orszakiem łodzi wojennych pod czerwonymi parasolami. Wylądował na zmurzałym pomoście firmy Lingard i Sp. i oświadczył, że przybywa, aby zakupić parę miedzianych strzelb na podarunek dla swojego przyjaciela, wodza sambirskich Dajaków. Almayer, podejrzliwy lecz uprzejmy, zajął się osobiście odgrzebywaniem starych strzelb w składach, a radza zasiadł w fotelu na werandzie, otoczony orszakiem, przejętym czcią dla władcy i czekał napróżno na pojawienie się Niny. Był to jeden z jej „złych dni”; pozostała w szalasi matki, śledząc zdaleka uroczyste ceregiele. Radza oddalił się, zawiedziony lecz pełen dworności, Almayer zaś począł wkrótce zbierać owoce polepszonych stosunków z władcą w postaci odzyskania niektórych długów; zwrócili je wśród mnogich usprawiedliwień i wielu niskich pokłonów dłużnicy, których do tej pory uważał za beznadziejnie niewypłacalnych. Wobec tych pomyślniejszych okoliczności Almayer nabrał otuchy. Może jeszcze nie wszystko było straco-

ne? Arabowie i Malaje przekonali się nakoniec, że i on coś znaczy. I, snując rozległe plany według swego zwyczaju, pogrążał się w marzeniach o wielkiej fortunie dla siebie i Niny. Dla niej przedewszystkiem! Pod wpływem tych ożywczych podniet poprosił kapitana Forda o napisanie do Anglii, do przyjaciół, którzy zajęli się poszukiwaniem Lingarda. Czy żyje, czy też umarł? A jeśli nie żyje, czy nie zostawił jakichś papierów, dokumentów, czy też wskazówek co do wielkiej swojej wyprawy? Almayer znalazł tymczasem wśród rupieci, w jednym z pustych pokoi, notatnik, należący niegdyś do starego awanturnika.. Wczytywał się w zawile pismo kartek i zamyślał się często nad niemi. Zaszły także i inne wypadki, budzące go z odrętwienia. Założenie British Borneo Company wstrząsnęło całą wyspą, ożywiając nawet ślimaczy nurt sambirskiego życia. Oczekiwano wielkich zmian, mówiono o aneksji; Arabowie byli coraz grzeczniejsi. Almayer rozpoczął budowę nowego domu na użytek przyszłych inżynierów, agentów, lub osadników nowej spółki. Włożył w to z ufnością sercem wszystko, co posiadał, aż do ostatniego guldena. Jedną tylko okoliczność psuła mu szczęście: oto żona jego porzuciła swoją kryjówkę, wnosząc w zacisze małego bungalowu zielony kaftan, obcisły sarong, ostry głos i wygląd czarownicy. A córka przyjęła z zadziwiającą równowagą to dzikie wtargnięcie w poufność ich codziennego życia. Nie podobało się to Almayerowi, ale nie ośmielił się nic powiedzieć.

ROZDZIAŁ III

Władza postanowień, zapadłych w Londynie, sięga daleko. W gmachu przesłoniętym mgłą, siedzibie Borneo Company, powzięto decyzję, która zgasła w oczach Almayera świetny blask tropikalnego słońca, pojąc go żółcią jeszcze jednego zawodu. Anglja wyrzekła się pretensji do tej części zachodniego wybrzeża i zostawiła rzekę Pantai pod nominalną władzą Holandji. W Sambirze wybuchła radość i podniecenie. Niewolników usunięto pośpiesznie z widoku w głąb lasu i dżungli, a w osiedlu radży powiały chorągwie z wysokich żerdzi, w oczekiwaniu na odwiedziny holenderskich łodzi wojennych.

Fregata stanęła na kotwicy poniżej ujścia rzeki, łodzie zaś popłynęły w górę, holowane przez parową szalupę, snując się ostrożnie krętym węzłem wśród mrowia członów, przepelnionych Malajami w barwnych strojach. Do wodzący oficer wysłuchał z powagą lojalnej przemowy Lakamby, odwzajemnił salaamy Abdulli i zapewnił tych dostojników w wyszukanym języku malajskim, że wielki radża, hen w Batawji, żywi przyjaźń i jaknajlepsze chęci

względem władcy i mieszkańców wzorowego państwa Sambiru.

Almayer śledził z werandy poprzez rzekę ten uroczysty ceremonjał. Słyszał huk armatek na cześć nowej flagi, ofiarowanej Lakambie i głęboki pogwar tłumu, falującego wzdłuż ostrokołu. Dym wystrzałów unosił się w białych obłokach na zielonem tle lasu i Almayer porównał mimowoli swoje zawodne nadzieje do niknącej szybko mgły. Nie czuł bynajmniej patryjotycznego uniesienia wobec tych wypadków, musiał jednak zdobyć się na uprzejmość, gdy oficerowie marynarki, należący do komisji, przeprawili się przez rzekę po urzędowym ceremonjale. Zaciekawiał ich biały samotnik, o którym chodziły przeróżne wieści, pragnęli też niewątpliwie zerknąć na jego córkę; pod tym względem jednak spotkało ich rozczarowanie, bo Nina nie chciała się ukazać. Dżyn i cygara, które umieścił przed gośćmi uprzejmy Almayer, snać łatwo ich pocieszyły. Porozkładali się wygodnie na kulawych fotelach w cieniu werandy; szeroka rzeka zdawała się wrzeć w żarze i oślepiającym blasku słońca, a goście przepełniali mały bungalow niezwykłym gwarem europejskich języków. Śmieli się do rozpuku z tłustego Lakamby, którego obsypali dopiero co tyłu pochlebstwami. Młodszy z pośród oficerów, w przystępie naglej życzliwości dla gospodarza, wyciągnęli go na zwierzenia. Podniecony widokiem europejskich twarzy, dźwiękiem mowy europejskiej, Almayer otworzył serce wobec pełnych współczucia nieznanym, nie zdając sobie sprawy, jak dalece opowiadanie o jego rozlicznych nieszczęściach bawi tych przyszłych admirałów. Pili jego zdrowie, życząc mu mnóstwa djamentów i całej góry złota, oświadczyli nawet, że zazdroszczą wielkich przeznaczeń, oczekujących go jeszcze. Ośmielony tak wielką życzliwością, siwowłosy

i naiwny marzyciel zaprosił gości, aby obejrzeni nowy jego dom. Poszli tam luźną gromadką przez wysoką trawę. Zwiedzono wielkie pokoje, z których ziało pustką i zaniedbaniem; przez okienne otwory wpadał letni powiew, wirując wśród zeschniętych liści i kurzu, osiadłego grubą warstwą. Almayer w białej kurtce i kwiecistym sarongu stał w gronie błyszczących mundurów i stukał mocno nogą w podłogę, aby okazać wytrzymałość szczelnie dopasowanych taflí; rozwodził się przytem nad znakomitą budową i dogodnością budynku. Oficerowie słuchali go, potakując, zdumieni zadziwiającą prostodusznością i ślepą wiarą w przyszłość tego człowieka, aż wreszcie, podniecony Almayer wyraził żal z powodu niedoszłego przybycia Anglików, „którzy umieją podnieść dobrobyt bogatego kraju“. W odpowiedzi na to szczere wyznanie holenderscy marynarze wybuchnęli śmiechem i ruszyli ku łodziom. Mała flotylla była już gotowa do powrotnej drogi o chłodzie wieczornym. Stąpając ostrożnie po zbutwiałyach belkach pomostu Lingarda, Almayer zbliżył się do przewodniczącego komisji i napomknął nieśmiało o obronie, należynej poddanym holenderskim przed chytrymi Arabami. Na to morski dyplomata odpowiedział znacząco, że Arabowie lepszymi są poddanymi od Holendrów, którzy prowadzą z Malajami zakazany handel prochem. Bogu ducha winny Almayer poznał tu odrazu gładki język Abdulli i uroczystą wymowę Lakamby, ale nim zdążył wyrazić protest pełen oburzenia, parowa szalupa i szereg łodzi ruszyły szybko wdół rzeki, zostawiając go z otwartymi ustami na pomoście, w zdumieniu i gniewie. Trzydzieści mil rzeką dzieli Sambir od wysepek, rozsianych jak klejnoty przy ujściu Pantai, gdzie fregata czekała na powrót małej flotylli. Księżyc wzeszedł, zanim łodzie przebyły połowę tej drogi. Czarny las, śpiący

spokojnie pod zimnem światłem miesiąca, ocknął się, zbudzony salwami śmiechu oficerów, wspominających żalosne zwierzenia Almayera. Z łodzi do łodzi krążyły na jego temat żarty, zaprawne morskim dowcipem, nieobecność jego córki omawiano ze srogim niezadowoleniem, a nawpół ukończony dom, zbudowany na przyjęcie Anglików, został nazwany owej wesołej nocy „Fantazją Almayera”.

Po tych odwiedzinach życie sambirskie toczyło się długi czas zwykłym, monotonnym trybem. Ranne promienie słońca oświetlały dzień w dzień jednaki obraz pracowitej krzątanimy. Gdy Nina szła ścieżką, stanowiącą główną ulicę osady, miała przed oczami zawsze ten sam widok: mężczyźni wylegiwali się na wysokich tarasach z ocienionej strony chat, kobiety zajęte były skrętnie łuskaniem ryżu, a nagie, brunatne dzieci biegały po cienistych i wąskich ścieżkach, wiodących z polanki do polanki. Dzim Eng przechadzał się przed swym domkiem; witał Ninę przyjaznym skinieniem głowy i wspinał się z powrotem po kładce, spiesząc do ukochanej fajki z opium. Starsze dzieci, ośmielone długą znajomością, biegły za Niną i błyskały śnieżnymi zębami, oczekując na deszcz szklanych paciorków; ciemne paluszki ciągnęły na wszystkie strony fałdy jej białej sukni. Nina witała dzieciarnię spokojnym uśmiechem i miała zawsze kilka przyjaznych słów dla sjamskiego dziewczątka, niewolnicy, należącej do Bulangiego. Liczne żony tego pracowitego rolnika słynęły z gwałtowności; chodziły słuchy — niepozabawione zresztą podstawy — że sprzeczeki w chacie Malaja kończą się zwykle gromadnym natarciem wszystkich jego żon na sjamską niewolnicę. Ale dziewczątka nie skarżyło się nigdy; może przez ostrożność, może wskutek dziwnej, biernej rezygnacji, właściwej półdzikim kobietom. Od wczesnego rana widać ją było krążącą wśród chat,

wzdłuż rzeki, lub na pomostach; na głowie kołysała zręcznie tancę z pieczywem, które roznosiła na sprzedaż. Podczas największego upału szukała zwykle schronienia w kampongu Almayera i, zachęcona przez Ninę, przysiadła na piętach w zacienionym kącie werandy. Widok Mem Putih rozjaśniał jej twarz uśmiechem, ale płoszyło ją nadejście pani Almayer, a nawet sam dźwięk jej ostrego głosu.

Z tem sjamskiem dziewczątkiem Nina rozmawiała często, lecz inni mieszkańcy Sambiru nie słyszeli prawie nigdy jej głosu. Przywykli do białej, cichej postaci, snującej się wśród nich, jak niepojęta istota z wyższego świata. A jednak, życie Niny dalekie było od spokoju mimo zewnętrznej równowagi i pozornego oderwania od otaczających ją ludzi i rzeczy. Pani Almayer roztaczała zanadto ożywioną działalność, aby jej domownicy mogli żyć szczęśliwie, a choćby tylko bezpiecznie. Powróciła do swoich stosunków z Lakambą, wprawdzie nie osobiście — ile że godność tego mocarza nie pozwalała mu wydać się poza obręb częstokołu, — lecz obcowała z władcą za pośrednictwem jego premiera, który był zarazem nadzorcą portu, finansowym doradcą oraz ogólnym pełnomocnikiem. Ów dostojnik, pochodzący z plemienia Sulu, posiadał niewątpliwie zalety męża stanu, aczkolwiek pozbawiony był docna wdzięków osobistych. Wyrażając się ściślej — budził wprost odrazę; jedno tylko miał oko i twarz dziobatą, a nos i usta szkaradnie zeszpecone przez ospę. Ta mało zachęcająca osobistość wałęsała się często po ogrodzie Almayera w nieurzędowym kostjumie, złożonym ze szmaty czerwonego perkalu naokoło bioder. Siedząc w kucki przy rozrzuconem ognisku, chytry pośrednik wiódł długie rozmowy z żoną Almayera. Narady owe toczyły się w języku sulu, w bezpośredniej bliskości wielkiego, żelaznego kotła, gdzie kobiety

gotowały codzienną porcję ryżu pod nadzorem pani domu. Burzliwe sceny wybuchały w następstwie tych rozmów u domowego ogniska Almayera, to też nietrudno było domyśleć się ich treści.

Od niejakiego czasu Almayer urządzał wycieczki w górę rzeki. Znikał nagle na kilka dni w małej łódce z dwoma wiosłarzami i wiernym Alim u steru. Wszelkie jego kroki bacznie były śledzone przez Abdullę i Lakambę; człowieka, przed którym zwierzał się ongi sam Radża Laut, uważano za posiadacza cennych tajemnic. Mieszkańcy wybrzeży Borneo wierzą święcie, że w głębi wyspy znajdują się olbrzymie pokłady złota i kopalnie djamentów bajecznej wartości. Wymysłem tym sprzyja trudność przedostania się w głąb wyspy; dotyczy to szczególnie północno-wschodniego wybrzeża, gdzie Malaje i nadbrzeżne plemiona Dajaków, zwanych Head-Hunters, prowadzą wiekuistą wojnę. Prawda i to, że nieco złota przedostaje się na wybrzeże za pośrednictwem owych Dajaków, którzy odwiedzają osady malajskie podczas krótkich okresów zawieszenia broni, zdarzających się wśród ciągłych walk. Na tej wątpliej podstawie piętrzą się najdziksze i najbardziej przesadne domysły.

Almayer, jako człowiek biały — tak jak i poprzednio Lingard — był w nieco lepszych stosunkach z plemionami z nad górnej rzeki. Lecz nawet i jego wyprawy nie były pozbawione pewnego niebezpieczeństwa, a Lakamba wyglądał z niecierpliwością jego powrotu. Za każdym razem czekało radzę rozczarowanie. Napróżno zausznik jego, Babalaczi, prowadził z żoną Almayera długie narady przy kotle z ryżem. Biały człowiek był nieprzenikniony — niedostępny dla namów, przymileń, zniewag, dla słodkich słów i dotkliwych obelg, dla rozpaczliwych błagań i zabój-

czych pogróżek. Żadnym z tych sposobów nie gardziła pani Almayer, pragnąc za wszelką cenę skłonić męża do przymierza z Lakambą. Stawała w błagalnej postawie przed Almayerem i piskliwym głosem wyliczała korzyści ścisłego przymierza z człowiekiem tak dobrym i postępującym tak rzetelnie. Brudna suknia, sięgająca pod pachy, obciskała jej chudą pierś, a kosmyki rzadkich, siwych włosów spadały w nieładzie na kościste, wydatne policzki.

— Dlaczego nie pójdziesz do radży? — skrzeczała — dlaczego wracasz do tamtych Dajaków w wielkim lesie? Powinno się ich wymordować. Ty ich zabić nie możesz, o nie! ale wojownicy naszego radży są mężni. Powiedz radży, gdzie jest skarb białego starca! Nasz radża jest dobry. On jest naszym prawdziwym dziadkiem — Datu Besar! On zabije tych nędznych Dajaków, a ty dostaniesz połowę skarbu. O Kacprze, powiedz, gdzie jest skarb! Powiedz mi! Powiedz, co jest napisane w „surat“ starego człowieka, które czytasz tak często w nocy!

Almayer siedział zgarbiony, uginając się pod naporem burzy domowej. Każdą przerwę w wymowie żony zaznaczał gniewnem mruknięciem: „Niema żadnego skarbu! odejdz, kobieto!“ — Widok jego cierpliwie pochylonych pleców doprowadzał ją do wściekłości. Stawała przed nim twarzą w twarz, przed stołem, o który był oparty i wymyślała mu jednym ciągiem, podkreślając dotkliwie przycinki gestami chudych rąk o krogulczych palcach. Najjadowitsze przekleństwa sypały się na głowę człowieka, który niegodzien jest przymierza z dzielnymi, malajskimi wodzami. Kończyło się to zwykle powolnem dźwignięciem się Almayera. Odchodził w milczeniu, z twarzą ściągniętą bólem, trzymając swoją długą fajkę. Zszedłszy ze schodów, zanurzał się w wysokiej trawie, rosnącej po drodze do samotni

nowego domu; wstręt i lęk przyprawiały go o fizyczne wprost osłabienie, tak, że z wysiłkiem powłóczył nogami. Żona postępowała za nim aż do schodów, zasypując go wśród odwrotu gradem bezładnych obelg. Każda z tych scen kończyła się przesywającym krzykiem, który biegł za nim daleko: „Ty wiesz, Kacprze, jestem twoją żoną! Twoją prawdziwą, chrześcijańską żoną według waszych własnych Blanda praw!” Wiedziała bowiem, że to stanowi największą gorycz, najgłębszy żal w życiu tego człowieka.

Nina była niewzruszonym świadkiem tych wszystkich zajść. Mogło się wydawać, że jest głuchą, niemą i nieczułą jak drewno, bo nie zdradzała się nigdy ze swoim zdaniem. Gdy ojciec szukał schronienia w wielkich, pustych pokojach „Fantazji Almayera”, a matka, wyczerpana krasomówczym napadem, przysiadła ociężale na piętach, oparta plecami o nogę od stołu, Nina podchodziła do niej z ciekawością. Uniósłszy suknię, aby nie splamić jej sokiem z betelu, którym podłoga była spryskana, wlepiła oczy w matkę, niby w głąb wulkanu, uciszonego po niszczącym wybuchu. Myśli pani Almayer zwracały się po tych burzliwych zajściach ku wspomnieniom z dzieciństwa; dawała im wyraz, mruczając coś w rodzaju monotonnego rapsodu, który, mimo pewnej bezładności, wyrażał naogół chwałę sułtana Sulu, niezmierną jego wspaniałość, potęgę i wielkie męstwo, tudzież strach, który porażał serca białych na widok jego zwinnych, pirackich korabi. Rozważania o potędze dziadka mieszała pani Almayer ze strzépami późniejszych wspomnień; główną rolę odgrywał w nich wielki bój z brygiem „Białego Djabła” i życie klasztorne w Samarang. Poruszywszy wspomnienia z klasztoru, milkła nagle; wyciągała mosiężny krzyżyk, który wisiał zawsze na jej szyi i wpatrywała się w niego z przesadną grozą. Ten kawałek

czek metalu był dla niej cennym talizmanem o tajemniczej mocy; niejasny jakiś związek łączył go ze złymi dzinnami. Wierzyła przytem święcie, że w razie zguby owego talizmanu grożą jej straszne tortury, wymyślone specjalnie na jej intencję przez zacną matkę przełożoną. Pojęcia te stanowiły jedyną wiedzę teologiczną pani Almayer na burzliwą drogę żywota. Matka Niny miała przynajmniej jakiś namacalny przedmiot, którego czepiały się jej przesądne wyobrażenia, lecz Nina, wychowana pod protestanckiem skrzydłem wzorowej pani Vinck, nie posiadała nawet mosiężnego krzyżyka na wspomnienie dawnej nauki. Przysłuchiwała się opowieściom o dzikiej chwale, srogich bojach i barbarzyńskiem uctowaniu, o przygodach walecznych, choć krwawych, gdzie mężowie z rasy jej matki jaśnieli wysoko ponad Orang Blanda i stopniowo ogarniał ją nieprzeparty jakiś czar. Patrzyła w zdumieniu, jak ciasna szata cywilizacji, narzucona jej przez ludzi dobrej woli, pęka i osuwa się, pozostawiając ją, drżącą i bezsilną, na krawędzi głębokiej i nieznaney otchłani. Co najdziwniejsze, nie czuła się tem przerażona w okresach, gdy przeważał wpływ niesamowitej istoty o wyglądzie wiedźmy, którą nazywała matką. Pobyt wśród ludzi cywilizowanych wymazał prawie zupełnie z jej pamięci wspomnienia wczesnego dzieciństwa. Poznała w Singapurze zasady chrześcijańskiej religii, nauczyła się form towarzyskich; miała także sposobność przyjrzeć się dokładnie biegowi cywilizowanego życia. Ale, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, opiekunowie Niny nie zdawali sobie sprawy z jej natury, a wychowanie zakończyło się poniżającą sceną — wybuchem pogardy ze strony białych dla jej krwi mieszanej. Nie oszczędzono jej ani jednej kropli gorczy. Pamiętała dokładnie, że gniew pani Vinck dotknął tylko przelotnie młodego człowieka

z banku, skrupiając się na niewinnej istocie, która była przyczyną jego postępowania. Zdawała sobie jasno sprawę, jaki był istotny powód świętego oburzenia pani Vinck. Oto rzecz cała wydarzyła się w tem niepokalanem gnieździe, dokąd powróciły właśnie z Europy panny Vinck, dwie śnieżno-białe gołębicę, chroniąc się pod skrzydła macierzyńskie w oczekiwaniu na mężów bez skazy, przez los im wyznaczonych. Od cnotliwego postanowienia nie powstrzymał pani Vinck nawet wzgląd na pieniądze, zbierane tak mozolnie przez Almayera, który wysyłał je punktualnie na wydatki Niny. Wyprawiono ją do domu, a właściwie mówiąc, sama zapragnęła jechać mimo lęku przed grożącą jej zmianą życia. Odtąd przeżyła całe trzy lata na wybrzeżu Pantai, między dziką matką i ojcem, który błądził wśród potrzasków, zapatrzony w obłoki—słaby, chwiejny i nieszczęśliwy. Żyła w nędznych warunkach, pozbawiona wszelkich wygód. Oddychała atmosferą plugawych knowań w celach zysku, patrzyła na wstrętne intrygi i zbrodnie, wywołane chciwością i żądzą, a wszystko to — z dodatkiem kłótni rodzinnych — stanowiło wyłączną treść trzech lat jej życia. Rozpacz i wstręt nie zabiły jej w pierwszych zaraz tygodniach, jak się spodziewała, ciesząc się prawie tą nadzieją. Przeciwnie, po upływie sześciu miesięcy wydało się jej, że nie zaznała nigdy innego życia. Pozwolono jej nieopatrnie zapoznać się z cywilizacją, a potem strącono ją w beznadziejne trzęsawisko barbarzyństwa, gdzie kłębiły się gwałtowne, nieposkromione namiętności. To też młoda jej dusza straciła wszelką zdolność sądu. Wydało się Nynie, że między ludźmi dzikimi a cywilizowanymi niema zasadniczych różnic. Czy zajmują się handlem w murowanych gmachach, czy też na błotnistym wybrzeżu rzeki; czy sięgają po wielki zysk, czy też po mały; czy oddają się

załotom w cieniu wielkich drzew, czy też w cieniu katedry na promenadzie w Singapurze; czy knują różne machinacje pod opieką prawa i zgodnie z zasadami chrześcijaństwa, czy też zaspokajają swe pragnienia z dziką chciwością i nieposkromionem okrucieństwem natur, równie nietkniętych kulturą, jak ich olbrzymie i mroczne lasy — Nina widziała wszędzie te same jeno przejawy miłości i nienawiści, albo brudnej żądzy zysku. I tu i tam jednaki pościg za niepewnym dolarem we wszelkich jego postaciach, różnorodnych i znikomych. Ale gdy minęło kilka lat, dzika i bezwzględna otwartość celu, właściwa malajskim rodakom Niny, wydała się bliższą stanowczej jej naturze, niż gładka obłuda, uprzejme zmyślenia i cnotliwe pozory, przybierane przez białych ludzi, z jakimi miała nieszczęście się zetknąć. Tamto było ostatecznie jej środowiskiem i miało niem pozostać. Pod wrażeniem tych myśli ulegała coraz bardziej wpływowi matki. Usiłując odkryć jakieś piękno w dzikości malajskiego życia, wsłuchiwała się chciwie w opowieści starej kobiety o wygasłej chwale radzów, jej przodków znamienitych. Wzbierała w niej stopniowo nienawiść i wżgarda dla białej rasy, której przedstawicielem był człowiek tak słaby i pozbawiony tradycji, jak jej ojciec.

Obecność dziewczęcia w Sambirze nie zmniejszyła wcale trudności położenia Almayera, choć przycichł rozruch wzniesiony jej przybyciem, a Lakamba swych odwiedzin nie ponowił. Jakoś w rok po odjeździe holenderskiej komisji, brataniec Abdulli, Said Reszyd, powrócił z pielgrzymki do Mekki, zaszczycony zielonym kaftanem oraz świetnym tytułem hadżiego. Z pokładu parowca, który go przywiózł, wykwitły snopy rakiet, w osiedlu Abdulli całą noc rozlegało się bicie w bębny, a uczta powitalna przeciągnęła się aż do wczesnych godzin ranka. Reszyd był ulubionym sy-

nowcem i spadkobiercą Abdulli. Kochający ten stryj, spotkawszy raz Almayera na wybrzeżu, przystanął grzecznie dla wymiany uprzejmości, i oświadczył uroczyście, że pragnie z nim porozmawiać. Almayer przeczuł coś niedobrego i lękał się zasadzki, — ale, naturalnie, przyjął zapowiedź odwiedzin z oznakami wielkiego rozradowania. Jakoż następnego wieczoru, zaraz po zachodzie słońca, zjawił się Abdulla w towarzystwie kilku siwobrodych arabów i swojego synowca. Młodzieniec ten, o wyglądzie skończonego łajdaka i rozpustnika, udawał najwyższą obojętność na wszystko, co się dzieje. Ludzie z pochodniami ustawili się u podnóża schodów; goście zasiedli na kulawych krzesłach, a Reszyd stanął osobno w cieniu, oglądając pilnie swoje rasowe, małe ręce. Almayer, zdumiony uroczą postawą swoich gości, przysiadł na rogu stołu z charakterystycznym brakiem godności; Arabowie wlot zauważyli to i w spojrzeniach ich odmalowała się surowa nagana. Ale oto przemówił Abdulla, spoglądając mimo Almayera na czerwoną firankę, której lekkie drżenie zdradzało obecność kobiet po drugiej stronie. Przedewszystkiem złożył Almayerowi grzeczne życzenia z okazji długich lat, które przeżyli, mieszkając obok siebie w sąsiedzkiej życzliwości i wyraził pragnienie, aby Allah użyczył mnogich lat życia miłemu sąsiadowi, radując jego szczęściem serca przyjaciół. Dalej napomknął grzecznie o uznaniu, okazanem Almayerowi przez holenderską „commissie“ i wywiódł stąd pochlebny wniosek o wielkiem jego znaczeniu wśród własnego narodu. On sam — Abdulla — cieszy się także nie małym uznaniem wśród wszystkich Arabów, a synowiec jego, Reszyd, będzie dziedzicem jego stanowiska i wielkich bogactw. Reszyd otrzymał teraz godność hadziego. Jest właścicielem kilku kobiet malajskich, cią-

gnął dalej Abdulla, ale czas już, by wybrał sobie ulubioną żonę, pierwszą z czterech, dozwolonych przez proroka. I przemawiając dalej z wyszukaną grzecznością, wyłożył oniemiałemu Almayerowi, że w razie jego zgody na związek córki z prawowiernym i zacnym mężem, jakim jest Reszyd, będzie ona panią wszystkich wspaniałości w jego domu i pierwszą żoną najpotężniejszego na wyspach Araba z chwilą, gdy on — Abdulla — zostanie powołany przez Allaha do rajskiej szczęśliwości. „Ty wiesz, tuanie, — dodał — tamte kobiety będą jej niewolnicami, a dom Reszyda jest wielki. Wisi tam wielkie zwierciadło w ramie świecącej jak złoto. Reszyd przywiózł z Bombaju wielkie sofy, i kosztowne dywany, i meble europejskie. Czegoż więcej może pragnąć dziewczyna?” Osłupiały Almayer patrzył z przerażeniem na Araba, ten zaś odprawił swiętę skinieniem ręki i przeszedł do bardziej poufego tonu. Zakończył wreszcie wykazem materialnych korzyści takiego związku i propozycją wypłacenia Almayerowi trzech tysięcy dolarów, mających stanowić dowód jego szczerzej przyjaźni, a zarazem cenę dziewczyny.

Biedny Almayer bliski był szaleństwa. Gorejąc pragnieniem porwania Abdulli za gardło, musiał jednak pomyśleć o swem położeniu bez wyjścia wśród ludzi żyjących bezprawiem i zrozumiał konieczność dyplomatycznego załatwienia sprawy. Zdusiwszy poryw wściekłości, przemówił grzecznie i chłodno; zaznaczył, że dziewczyna jest jeszcze bardzo młoda i że miłuje ją jak źrenicę oka. Tuan Reszyd, będąc prawowiernym i hadżim, nie chciałby mieć zapewne niewiernej żony w haremie. Sceptyczny uśmiech Abdulli, wywołany tą uwagą, zamknął usta Almayerowi. Za mało dowierzał sobie, aby ciągnąć dalej; nie śmiał wręcz odmówić, ani też uciec się do jakiegoś wybiegu. Abdulla zrozumiał, co znaczy to milczenie i powstał z miejsca, że-

gnając Almayera salaamem pełnym powagi. Wyraził życzenie „tysiąca lat życia” swemu przyjacielowi Almayerowi, poczem zszedł wolno ze schodów, podtrzymywany z należytą troskliwością przez Reszyda. Niewolnicy wstrząsnęli pochodniami, deszcz iskier opadł w rzekę i orszak jął się zwolna oddalać. Wzburzony Almayer odetchnął z wielką ulgą i osunął się na krzesło. Śledził migotanie światełek, aż zgasły między drzewami, a odgłos stąpań i szmer głosów ustąpiły zupełnej ciszy. Wkrótce zaszeleściła zasłona i Nina weszła na werandę. Rzuciła się w bujający fotel, gdzie spędzała dzień w dzień długie godziny. Oparta o poręcz, kołysała się zlekka, przymknawszy oczy; promienie włosów kryły jej twarz przed światłem zakopconej lampy. Almayer spojrział na nią z ukosa, lecz rysy jej były nieporuszone, jak zwykle. Zwróciła głowę w stronę ojca i zapytała po angielsku, ku wielkiemu jego zdumieniu:

— Czy to Abdulla był tutaj?

— Tak, — odrzekł Almayer — w tej chwili poszedł.

— I czegoż on chciał, ojcze?

— Chciał kupić ciebie dla Reszyda, — odparł brutalnie Almayer w nagłym przypiływie gniewu i spojrział badawczo na dziewczę, jakby się spodziewał jakiegoś przejawu jej uczuć. Lecz Nina trwała w pozornym spokoju, patrząc wciąż sennie w czarną noc na dworze.

Nastąpiło krótkie milczenie.

— Bądź ostrożną, Nino, gdy jeździsz sama łódką po zatokach, — dodał Almayer, wstając z krzesła. — To po-pędliwy łotr, ten Reszyd i Bóg wie, co mogłoby mu strze-lić do głowy. Czy mnie słyszysz?

Nina stała już przy wejściu, ujawszy firankę zawieszoną w drzwiach. Zwróciła się ku ojcu, odrzucając wtył nagłym ruchem ciężkie swoje warkoczce.

— Myślisz, żeby się odważył? — spytała szybko i odwróciwszy się znów ku drzwiom, dodała ciszej — Nie, nie odważyłby się. Wszyscy Arabowie, to tchórze.

Almayer popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie położył się spać w hamaku. Jął chodzić z roztargnieniem po werandzie, przystając w zamyśleniu u balustrady. Lampa wypaliła się i zgasła. Pierwsza smuga świtu zajaśniała nad lasami; wilgotne powietrze przejęło go dreszczem. „Nic nie rozumiem” — mruknął, układając się ociężale do snu. „Do licha, z temi babami! Słowo daję, wyglądało mi na to, że dziewczyna chce być porwana!”

Poczuł, że nieokreślony jakiś lęk wkrada mu się do serca i dreszcz wstrząsnął nim znowu.

ROZDZIAŁ IV

Tegoż roku, z nastaniem zachodniego monsunu, niepokojące wieści przedostały się do Sambiru. Kapitan Ford przyszedł któregoś dnia do Almayera na wieczorną pogawędkę i przyniósł ostatnie numery dziennika Straits Times z wiadomością o wojnie Aczyńskiej i nieudanej holenderskiej wyprawie. W górę rzeki płynęły nieliczne handlowe czółna; właściciele ich, Malaje z plemienia Nakhoda, wstępowali po drodze do Lakamby, aby pogawędzić z mocarzem o niepewnym stanie rzeczy. Kiwano poważnie głowami nad zdzierstwem Holendrów, ich surowością — jednym słowem tyranją. Handel prochem doszczętnie już wytępili. W cieśninach makassarskich rewidują starannie każdy podejrzany statek handlowy! Nawet lojalna dusza Lakamby pograżyła się w niezadowoleniu, gdyż cofnięto udzielone mu pozwolenie na kupno prochu. Krążownik Princess Amelia skonfiskował sto pięćdziesiąt beczek owego towaru, gdy po ryzykownej podróży cenny ładunek dobijał ujścia Pantai. Tych przykrych wieści udzielił Lakambie Reszyd, który — po swym matrymonialnym zawodzie — pu-

ścił się w długą podróż wśród wysp w celach handlowych. Wiózł zapas prochu dla swego przyjaciela i został przyłapany właśnie w chwili, gdy wieszował sobie przebiegłości, dzięki której zmylił czujność władz. Gniew Reszyda skrupił się głównie na Almayerze; młody Arab podejrzewał, że to biały doniósł władzom holenderskim o niszczącej wojnie między Arabami, sprzymierzonymi z radzą, a plemionami Dajaków z nad górnej rzeki.

Ku zdumieniu Reszyda radza przyjął jego skargi bardzo zimno i nie zawrzał chęcią pomsty na białym człowieku. Lakamba wiedział doskonale, że Almayer daleki jest od mieszania się do spraw politycznych. Stosunek władcy do tego prześladowanego osobnika uległ przytem zasadniczemu przełomowi: nastąpiło pojednanie za pośrednictwem nowego przyjaciela Almayera, Deina Maruli.

Almayer miał teraz przyjaciela. Wkrótce po wyruszeniu Reszyda w podróż Nina wracała wieczorem z samotnej wycieczki łódką, niesiona powolnym prądem. W jednej z zatoczek posłyszała dziwny plusk, ni to ciężkich lin opadłych w wodę; jednocześnie doszedł jej uszu przeciągły śpiew, jakim malajscy żeglarze uprzyjemniają sobie zwykle ciężką pracę. Przez gałęzie krzewów, kryjących ujście zatoki, ujrzała europejski żaglowiec, górujący nad wierzchołkami palm nipa; holowano go właśnie ku środkowi rzeki. Słońce już zaszło. Podczas krótkich chwil zmierzchu Nina spostrzegła, że bryg, wspomagany prądem i wieczornym powiewem, kieruje się ku Sambirovi, rozwinąwszy przedni żagiel. Wycofała łódkę z głównego koryta rzeki do jednej z licznych cieśnin, oplątujących zadrzewione wysepki i płynęła żwawo w kierunku Sambiru, zanurzając wiosła w czarną, senną wodę. Łódka otarła się o wodne palmy i minęła błotniste wybrzeże, królestwo statecznych

aligatorów, które patrzyły na wiosłarkę leniwym i obojętnym wzrokiem. Nim ciemność zapadła, Nina wypłynęła na szersze wody w miejscu, gdzie zlewały się oba ramiona rzeki. Bryg stał już tu na kotwicy ze zwiniętymi żaglami; na pokładzie nie było żywej duszy. Chcąc dostać się do domu, stojącego na niskim przyładku w widłach rzecznych, Nina musiała przepłynąć na drugi brzeg tuż obok żaglowca. Wgórę obu ramion Pantai światelka, błyszczące już w nadbrzeżnych i nawodnych chatach, odbijały się w spokojnym nurcie. Przez szeroko rozlaną dal rzeki niósł się gwar jakichś głosów, płacz dziecka i dudnienie drewnianego bębna, a z dalekich ciemności nadpłynęły nawoływania powracających rybaków. Nina wstrzymała łódkę, zaniepokojona niezwykłym widokiem europejskiego statku, ale przyszło jej zaraz na myśl, że mrok jest dość gęsty, aby mogła przedostać się niepostrzeżenie. Ukląkszy na dnie czołna, jęła szybko wiosłować; podana naprzód, czujna na podejrzane szelesty, sterowała ku pomostowi Lingarda i Sp., a za przewodnika służyło jej jaskrawe światło lampy, padające na bielone ściany bungalowu Almayera. Pomost skryty był w ciemnościach pod zwisłemi krzakami; zanim zdołała go dostrzec, rozległ się głuchy łomot, jakgdyby wielka łódź uderzyła o zbutwiałe pale. Szept przyciszonej rozmowy doszedł uszu Niny; zbliżywszy się jeszcze bardziej, dojrzała ową łódź, której biała barwa i wielkie rozmiary zdradzały przynależność do brygu. Zatrzymała w mig czołno i szybkim ruchem wiosła odsadziła się daleko od pomostu, sterując ku drobnej rzeczulce, przepływającej obok podwórza. Wysiadła na błotnistym wybrzeżu i szła ku domowi po wydeptanej trawie. Z lewej strony, skroś lasku bananów, przesiewał się czerwony blask kuchennego ogniska; śmiech kobiety dochodził stamtąd w wieczornej ciszy.

Nina odgadła, że niema matki w pobliżu, gdyż śmiech i obecność pani Almayer nie godziły się z sobą. „Matka jest pewnie w domu“, pomyślała i wbiegła lekko po uginającej się, pochyłej kładce, która wiodła do tylnych drzwi i wąskiego korytarza, dzielącego dom na dwie części. W głębokim mroku przy drzwiach stał wierny Ali.

— Kto to przyszedł? — spytała Nina.

— Przybył wielki mąż malajski — odszepnął gorączkowo Ali. — Bardzo bogaty mąż. Tam stoi sześciu ludzi z włóczniami. Prawdziwy wojownik! rozumiesz, Mem Nina? Jego suknia jest bardzo wspaniała. Widziałem jego suknię. Tak się świeci! Co za klejnoty! Nie idź tam, Mem Nina. Tuan powiedział: niewolno, ale stara Mem poszła. Tuan będzie zły. Miłosierny Allahu! jakie ten mąż ma klejnoty!

Nina prześliznęła się obok wyciągniętej ręki niewolnika i weszła do korytarza. Na drugim jego końcu, w purpurowym żarze, przesianym przez zasłonę, dostrzegła małą, ciemną postać, skuloną przy ścianie; to pani Almayer, zamieniona we wzrok i słuch, śledziła, co się dzieje na werandzie. Nina zbliżyła się z ciekawością, zaintrygowana niezwykłymi gośćmi i natknęła się na wyciągniętą rękę matki, która przyciszonym głosem nakazała jej milczenie.

— Czy widziałaś ich? — odezwał się zdyszany szept Niny.

Pani Almayer zwróciła twarz ku dziewczęciu; zapadłe jej oczy mieniły się dziwnym blaskiem w czerwonym półcieniu firanki.

— Widziałam go — odrzekła prawie niedosłyszalnie, ściskając w kościstych palcach rękę córki. — Wielki radza przybył do Sambiru — Syn Niebios! — mruzczała do siebie stara kobieta. — Odejdź, dziewczyno!

Stały obie tuż przy zasłonie. Nina usiłowała znaleźć się jaknajbliżej szpary, lecz pani Almayer broniła swej pozycji z gniewnym uporem. Po drugiej stronie zasłony nastąpiła przerwa w rozmowie. Słysząc było oddechy kilku ludzi, pobrzęk jakichś ozdób i dźwięk metalowych pochw lub miedzianych naczyń siri, podawanych z rąk do rąk. Pani Almayer i Nina mocowały się w milczeniu. Nagle ktoś poruszył się na werandzie i na zasłonę padł cień od barczystej postaci Almayera. Kobiety przerwały walkę i zastygły w ciszy.

Almayer powstał z krzesła; chciał odpowiedzieć gościowi i obrócił się tyłem do korytarza, nie wiedząc, co się dzieje po drugiej stronie firanki. W głosie jego przebiegał żal i pewne zniecierpliwienie.

— Zwróciłeś się nie tam, gdzie trzeba, tuanie Marula, jeżeli chcesz prowadzić handel. Byłem niegdyś kupcem, ale teraz już nie jestem. Nie wierz, choćby ci w Sambirze mówili co innego. Żadnego towaru nie znajdziesz w moim domu; nie mam nic na sprzedaż i sam niczego nie potrzebuję. Udaj się do radży, o tam, gdzie ogniska palą się na brzegu; za dnia widać jego domy po drugiej stronie rzeki. On ci da pomoc i będzie handlował z tobą. Albo jeszcze lepiej zwróć się do Arabów — ciągnął gorzko Almayer, wyciągając rękę ku Sambirowi. — Abdulla, to jest człowiek, jakiego ci potrzeba. Niema rzeczy, którejby nie kupił i niema rzeczy, którejby nie sprzedał. Wierzaj mi, ja go znam dobrze.

Chwilkę czekał na odpowiedź, poczem dodał:

— Wszystko to jest prawdą i nic więcej nie mam do powiedzenia.

Nina, odepchnięta przez matkę, usłyszała w odpowiedzi miękki, spokojny głos o równym brzmieniu, właściwym wysoko urodzonym Malajom:

— Któżby wąpił o słowach białego tuana? Ale mężczyzna szuka przyjaciół tam, gdzie serce mu każe. Czyż to nie jest także prawdą? Przyszedłem o późnej godzinie, bo mam do powiedzenia coś, czego rad wysłuchasz, tuanie. Jutro udam się do sułtana; każdy handlarz pragnie przyjaźni wielkich mężów. Wrócę tutaj, aby rzec poważne słowa, jeśli taką jest twoja wola. Nie pójdę do Arabów. Ich łgarstwa są bardzo wielkie. I czemże oni są? Chelakka!

Głos Almayera zabrzmiał teraz nieco uprzejmie.

— Jak sobie życzysz, tuanie. Mogę wysłuchać cię jutro o każdej porze, jeśli masz mi coś do powiedzenia. Ale po rozmowie z Lakambą nie zechcesz tu wracać, Inchi Deinie. Zobaczysz. Tylko pamiętaj: ja z Lakambą nie chcę mieć nic do czynienia. Możesz mu to powiedzieć. Właściwie — cóż ty i ja mamy z sobą wspólnego?

— Teraz już znam cię, tuanie! Porozumiemy się jutro. Mówię trochę po angielsku, więc będziemy mogli swobodnie rozmawiać, nikt nas nie zrozumie. A przytem —

Urwał nagle, pytając ze zdziwieniem:

— Co to za hałas, tuanie?

Almayer słyszał także wzrastający hałas i szarpaninę z tamtej strony firanki. Ciekawość Niny brała widać górę nad pruderją pani Almayer. Słyszać było wyraźnie ciężkie oddechy, a firanka wstrząsała się chwilami. Walka była głównie fizyczna, choć pani Almayer nie szczędziła i gniewnych napomnień, odznaczających się, jak zwykle, brakiem wszelkiego logicznego związku oraz nieprzebraną obfитоścią przekleństw.

— Ty bezwstydną kobieto! Czy jesteś niewolnicą? — wrzeszczała rozgniewana matrona. — Zasłoń twarz, nędzny podrzutku! Ty biała żmijo, nie puszczę ciebie!

Na twarzy Almayera odbiło się zakłopotanie i zarazem wątpliwość, czy byłoby wskazaniem pośrednictwo między matką a córką. Spojrzał na swego malajskiego gościa, który z ubawioną miną oczekiwał w milczeniu na koniec zajścia.

— To nic, to tylko kobiety, — odezwał się Almayer i machnął pogardliwie ręką.

W odpowiedzi na to wyjaśnienie Malaj skłonił poważnie głowę, a twarz jego przybrała wyraz pogodnej obojętności, zgodnie z wymaganiami etykiety. Walka za firanką ucichła i widocznie młodsza wola postawiła na swoim, gdyż rozległ się klekot sandałów pani Almayer i cichnąc, zamarł w oddali.

Pan domu uspokoił się; chciał podjąć przerwana rozmowę, lecz uderzyła go nagle zmiana w wyrazie twarzy gościa. Odwrócił się i ujrzał Ninę, stojącą w drzwiach.

Po odwróceniu pani Almayer z pola bitwy Nina uniosła zdobytą firankę z wykrzykiem: „To tylko kupiec!” i stanęła w progu, w pełnym świetle, na ciemnym tle korytarza. Zwichrzone jej włosy świadczyły o niedawnej walce, usta rozchylone drżały, a gniewny blask nie wygasł jeszcze we wspaniałych, świetlistych oczach. Ogarnęła spojrzeniem grupę biało odzianych wojowników, stojących nieruchomo z włóczniami w ciemnym, oddalonym kącie werandy i wzrok jej utkwiał z ciekawością w przywódcy okazałego orszaku. Dein Marula stał naprzeciwko niej, nieco z boku. Uderzony pięknnością niespodzianego zjawiska, zgiął się w niskim pokłonie z dłońmi złożonymi nad głową, na znak hołdu, świadczonego zwyczajem malajskim tylko wielkim tej ziemi. Jaskrawe światło lampy mieniło się w złotych haftach, zdobiących czarny, jedwabny kaftan Malaja; snop iskier tryskał z drogocennej rękojeści krissa, zatkniętego za sze-

roki pas, który ujmował w biodrach gęste fałdy czerwonego sarongu. Wspaniałe kamienie, zdobiące ciemne palce rąk Deina, jarzyły się tęczowo. Wyprostował się szybko po niskim pokłonie i wsparł rękę ruchem pełnym wdzięku i swobody na rękojeści ciężkiego miecza o krótkiej pochwie, zdobnej jaskrawo barwionemi frendzlami z końskiego włosienia.

Nina, stojąc w drzwiach, patrzyła na gietką postać Malaja; średniego był wzrostu, lecz szerokie jego barki zdradzały wielką siłę. Z pod zwojów niebieskiego turbana o strzępiastych końcach, spuszczonej malowniczo na lewe ramię, wyglądała twarz, kipiąca zuchwałą radością życia, a jednak niepozbawiona wyrazu pewnej godności. Kwadratowe szczęki, czerwone, wydatne wargi, ruchome nozdrza i wyniosły ruch głowy zdradzały istotę nawpół dziką, nieokiełznaną, a może i okrutną; zacierają wrażenie aksamitnej, prawie kobiecej łagodności spojrzenia, o wyrazie tak znamionym dla malajskiej rasy. Ochłonawszy nieco ze zdumienia, Nina ujrzała oczy Malaja, wparte w nią z tak nieposkromionym wyrazem zachwytu i pożądania, że ogarnął ją nieznany dotąd poryw wstydu; rozkoszny niepokój przeniknął nawskroś całą jej istotę. Strwożona niezwykłością tych wrażeń, zatrzymała się w progu i instynktownie zakryła twarz firanką, lecz oko, część policzka i zbłąkany promień włosów pozostały niezasłonięte. Przykuwał ją nieodparcie widok tego wspaniałego, nieulekłego męża; jakże niepodobny był do kupców, widywanych dotychczas na tej samej werandzie!

Dein Marula, olśniony nieoczekiwanem zjawiskiem, zapomniał o Almayerze, o brygu, o świcie, zagapionej w niemym podziw, o celu swych odwiedzin. Świat cały

zapadł się naokół, zostało tylko przecudne zjawisko i rozkosz, z jaką pochłaniał je wzrokiem.

— To moja córka — rzekł zmieszany Almayer. — Nic nie szkodzi. Białe kobiety mają inne zwyczaje — pewno wiesz o tem, tuanie, ponieważ wiele podróżowałeś. No, ale już późno. Jutro skończymy naszą rozmowę.

Dein zgiął się w niskim pokłonie. Ostatni raz jeszcze rzucił wzrokiem na Ninę, usiłując zawrzeć w tem spojrzeniu bezmiar swojego zachwyty. W następnej chwili podał Almayerowi rękę z uprzejmością i powagą, a na jego twarzy malowała się kamienna obojętność, jak gdyby wogóle istnienia kobiet nie przeczuwał. Ludzie Deina oddalili się długim sznurem; ruszył wnet za nimi, a śladem jego postępował krępy Sumatryjczyk o dzikim wyglądzie, przedstawiony uprzednio jako dowódca brygu.

Nina podeszła do balustrady. Światło księżycy przewijają się po stalowych ostrzach włóczni wojowników, zmierzających gęsiego do przystani; mosiężne obręcze na ich nogach pobrzękiwały rytmicznie. Po chwili łódź odbiła od brzegu i ukazała się w pełnym świetle miesiąca, mającąc ni to ciemna, bezkształtna masa w lekkiej mgłę, wiszącej nad rzeką. Wydało się Ninie, że widzi u rufy wdzięczną postać męską na tle rozpostartego żagla, lecz po chwili wszystkie kontury zamazały się i rozpląnęły w zwojach białych oparów, otulających środek rzeki.

Almayer zbliżył się do córki. Wsparł się obu rękami o poręcz i spoglądał markotnie na stos śmieci i potłuczonych butelek u stóp werandy.

— Co znaczył ten hałas przed chwilą? — sarknął gniewnie, nie podnosząc oczu. — Niech was doprawdy! Czego chciała twoja matka? A ty dlaczego się pokazałaś?

— Matka nie chciała mnie puścić, — odpowiedziała Nina. — Gniewa się na mnie i mówi, że ten człowiek, który dopiero co odszedł, to wielki radża. Myślę teraz, że ona ma rację.

— Widzę, że powarjowałyście obie, — warknął Al-mayer. — Cóż to cię może obchodzić? albo ją, albo kogo-kolwiek? Ten człowiek chce zbierać po wyspach trepang i ptasie gniazda — oto co mi powiedział ten wasz radża! Przyjdzie tu jutro. Życzę sobie, abyście się trzymały zdaleka od domu i pozwoliły mi zająć się spokojnie interesami.

Na drugi dzień Dein Marula zjawił się znowu i miał długą rozmowę z Almayerem. Nawiązali przyjazny i zażyły stosunek, komentowany w Sambirze na przeróżne sposoby. Zczasem sąsiedzi Almayera przywykli do widoku gęstych ognisk, zapalonych w jego kampongu, gdzie ludzie Maruli grzali się nocną porą w czas północno-wschodniego monsunu. Pan ich wiódł tymczasem długie narady z tuanem Putih, jak nazywali między sobą Almayera. Nowy kupiec wzbudził w Sambirze ogólne zaciekawienie. Czy widział się z sułtanem? Co mu sułtan powiedział? Czy ofiarował sułtanowi jakie dary? Co będzie sprzedawał? a co będzie kupował? Mieszkańcy bambusowych chat z nad rzeki zajmowali się gorliwie temi zagadnieniami. Nawet w bardziej okazałych siedzibach: w domu Abdulli, w posiadłościach najbogatszych kupców — Arabów, Chińczyków i Bugisów — podniecenie umysłów było wielkie i długotrwałe. Proste słowa, w jakich młody kupiec opowiadał chętnie swoje dzieje, nie znajdowały posłuchu u podejrzliwych mieszkańców Sambiru. A jednak miały one wszelkie pozory prawdy. Mówił, że jest kupcem i że ma na sprzedaż ładunek ryżu. Nie będzie kupował gutaperki ani wosku. Swojej licznej załogi użyje do zbierania

trepangu na koralowych rafach, poniżej ujścia rzeki; zamierza także poszukiwać ptasich gniazd na lądzie. Te dwa rodzaje towaru gotów jest nabyć, o ileby były na sprzedaż. Dalej mówił, że pochodzi z Bali i jest braminem. Ten ostatni fakt można było stwierdzić, bo młody kupiec nie przyjmował żadnego pożywienia podczas swych częstych odwiedzin w domach Lakamby i Almayera. Do Lakamby udawał się zwykle nocą na długotrwałe posłuchania. Babalaczi, który uczestniczył zawsze w tych spotkaniach mocarza z kupcem, umiał pozbyć się natrętów, usiłujących dowiedzieć się o treści tak długich i częstych rozmów. Gdy poważny Abdulla zadawał mu od niechcienia wielce dworne zapytania, Babalaczi szukał ucieczki w niezmiernej prostocie odpowiedzi, a umiał przytem nadać swemu jedyne-
mu oku wyraz zupełnej bezmyślności.

— Jestem tylko niewolnikiem mojego pana — szep-
tał wahająco, poczem — niby decydując się nagle na ja-
kieś niebaczne zwierzenie, — zawiadamiał o kupnie ryżu,
dokonanem przez Lakambę i powtarzał kilkakrotnie uro-
czystym i tajemniczym tonem: „Sto wielkich worków ku-
pił sułtan! sto worków, tuanie!” Abdulla, przeświadczony,
że chodzi tu o wiele ważniejsze sprawy, przyjmował je-
dnak informacje z wszelkimi oznakami zdziwienia oraz
szacunku i rozchodzili się każdy w swoją stronę. Arab
przeklinał w duchu nędznego psa, a Babalaczi wędrował
dalej drożyną, pełną kurzu i kiwał się, wytknąwszy naprzód
brodę, porosłą rzadkimi, siwymi włosami, — podobny do
ciekawego kozła, który puścił się na jakąś zakazaną wy-
prawę. Dwoje baczących oczu śledziło jego poruszenia.
Dżim Eng, dostrzegłszy w oddali Babalacziego, otrząsał się
z odrętwienia, zwykłego u nałogowych palaczy opjum;
chwijnym krokiem wychodził aż na środek ścieżki i ocze-

kiwał nadejścia znakomitego męża, aby go do siebie zaprosić. Lecz dyskrecja Babalacznego umiała odeprzeć nawet atak przyjacielskiej serdeczności, popartej tęgim dżynem, dolewany hojnie ręką gościnnego Chińczyka. Dżim Eng musiał wkońcu uznać się za pokonanego; pozostawał sam na sam z pustą butelką, równie mądry jak i przedtem, i spoglądał smętnie za oddalającą się postacią sambirskiego statysty, którego zawiała i kręta droga wiodła, jak zwykle, do kampongu Almayera.

Od chwili, gdy za pośrednictwem Deina nastąpiło pojednanie między jego białym przyjacielem a Lakambą, jednooki dyplomata stał się znów częstym gościem w domu Holendra. Można go było spotkać tam o każdej porze, ku wielkiej odrazie Almayera; wałęsał się z roztargnioną miną po werandzie, siedział przycupnięty gdzieś w korytarzu, lub też wyglądał znieca z za węgła, a zawsze gotów był wdać się w poufną pogawędkę z panią Almayer. Stosunek jego do pana domu cechowała wielka płochliwość; śnać podejrzewał, że uczucia, rozpierające na jego widok serce białego, mogłyby znaleźć niepożądane ujście w nagłym kopnięciu. Ulubionem jego schroniskiem była kuchenna szopa, gdzie stał się codziennym gościem. Przysiadał na piętach obok krzątających się kobiet i trwał tak godziny całe z głową wspartą o kolana, oplecione chudemi ramionami; samotne jego oko błędziło niespokojnie na wszystkie strony, uzupełniając ten żywy wizerunek czujnej brzydoty. Almayer chciał nieraz poskarżyć się Lakambie na natręctwo jego premjera, lecz Dein mu to odradził.

— Nie możemy zamienić dwóch słów, aby ten nie słyszał! — narzekał Almayer.

— A więc przyjdź, tuanie, na pokład brygu, tam porozmawiamy swobodnie — odparł Dein ze spokojnym

uśmiechem. — To nic nie szkodzi, że się ten człowiek tu wałęsa; Lakamba myśli, że wie o wszystkim. A może sułtan podejrzewa mnie o chęć ucieczki? Pozwól, tuanie, niech jednooki krokodyl wygrzewa się w twoim kampongu.

Almayer przyzwolił, ale niechętnie. Mrucząc niewyraźne groźby, spoglądał z pod oka na wiekowego statystę, który przesiadywał ze spokojnym uporem przy rodzinnym kotle z ryżem.

ROZDZIAŁ V

Rozgorączkowane mieszkańcy Sambiru ochłonęli stopniowo. Przyzwyczajono się czasem do widoku ludzi, krążących między domem Almayera a statkiem, który stał na kotwicy u przeciwległego brzegu. Niezwykły pośpiech, z jakim czeladź Almayera zabrała się do naprawienia starych czółen, nie wadził już kobietom sambirskim w należytem wykonywaniu czynności gospodarczych. Nawet zawiedziony Dżim Eng przestał dręczyć swój mętny umysł handlowemi zagadkami; za pośrednictwem fajki z opjum pograżał się w stan błogiej niepamięci i zostawiał w spokoju Babalacziego, który mijał jego chatę, nie zwracając pozornie niczyjej uwagi.

Owego skwarne go popołudnia sambirski statysta, nie zatrzymany przez żaden przyjacielski wywiad, wyciągnął swoje czółenko z pod krzaków, gdzie chował je zwykle podczas odwiedzin w domu Almayera. Opustoszała rzeka skrzyła się w prostopadłych promieniach słońca. Babalaczi wiosłował powoli i od niechcienia, skurczony na dnie łódki pod swym olbrzymim kapeluszem, kryjąc się

przed palącym żarem, odbitym od wodnej tafli. Nie spiesz-
szyło mu się wcale. Pan jego, Lakamba, spoczywa jeszcze
o tej godzinie. Babalaczi zdąży przybyć przed jego obu-
dzeniem i powita go ważnemi nowinami. Czy władca oka-
że niezadowolenie? Czy stuknie z gniewem hebanową
laską o podłogę i przerazi swego sługę gwałtownemi słowa-
mi bez związku? Czy też przysiądzie na piętach z dobro-
tliwym uśmiechem, pocierając rękami o brzuch ruchem
sobie właściwym i splunie w miedziane naczynie, przy-
czem mruknie coś pochlebnie a przytwardzająco? Takie
myśli zaprzętały Babalacznego, gdy manewrował zręcznie
wiosłem, płynąc w kierunku kampongu, którego częstokół
wyglądał z za gęstego listowia nawprost bungalowu Al-
mayera.

Babalaczi miał istotnie zdać sprawę z ważnych rze-
czy. Nareszcie coś pewnego na potwierdzenie wszystkich
podejrzeń. Od niejakiego czasu zwróciła jego uwagę skryta
poufałość, przebijająca w stosunku Deina do córki Al-
mayera. Dostrzegł tajne spojrzenia, podsłuchał, jak za-
mieniali krótkie, palące słowa. Lakamba słuchał tych do-
niesień ze spokojem i widocznem niedowierzaniem. Ale te-
raz Babalaczi przekona go: zdobył nareszcie niezbity do-
wód. Tegoż ranka, gdy o świcie łowił ryby w zatoce, nie-
daleko chaty Bulangiego, minęło go długie czółno Niny;
siedziała u rufy pochylona nad Deinem, wyciągniętym na
dnie łodzi z głową opartą o jej kolana. Widział ich do-
kładnie. Puścił się wślad za nimi, ale zaczęli szybko wio-
słować i wkrótce zniknęli mu z oczu. Chwilę później zoba-
czył w drobnej łódeczce sjamską niewolnicę Bulangiego,
płynącą w kierunku osady ze swojemi plecakami na sprze-
daż. Ona także musiała ich dostrzec o szarym świcie.
Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz Babalacznego na wspo-

mnienie zmienionej twarzy dziewczęcia, twardego jej spojrzenia i głosu, który drżał, gdy odpowiadała na zapytania. Dein Marula nie był snąć obojętny tej małej Taminie. To doskonale! Babalaczi parsknął głośnym śmiechem, lecz nagle spoważniał i, dziwnym zbiegiem myśli, jął zgadywać, za jaką cenę Bulangi byłby skłonny do odstąpienia dziewczyny. Pokiwał smutnie głową, wspominając, że Bulangi jest człowiekiem twardym; przed kilku tygodniami mało mu było stu dolarów za Taminę! Tu spostrzegł się, że podczas jego rozmyślań prąd uniósł łódkę za daleko. Otrząsnął się z przygnębienia, wywołanego refleksjami nad chciwością Bulangiego i kilku uderzeniami wiosła skierował czółenko do przystani w siedzibie radży.

Tegoż popołudnia Almayer chodził wzdłuż brzegu, czuwając nad ludźmi, zajętymi przy naprawie łodzi. Powziął nareszcie ostateczną decyzję. Kierując się wskazówkami z notatnika Lingarda, postanowił wyruszyć na poszukiwanie owych bogatych pokładów złota. Gdy je odnajdzie, dość mu będzie sięgnąć ręką, aby stać się panem nieprzebranych bogactw i przeżyć na jawie sen młodych lat. Zapatrzonny w olśniewające rezultaty swoich planów, przypuścił do tajemnicy Deina Marulę, aby uzyskać jego pomoc i zawarł przymierze z Lakambą. Poświęcił swoją dumę, honor i posłuszeństwo wobec prawa, wchodząc w spółkę ze wstrętnym sobie człowiekiem. Wiedział jednak, że dla powodzenia sprawy koniecznym jest współudział Lakamby, który zobowiązał się pomóc mu, zastrzegając sobie udział w zyskach. Wielkie niebezpieczeństwa groziły wyprawie, lecz Marula był odważny; ludzie jego zdawali się dorównywać męstwem swojemu wodzowi, a wobec poparcia Lakamby powodzenie było zapewnione.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni pochłaniały Almayera przygotowania do podróży. Błądził wśród swoich ludzi, zatopiony w czarownym śnie na jawie; dawał wskazówki robotnikom naprawiającym łodzie, a jednocześnie, pogrążony w zachwyceniu, poił się wizjami bogactw i wspańiałości, w które będą opływali oboje, on i jego córka. Przystał odczuwać dojmującą nędzę swojego istnienia. Przepadło gdzieś błotniste, cuchnące wybrzeże rzeki, prażone bezlitosnym żarem słońca. Mało poświęcał uwagi Deinowi, którego ciągłą obecność w kampongu uważał za naturalne następstwo wspólnych interesów; spotkawszy młodego wodza, pozdrawiał go z roztargnieniem i mijał, unikając na pozór jego towarzystwa. Usiłował zdusić w sobie świadomość nienawistnej terażniejszości, zapamiętując się w pracy i marzeniu. Wyobraźnia porywała go na zawrotne wyżyny, gdzie wespół z białymi chmurami żeglował na zachód w kierunku Europy, tego rozkosznego rajy pełnego obietnic, który oczekiwał na przyszłego milionera. A i Marula nie ubiegał się już teraz o towarzystwo białego człowieka; interes był ubity i nie pozostawało nic więcej do omówienia. Jednak Dein tkwił stale gdzieś w pobliżu domu, choć rzadko zatrzymywał się dłużej na wybrzeżu. Spokojnym krokiem przechodził przez środkowy korytarz bungalowu, i szedł do ogrodu, gdzie w kuchennej szopie nad rozpalonem ogniskiem kołysał się kocioł z ryżem pod czujnem okiem pani Almayer. Omijając zdala to miejsce, skąd dochodziły kłęby dymu i świergot miękkich głosów kobiecych, skręcał na lewo. Na skraju plantacji bananów rosła kępa palm i mangowców, tworząc cienisty gaik, oddzielony zasłoną gęstych krzewów. Przenikały tu tylko wybuchy śmiechu i daleki szczebiot dziewcząt służebnych. Dein znikał w gaju. Oparłszy się o gładki pień wyniosłej

palmy, czekał w ukryciu z błyszczącymi oczyma i spokojnym uśmiechem, nasłuchując szelestu zeschniętej trawy pod lekkimi stopami.

Od pierwszej chwili, gdy oczy jego spoczęły na Ninie, uczył w głębi serca niezłomną pewność, że ta najcudniejsza na ziemi istota musi do niego należeć. Nieuchwytny prąd wzajemnego porozumienia przebiegł między nimi, jednocząc dzięki ich natury. Dein nie potrzebował zachęcających uśmiechów pani Almayer, aby chwycić każdą sposobność zbliżenia się do dziewczyny. A ona odwracała wstydliwie twarz, gdy mówił do niej i zaglądał jej w oczy, lecz czuła każdej chwili, że nieulekły ten mąż jest jej przeznaczeniem, że wymarzyła go sobie w snach—i oto stoi przed nią, dzięki i zuchwały, gotów zadać wrogowi morderczy cios krissem, lub ogarnąć namiętym uściskiem ukochaną kobietę — żywy wzór malajskiego wodza według tradycji jej matki.

Z dreszczem rozkosznej trwogi uświadomiła sobie tajemniczą swoją jedność z tym człowiekiem. Doznała wrażenia, że wskrzesił ją do nowego bytu; przy nim dopiero odczuła pełnię życia. W milczeniu i z twarzą nawpół zasłoniętą, jak przystało malajskiej dziewczynie, poddawała się fali sennego szczęścia, a Dein rzucał do jej stóp skarby namiętnej miłości w nieokiełznanym porywie dzikiej natury, nie znoszącej przymusu ni opanowania.

Wiele takich rozkosznych godzin, zdających się być jedną chwilką, przeżyli w mangowym gaju za osłoną krzewów. Hasło do rozłąki dawał ostry głos pani Almayer, która podjęła się łatwego zadania: czuwała, aby nie zmacono gładkiego biegu miłosnych spraw córki, cieszących się jej laskawem i gorliwem poparciem. Patrzyła z dumą i szczęściem na bezpamiętną miłość Deina; był to w jej przeko-

naniu wielki, potężny wódz, którego wspaniałomyślna szczodrość zaspakajała hojnie jej chciwe instynkty.

W przeddzień owego ranka, kiedy Babalaczi przekonał się o słuszności swych podejrzeń, Dein i Nina pozostali dłużej niż zwykle w cienistym schronieniu. Posłyszeli ostrzegawczy krzyk pani Almayer, gdy na werandzie rozległy się już ciężkie kroki jej męża i opryskliwy głos, pomagający się wieczery. Marula przesadził lekko niski płot bambusowy i przedzierał się chyłkiem przez plantację bananów ku błotnistemu wybrzeżu zatoki, Nina zaś szła wolno ku domowi, aby przygotować wieczerę dla ojca, jak to co dnia czyniła. Almayer był szczęśliwy tego wieczoru. Przygotowania do wyprawy skończą się wkrótce; jutro spuści łodzię na wodę. Uczuł się posiadaczem nieprzebranych skarbów i z łyżką w ręku zapomniał o talerzu z ryżem, rozmyślając nad urządzeniem olbrzymiej uczy, którą wyda za przybyciem do Amsterdamu. Od czasu do czasu wyrwały mu się jakieś beżładne zdania. Nina leżała w bujającym fotelu, słuchając z roztargnieniem. Przygotowania do wyprawy! złoto! cóż ją to wszystko może obchodzić? Ale gdy ojciec jej wymówił imię Deina, zamieniła się cała w słuch. Dein ma popłynąć jutro wdół rzeki, mówił Almayer; nieobecność jego potrwa kilka dni. Znowu zwłoka! to doprawdy nieznośne. Wyruszą natychmiast po jego powrocie; niema czasu do stracenia, bo rzeka zaczyna przybierać. Tu Almayer odepchnął niecierpliwie talerz i wstał od stołu. Nina słyszała teraz dokładnie każde jego słowo. Dein odjeżdża! Zrozumiała, czemu zażądał, by o świcie spotkała się z nim w zatoce Bulangiego. Wspomniała spokojny, władczy jego głos. Jakaż rozkoszą jest spełnianie jego rozkazów! Zatroscyła się nagle, czy jej łódeczka

gotowa i czy znajdzie w niej wiosło? Trzeba będzie wypłynąć o czwartej zrana — już za kilka godzin.

Wstała z fotelu; musi wypocząć — o świcie czeka ją długa przejażdżka. Lampa paliła się ciemno, a ojciec, znużony całodziennym trudem, leżał już w hamaku. Zgasila lampę i weszła do dużego pokoju z lewej strony korytarza, gdzie sypiały obie z matką. W kącie, na stosie mat, służących pani Almayer za pościelenie, nie było nikogo. Nina zobaczyła matkę schyloną nad wielką, drewnianą skrzynią, której wieko było podniesione. Na podłodze stała łupina z kokosowego orzecha napełniona olejem, z bawełnianą szmatką zamiast knota. Rudy blask kaganka prześwietlał smugi czarnego, woniejącego dymu, otaczając czerwoną aureolą postać pani Almayer. Plecy jej były zgięte, a głowa i ramiona chowały się w wysokiej skrzyni. Widocznie przewracała coś na dnie, bo dochodził stamtąd łagodny dźwięk srebrnych pieniędzy. Nie zwróciła zrazu uwagi na obecność córki. Nina stała obok niej w milczeniu, patrząc na małe woreczki z grubego płótna, ustawione na dnie skrzyni. Pani Almayer wyjmowała garściami błyszczące guldeny i dolary meksykańskie; rozwarłszy dłonie, patrzyła, jak srebrne strugi ciekną między jej krogulczemi palcami. Upajała ją dźwięczna muzyka srebra, a w oczach jej odbijały się błyski nowych monet. — „Ten worek, i drugi, i jeszcze jeden!” — mruzczała zcicha. — „On mi da jeszcze więcej — da mi tyle, ile zażądam. On jest potężnym radzą — synem Niebios — a ona będzie wielką rani! To wszystko dał mi za nią! A za mnie nikt nikomu nie zapłacił! Jestem tylko niewolnicą. Nie! ja jestem matką wielkiej rani!” — Zamilkła, spostrzegłszy córkę. Zatrzasnęła gwałtownie wieko i, nie podnosząc się z ziemi, spojrzała na Ninę, która stała przy niej z bladym uśmiechem na sennej twarzy.

— Widziałaś! — prawda, że widziałaś! — krzyknęła ostrym głosem. — To wszystko moje. Za ciebie to dostałam. Jeszcze nie dosyć! Będzie musiał dać więcej, nim zabierze cię na tę południową wyspę, gdzie jego ojciec jest królem. Czy mnie słyszysz? Jesteś więcej warta, wnuku radzów — więcej! więcej!

Z werandy ozwał się zaspany głos Almayera, nakazując milczenie. Pani Almayer zdmuchnęła światło i wpełzła na czworakach do swego kąta. Nina wyciągnęła się na stosie mat z rękami splecionymi pod głową; przez otwór w ścianie, zastępujący okno, patrzyła w gwiazdy, mrugające na czarnem niebie i czekała chwili, gdy trzeba będzie udać się na umówione miejsce. Ciche szczęście przepęłniało ją na myśl o tem spotkaniu w głębi puszczy, zdala od ludzkich oczu i siedzib. Dusza jej zapadała znowu w dzikość, której nie zdołało wytepić zetknięcie z cywilizacją, oddziałującą na nią ongi za pośrednictwem pani Vinck. Uczucie dumy i zarazem lekkiego pomieszania ogarnęło ją na myśl o wysokiej cenie, jakiej zażądała za nią doświadczona matka, lecz uspokoiło ją wspomnienie wymownych spojrzeń i słów Deina. Przymknęła oczy, przejęta słodkim dreszczem w przeczuciu oczekiwanego spotkania.

Bywają okoliczności, w których i dziki, i tak zwany cywilizowany człowiek doznają jednakowych uczuć. Można przypuścić, że Dein Marula nie był zbyt oczarowany przyszlą teściową i że nie pochwalał zachłanności tej zacnej kobiety na błyszczące guldeny. Lecz owego ranka, — kiedy Babalaczi odłożył na bok troski państwowe i oddał się badaniu sieci, zastawionych w zatoce Bulangiego, — Dein nie doznawał żadnych obaw, nie żywił żadnych uczuć prócz niecierpliwości i tęsknoty. Dotarł do wysepki, której wschodni brzeg tworzył wyżej wspomnianą zatokę, ukrył

łódkę w krzakach i szedł wielkimi krokami, przedzierając się niecierpliwie przez gałęzie gęstego leśnego podszycia, skrzyżowane nad ścieżką. Ze względu na ostrożność nie dojechał do samego miejsca spotkania, jak to polecił zrobić Ninie; zostawił czółno w głównym korycie rzeki z przeciwległej strony wyspy. Gęsta, ciepła mgła ogarnęła go zaraz, ale zdołał dostrzec na lewo dalekie światło w domu Bulangiego. Od tej chwili nie mógł już nic rozeznąć w gęstniejącej mgle i trzymał się ścieżki jedynie przez jakiś instynkt, który przywiódł go do oznaczonego miejsca na brzegu wysepki. Wielka kłoda oparła się tutaj o łąd prostopadle do brzegu, tworząc rodzaj pomostu, o który rozбивały się z głośnym szumem wody bystrego strumienia. Wszedł na kłodę szybkim i pewnym krokiem i znalazł się na drugim jej końcu wśród szumu i syku wody, pieniącej się u jego stóp.

Trwał tak odcięty od całego świata, niby zawieszony w pustce między niebem a ziemią, gdyż nawet woda, szumiąca pod nim, pochłonięta była przez gęstą mgłę poranną. I nagle wyszeptał imię Niny w bezkresną przestrzeń, pewien, że to wezwanie dojdzie jej uszu; czuł instynktownie bliskość czarownego zjawiska, przekonany, że i Nina świadoma jest jego obecności.

Czółno jej zamajaczyło przy kłodzie, wystając wysoko nad wodą wskutek ciężaru wioślarki, siedzącej u rufy. Marula przytrzymał łódkę i wskoczył lekko, odsadzając się od brzegu silnym rzutem. Czółenko, posłuszne nadanemu kierunkowi, przepłynęło o włos od kłody i puściło się na fale rzeki, która z przychylną życzliwością obróciła je bokiem do prądu i poniosła szybko i bezgłośnie między niewidzialnymi brzegami. A Dein zapomniał znów o całym świecie u stóp Niny, porwany falą uniesienia,

zmożony szczęściem, dumą i pożądaniami. Uczuł raz jeszcze z niezbitą pewnością, że niema dla niego życia poza istotą, którą trzyma przy sercu w namiętym, długim uścisku.

Nina wysunęła mu się z objęć z cichym śmiechem

— Przewrócisz łódkę, Deinie! — szepnęła.

Chwilę jeszcze topił w jej oczach rozgorzałe spojrzenie, wreszcie puścił ją z westchnieniem i wyciągnął się na dnie czółna, opierając głowę o jej kolana. Spojrzał w górę, sięgnął poza siebie, ogarniając ramionami jej kibić i splótł ręce na jej plecach. Schyliła się nad nim; wstrząsnawszy głową, rozluźniła sploty włosów, które spłynęły ciężkimi zwojami, ujmując twarze obojga w czarne ramy.

Mknęli szybko z prądem. Nina chyliła głowę coraz niżej, aby nie stracić żadnego ze słów Deina, droższych jej niż samo życie. Rodziły mu się na ustach nieokrzesane a wymowne, porywające dzikim urokiem pierwotnej natury, opanowanej wszechwładną namiętnością. Nic nie istniało dla tych dwojga poza łupiną wątlego czółenka. Zawarli w niem cały swój świat, tchnący potężną, zachłanną miłością. Nie widzieli zgęstniałej mgły, nie czuli przedranego powiewu, który zacichł niebawem, zapomnieli o odwiecznej puszczy, obejmującej ich mrocznym pierścieniem, o całym świecie tropikalnej przyrody, która czekała w uroczystym, wymownym skupieniu na pojawienie się słońca.

Gwiazdy pobladły nad gęstą oponą mgły, otulającej łódkę z jej brzemieniem młodości i szczęścia. Od wschodu niebo nasiąkło srebrno-szarą barwą. Wiatr przycichł; liście znieruchomiały. Wszystkie żyjące stworzenia zastygły w spoczynku i ciszy, niezmaconej ani szelestem liścia, ani pluskiem ryby. Ziemia, woda i niebo zapadły w sen tak głęboki, że zdało się, nie ockną się nigdy. Wszystka żywotność, kipiąca w podzwrotnikowej naturze, została za-

klęta w gorące spojrzenia i rozkołysane serca dwóch istot, mknących w czółenku po gładkiej rzecznej tafli, pod białym baldachimem mgły.

Wielki snop żółtych promieni wystrzelił nagle z za czarnej zasłony drzew, okalających brzegi Pantai. Gwiazdy wypaliły się; drobne czarne chmurki u zenitu rozgorzały na chwilę purpurą. Gęsta mgła, tknięta łagodnym powiewem, — westchnieniem budzącej się natury, — płąsała wkrąg i darła się na fantastyczne strzępy, z pod których wyjrzała pomarszczona toń rzeki, mieniając się skrami w jasnym świetle dnia. Wielkie stada białych ptaków zносиły się krzykiem i zataczały kręgi nad rozchwianymi wierzchołkami drzew. Słońce weszło nad wschodniem wybrzeżem.

Dein zbudził się pierwszy do trosk codziennego życia. Powstał i rzucił szybko wzrokiem w górę i w dół rzeki. Dostrzegł w tyle łódkę Babalacziego i odkrył drugą czarną plamkę na błyszczącej wodzie — czółenku Taminy. Przykląkł ostrożnie w dziobie czółna i ujął wiosło, a Nina, siedząca u rufy, poszła jego śladem. Pochylali się miarowo, odgarniając wodę każdym uderzeniem wiosła. Mała łupinka sunęła szybko i żłobiła wąską bródę, objętą koronkowym szlakiem białej, lśniącej piany.

— Ktoś płynie za nami, Nino — rzekł Dein, nie odwracając głowy. — Nie dajmy się dopędzić. Jest chyba za daleko, aby mógł nas poznać.

— Przed nami widzę także łódkę, — rzuciła Nina zdyszczanym głosem, nie przestając wiosłować.

— Zdaje mi się, że poznaję, kto to taki — odrzekł Dein. — Blask wody mnie osłepia — ale to chyba Tamina. Przychodzi co rano na pokład brygu ze swojemi ciastkami i pozostaje czasem przez cały dzień. Nic nie szkodzi —

steruj ku brzegowi, musimy dostać się pod gałęzie. Tu gdzieś blisko schowałem czołno.

Mówiąc to, spoglądał bacznie na szerokie liście palm nipa, o które ocierało się czołno w szybkim, cichym biegu.

— Spójrz, Nino — rzekł wreszcie — o tam, gdzie kończą się wodne palmy, pod zwisającymi gałęziami tego pochyłego drzewa. Steruj wprost na ten wielki, zielony konar.

Podniósł się i patrzył uważnie, jak łódka zbliża się do brzegu, kierowana pewną i lekką ręką Niny. Przytrzymał się wielkiego konara i silnym rzutem pchnął czołno pod niską, zieloną arkadę, splecioną z pnączy. Wjechali do malutkiej zatoczki, powstałej wskutek zapadnięcia się wybrzeża podczas ostatniego, wielkiego wylewu. Łódź Deina tkwiła tu u brzegu, obciążona wielkim kamieniem; wskoczył do niej, przytrzymując czołno Niny i w chwilę później obie łupinki kołysały się spokojnie jedna obok drugiej, odbite w czarnym zwierciadle wody. Przyćmione, zielonawe światło przedzierało się przez wyniosłe sklepienie z gęstego listowia, a hen u góry, w jasnym blasku dnia, jarzyły się olbrzymie, purpurowe kwiaty, rozsypując nad Deinem i Niną deszcz wielkich, zroszonych płatków, które spadały na ich głowy nieustanną, wonną kaskadą. A w górze nad nimi, i w głębiach sennej wody, i wszędzie wokoło wrzała natężona praca podzwrotnikowej natury. Bujna roślinność pławiła się w ciepłym powietrzu, przesyconem wonnemi, ostremi zapachami. Drzewa i ljan-y wydzierały się ku górze, gmatwając się w nierozzerwalne sploty, dusiły się w okrutnych uściskach z zapamiętałością i szaleństwem, prac ku życiodajnemu blaskowi słońca w złowrogiej, milczącej walce na śmierć i życie. Zdało się, że wszystkie rośliny, przejęte zgrozą na widok zgnilizny szerzącej się u ich stóp,

porwały się do nagłej ucieczki, by ująć rozkładowi i śmierci, w której same wzięły początek.

— Musimy się rozstać — przemówił Dein po długim milczeniu. — Wracaj zaraz do domu — ja poczekam tutaj, aż bryg przyplynie i zabierze mnie po drodze.

— Czy długo tam zostaniesz, Deinie? — spytała cicho Nina.

— Długo! — wykrzyknął Dein — któryż człowiek chciałby pozostawać długo w ciemności? Kiedy nie jestem przy tobie, Nino, wydaje mi się, że oślepiłem. I cóż mi po życiu bez światła?

Z uśmiechem dumy i szczęścia Nina wychyliła się i ujęła twarz Deina w obie dłonie, topiąc w jego źrenicach tkliwe i badawcze spojrzenie. Snać wyczytała z oczu potwierdzenie jego słów, bo słodki spokój ją ogarnął i złągodził ból rozłąki. Uwierzyła, że ten potomek wielkich radzów, syn potężnego wodza, pan życia i śmierci, przy niej tylko widzi blask słońca. Porwała ją nieskończona fala wdzięczności i uwielbienia. Jakimże widomym znakiem objawi potęgę swej miłości temu człowiekowi, który nasycił jej serce taką radością i taką dumą? W zamęt targających nią uczuć padło nagle, jak błyskawica, wspomnienie wzgardzonej i zapomnianej cywilizacji, z którą obcowała w dniach smutku, gniewu i goryczy. Z zimnego popieliska nienawistnej i nędznej przeszłości spłynęło miłosne natchnienie; znalazła wyraz dla szczęścia bez granic i rękojmię promiennych dni wspaniałego jutra. Zarzuciła ramiona na szyję Deina i przycisnęła wargi do jego ust w długim, palącym pocałunku. Zamknął oczy, zdumiony i przeżony burzą, jaką w nim rozpętało to dziwne, nieznanne mu dotknięcie. Czółno Niny wypłynęło już dawno na środek rzeki, a on trwał wciąż jeszcze bez ruchu, nie śmie-

jąc otworzyć oczu, aby nie spłoszyć uczucia upajającej rozkoszy, której zaznał pierwszy raz w życiu. Teraz pragnął już tylko nieśmiertelności, by stanąć narówni z bogami, a istota, która rozwarła przed nim wrota raju, musi być jego na wieki.

Gdy otworzył oczy, ujrzał przez arkadę z pnączy dziób brygu, płynącego wolno z prądem wdół rzeki. Uprzymomnił sobie, że trzeba już wrócić na pokład, a jednak nie mógł oderwać się od miejsca, gdzie uczył, czem jest szczęście. — „Jeszcze czas — niech sobie płyną“ — szepnął cicho i zamknął oczy pod purpurowym deszczem wonnych płatków, usiłując przeżyć raz jeszcze chwilę pożegnania i rozplynąć się znów w bezmiarze rozkoszy i grozy.

Zdążył jednak widocznie dopędzić swoją załogę i pochłoneły go snąc ważne sprawy, gdyż Almayer oczekiwał napróżno rychłego powrotu przyjaciela. Jakże często spoglądał wdół rzeki, wyglądając niecierpliwie pojawienia się brygu! Lecz pustka panowała na wodach Pantai, tylko wdali mignęło niekiedy czółno rybackie. Natomiast od strony lądu nadpływały czarne chmury i spadły ciężkie ulewy, zwiastując nadejście pory deszczów, burz i powodzi, w czasie których rzeka była prawie niedostępna dla czółen malajskich.

Almayer wałęsał się wzdłuż rozmiętego wybrzeża między swemi domami. Przyglądał się niespokojnie rzece, która wzdymała się coraz bardziej, podpełzając ku łódkom, gotowym do drogi i ustawionym w rząd pod osłoną przemokłych mat z Kadżangu. Almayer czuł, że mu się szczęście z rąk wymyka. Chodził ciężkim krokiem tam i zpowrotem po bezustannym deszczu, lejącym się z niskich chmur. Owładnęła nim rozpaczliwa jakaś obojętność. Niech się już dzieje co chce! On zawsze ma takie szczęście. Ładnie

go wykierowały te dwa przekłete dzikusy, Dein i Lakamba! Licząc na ich pomoc, wydał na naprawę łodzi wszystko, aż do ostatniego dolara. Teraz Dein gdzieś przepadł, a Lakamba nie daje znaku życia z za swojego częstokołu. „Nawet ten łotr Babalaczi nie pokaże mi się na oczy”, rozmyślał w dalszym ciągu. „Kupiłem już od nich wszystek ryż, i miedziane gongi, i tkaniny potrzebne do wyprawy. Wycisnęli ze mnie ostatni grosz i teraz wszystko im jedno, czy pojedę, czy też zostanę”. Machnąwszy ręką ze zniechęceniem, włożył powoli na schody nowego domu, aby schronić się przed deszczem na werandzie. Wspierał się o poręcz z głową wsuniętą w ramiona i zapamiętywał się w gorzkich myślach. Nie czuł mijających godzin, nie zważał na głód, nie słyszał ostrego głosu żony, wołającej go na wieczerzę. Dopiero pierwszy grzmot wieczornej burzy budził go z ponurej zadumy. Gdy szedł chwiejnym krokiem w stronę światełka, błyszczącego w starym bungalowu, najłżejszy szmer z nad rzeki nie uszedł jego słuchowi, zaostrzonemu przez niepokój i zdenerwowanie. Przez kilka nocy z rzędu słyszał plusk wiosel i widział mętny zarys łodzi; za każdym razem serce tłukło mu się nadzieją, że to Dein powraca, lecz zawsze spotykało go rozczarowanie: niechętne głosy odpowiadały na jego okrzyk i dowiadywał się, że Arabowie jadą w odwiedziny do Lakamby. Świadomość tych wizyt przyprawiała go o bezsenne noce; nie mógł zmrużyć oka, trawiony dociekaniem, jak będzie wyglądało nowe łotrństwo, uknute przez tę szanowną kompanję. Wreszcie, gdy stracił już wszelką nadzieję, radość porwała go na dźwięk słów Deina. Lecz Dein pragnął przedewszystkiem widzieć się z Lakambą; zaniepokoiło to Almayera, który żywił głęboką nieufność do radzy i nie dowierzał zawartemu przy-

mierzu. A jednak Dein powrócił; chciał widać dotrzymać umowy. I w sercu Almayera odżyła znów nadzieja: nocy tej spał spokojnie, podczas gdy Nina czuwała, pochłaniając wzrokiem rzekę, rozszalałą pod chłostą burzy, ciągnącej wdal ku morzu.

ROZDZIAŁ VI

Rozstawszy się z Almayerem, Dein przeprowił się szybko na drugi brzeg Pantai i wylądował naprzeciwko wrót w częstokole, opasującym zabudowania, które składały się na rezydencję radży Sambiru. Widać oczekiwano tu kogoś, bo wrota były otwarte; ludzie z pochodniami stali w pogotowiu, aby wprowadzić gościa na pochyły pomost z desek, wiodący do największego budynku, gdzie mieszkał sam Lakamba i gdzie załatwiano wszelkie sprawy państwowe. Pozostałe domki służyły ku wygodzie licznych domowników i żon władcy.

Rezydencję Lakamby stanowiła solidna siedziba z grubych bierwion, osadzona na wysokich palach; naokoło biegła weranda z łupanego bambusu, a całą budowlę przykrywał niezmiernie wysoki dach z liści palmowych, spoczywający na belkach szerniałych od dymu z pochodni.

Dom stał równolegle do rzeki, zwrócony długą fasadą ku wrotom w ostrokole; w jednej z bocznych ścian były drzwi, do których prowadził pomost z desek. W niepewnym świetle dymiących pochodni Dein zauważył na prawo grupę zbrojnych ludzi; Babalaczi odłączyli się od nich i otwo-

rzył drzwi przed gościem. Dein znalazł się w sali przyjęć, zajmującej mniej więcej trzecią część domu i oddzielonej ciężką kotarą z europejskiej tkaniny; na jej tle stał wielki, bogato rzeźbiony fotel z czarnego drzewa, a przed nim prosty stół sklecony z desek. Poza tem umeblowanie składało się wyłącznie z wielkiej ilości mat. Z lewej strony tkwiła w stojaku broń: trzy strzelby z nasadzonemi bagnetami. W cieniu, pod ścianą, spała przyboczna straż Lakamby, złożona wyłącznie z jego przyjaciół i krewnych, stłoczonych w bezładną kupę brunatnych rąk, nóg i różnokolorowego odzienia. Dochodziło stamtąd niekiedy silniejsze chrapnięcie lub stłumiony jęk śpiącego niespokojnie żołnierza. Na stole stała europejska lampa z zielonym abażurem; przyćmione jej światło pozwoliło Deinowi rozejrzeć się po bieźnie po sali.

— Bądź pozdrowiony, tuanie! — odezwał się Babalaczi i spojrział pytająco na gościa.

— Muszę natychmiast rozmówić się z radzą — odrzekł Dein.

Babalaczi skinął głową, podszedł do miedzianego gonga, wiszącego nad stojakiem i uderzył weń dwukrotnie.

Ogłuszający hałas zbudził uspijonych wojowników. Chrapanie ustało; nogi, wystające na wszystkie strony z kupy śpiących ludzi, wciągnięto do środka; cała grupa drgnęła i rozpadła się zwolna na pojedyncze postacie. Rozległy się głośne ziewania, przecierano senne oczy. Za kotarą zaszczebotały kobiece głosy, poczem ozwał się niski bas Lakamby:

— Czy to ten arabski kupiec?

— Nie, tuanie — odrzekł Babalaczi — to Dein wreszcie powrócił. Przybył na ważną rozmowę — biczarra — jeśli łaskawie zezwolić raczysz.

Lakamba zezwolił snąć łaskawie, bo ukazał się po chwili na tle kotary; jednakże łaskawość jego nie sięgała tak daleko, aby zechciał wejść w szczegóły swojej toalety. Krótki, czerwony sarong, zawiązany pośpiesznie wokoło bioder, oto wszystko, co miał na sobie. Miłościwy władca Sambiru był zaspany i kwaśny. Zasiadł w fotelu, rozstawiwszy szeroko kolana, ręce wsparł na poręczach i spuścił głowę, ciężko oddychając; oczekiwał niechętnie na rozpoczęcie ważnej rozmowy.

Ale Deinowi się nie śpieszyło. Spojrzał na Babalacziego, — który przykucnął wygodnie u stóp władcy — i milczał w dalszym ciągu z pochyloną głową, niby skupiając się przed usłyszeniem słów mądrości.

Babalaczi zakaszłał dyskretnie; pochyliwszy się naprzód, podsunął Deinowi maty i przemówił piskliwym głosem, zapewniając gościa płynnie i gorąco, że powrót jego, zdawna upragniony, przepełnił wszystkich rozkoszą. Tęsknota za widokiem Deina pożerała serce Babalacziego, a uszy jego wędły, pozbawione odżywczego dźwięku słów znakomitego gościa. Serca i uszy wszystkich innych ludzi były również w tem przykrem położeniu, zapewniał, wskazując szerokim ruchem w kierunku przeciwległego wybrzeża, gdzie drzemała spokojnie osada, nie przeczuwając wielkiej radości, jaka ją czeka następnego ranka, kiedy fakt przybycia Deina zostanie podany do ogólnej wiadomości. „Bo i skądże ma spłynąć radość na biednego człowieka — ciągnął dalej Babalaczi — jeśli nie z hojnej dłoni wspaniałomyślnego kupca, albo też wielkiego — —“.

Tu urwał raptownie, udając zmieszanie, i utkwiał w podłodze latające oko, a potworne jego usta skrzywiły się w uśmiechu pełnym skruchy. W czasie tej inauguracyjnej przemowy wyraz serdecznego ubawienia przewinął się parę

razy po twarzy Deina, ustępując natychmiast pozorowi skupionej uwagi. Czoło Lakamby przecięła głęboka zmarszczka, a usta jego poruszały się niecierpliwie w czasie oracji premjera. Wśród ciszy, zapadłej po mowie Babalacznego, rozległ się urozmaicony chór chrapań, nastrojonych na przeróżne tony; to straż przyboczna spoczywała znowu w głębokim śnie. Żaden z trzech ludzi, pochłoniętych grą o śmierć lub życie, nie zauważył dalekiego przelewania się grzmotu, który w tej samej chwili przejął serce Niny trwożą o ukochanego.

Po krótkim milczeniu Babalaczi odezwał się znowu, zaniedbując tym razem kunszt kwiecistej wymowy. Zniżył głos i rzucał krótkie, urywane zdania. Dein naraził ich na wielki niepokój. Dlaczego nieobecność jego trwała aż tak długo? Ludzie, zamieszkujący wybrzeża dolnej Pantai, słyszeli wystrzały wielkich armat i widzieli ognisty statek Holendrów, błakający się między wyspami przy ujściu rzeki. Lakamba i Babalaczi byli bardzo niespokojni. Pogłoski o klęsce dosięgły ich przed kilku dniami przez usta Abdulli; od tej chwili żyli pod grozą przeczuwanego nieszczęścia, wyczekując powrotu Deina. Zasypiali z lękiem, budzili się w przerażeniu, a dzień cały spędzali w trwodze, jak ludzie w obliczu nieprzyjaciela. Wszystko to z powodu Deina. Czy nie uśmierzy trwogi, jaką wzbudzają grożące mu niebezpieczeństwa? Gdyż Lakamba i Babalaczi nie o siebie się troszczą. Żyli zawsze w spokoju, oddani duszą i ciałem wielkiemu radzy w Batawji — oby los prowadził go zawsze do zwycięstw ku radości i pożytkowi oddanych mu sług! „Mój pan, Lakamba, usychał z niepokoju o kupca, którego wziął pod swoją opiekę”, — ciągnął Babalaczi. — Abdulla był także niespokojny; bo cóżby powiedzieli źli ludzie, gdyby przypadkiem —

— Milcz, głupcze! — warknął gniewnie Lakamba.

Babalaczi zamilkł z błogim uśmiechem zadowolenia, a Dein, który go słuchał, przybrawszy wyraz głębokiego zachwytu, zwrócił się z westchnieniem ulgi ku władcy Sambiru. Lakamba siedział wciąż nieruchomo; nie podnosząc głowy, spojrzął z pod nawisłych brwi na Deina i wydał wargi z głośnem sapaniem. Cała jego postawa wyrażała najżywsze niezadowolenie.

— Mów, o Deinie! — odezwał się wkońcu. — Słyszeliśmy różne pogłoski. Przez cały szereg dni przyjaciel mój Reszyd przybywał nocną porą ze złemi nowinami. Wieści lecą na skrzydłach wzdłuż wybrzeża. Ale może są kłamliwe? Więcej teraz łgarstw na ustach ludzi niż za dni mej młodości, lecz nie stałem się łatwiejszy do oszukania na stare lata.

— Żadne z moich słów nie kłamie — odparł niedbale Dein. — Chcesz wiedzieć, co się stało z brygiem? Oto dostał się w ręce Holendrów. Wierzaj mi, radzo, — dodał z nagłą energją — Orang Blanda mają w Sambirze dobrych przyjaciół, bo skądżeby wiedzieli, którądy prowadzi moja droga?

Lakamba błysnął ku Deinowi krótkiem, wrogiem spojrzeniem. Babalaczi podniósł się ze spokojem i, podszedłszy do gongu, uderzył weń gwałtownie.

Za drzwiami zadudniły bosc nogi. Wojownicy ze straży przebudzili się w kącie i usiedli, gapiąc się w sennem zdziwieniu.

— Tak, wierny przyjacielu białego radzy, — ciągnął pogardliwie Dein, zwracając się do Babalaczego, który wrócił na swoje miejsce u stóp Lakamby. — Uszedłem niebezpieczeństwu i przybywam, aby uradować twoje serce. Ujrzawszy statek Holendrów, wpędziłem okręt na brzeg

i rozbiłem go o skały. Orang Blanda nie śmieli nas ścigać statkiem i spuścili szalupy. Rzuciliśmy się do łodzi, aby uciec, lecz statek wypuścił na nas ogniste kule i zabił wielu z moich ludzi. Ja jednak ocalałem, o Babalaczi! Holendrzy śpieszą tutaj w pościgu za mną, aby zasięgnąć języka u wiernego swego przyjaciela Lakamby i jego niewolnika Babalacziego. Radujcie się teraz!

Ale żaden ze słuchaczy nie zdawał się być w radośnym nastroju. Lakamba założył nogę na kolano i drapał ją w zamyśleniu, a Babalaczi, który siedział ze skrzyżowanymi nogami, patrząc przed siebie bezmyślnie, zmałał niejako w oczach i obwisł. Straż ujawniła pewne zainteresowanie toczącą się rozmową i wyciągnęła się na matach, aby znaleźć się bliżej gościa. Jeden z wojowników powstał i oparł się o stojak, bawiąc się frendzlami, zdobiaczami rękojeści miecza.

Dein czekał, aż łoskot grzmotu przebrzmi w dalekim pomruku, poczem ozwał się znowu.

— Zali jesteś niemym, o władco Sambiru? A może syn wielkiego radzy niegodzien jest twojej uwagi? Przybyłem tutaj, aby znaleźć schronienie i przestrzec ciebie; pragnę wiedzieć, co zamierzasz uczynić.

— Przybyłeś tutaj dla córki białego człowieka — odparł szybko Lakamba. — Schronienie twoje jest u ojca, władcy Bali, Syna Niebios — u samego Anak-Agongą! Cóżem jest, aby opiekować się potężnymi władcami? Wczoraj jeszcze sadiłem ryż na wypalanej polance, a dzisiaj słyszę, że życie twoje ode mnie zależy!

Babalaczi spojrział na władcę.

— Żaden człowiek nie ujdzie swojemu losowi — mruknął pobożnie. — Gdy miłość zagnieździ się w sercu człowieka, staje się on jak dziecko, które nic nie rozumie.

Bądź miłościwym, Lakambo! — dodał, ciągnąc ostrzegawczo za sarong radży.

Lecz Lakamba wyrwał gniewnie sarong z rąk wiernego sługi. Zaczynał rozumieć, jakie nieobliczalne zawikłania pociągnął za sobą powrót Deina i stopniowo tracił panowanie nad sobą. Przemówił potężnym głosem, głuszając poświsty wichru i chlupot ulewy, bębniącej o dach. Ciężka nawałnica przeciągała nad Sambirem.

— Przybyłeś tu najpierw jako kupiec, nie szczędząc słodkich słów i wspaniałych obietnic. Żądałeś, abym zamknął oczy na twoje knowania z białym człowiekiem. Zgodziłem się na to. Czegóż chcesz teraz? Za młodych lat walczyłem; teraz jestem stary i potrzebuję spokoju. Nie chcę się bić z Holendrami. Daleko mi wygodniej, abyś zginął; tak będzie lepiej.

Nawałnica przyczała się. Po zamęcie burzy nastąpiła krótka chwila ciszy. Lakamba powtórzył miękko, niby do siebie:

— I wygodniej — i lepiej.

Dein nie wydawał się przerażony groźnymi słowami radży. W czasie jego przemowy spojrział błyskawicznie wtył; stwierdziwszy, że nikt za nim nie stoi, wyciągnął spokojnie z fałd szarfy pudełeczko siri i jął zawijać starannie odrobinę orzecha betelowego oraz szczyptę wapna w zielony liść, którym poczęstował go grzecznie czujny Babalaczi. Dein uznał to za propozycję pokojową ze strony milczącego męża stanu, — rodzaj niemego protestu przeciw niepolitycznej gwałtowności jego pana — a zarazem oznakę, że możliwość porozumienia nie jest całkowicie wykluczona. Zresztą Dein nie był zaniepokojony. Uznawał zupełności słuszność podejrzeń Lakamby; nie przeczył, że jedynie wzgląd na córkę białego sprowadził go do Sambiru, — ale

nie poczuwał się wcale do dziecinnej lekkomyślności, o którą posądzał go Babalaczi. Wiedział, że Lakamba za głęboko jest wciągnięty w sprawę przemykania prochu, aby się nie obawiać śledztwa władz holenderskich. Ojciec Deina, niezawisły radza z Bali, wysłał go na poszukiwanie prochu w czasie, gdy utarczki w Sumatrze między Holendrami i Malajami groziły pożogą wojenną całemu archipelagowi. Żaden z wielkich kupców nie dał posłuchu ostrożnym propozycjom Deina; oparli się pokusie, mimo wysokiej ceny, jaką gotów był zapłacić. Wkońcu Dein przybył do Sambiru, choć wątpił już prawie zupełnie o powodzeniu swojej wyprawy. Mówiono mu w Makassarze o białym człowieku, zamieszkałym w Sambirze i o parowcu, kursującym regularnie między tą osadą a Singapurem; zniecił go także fakt, że nad Pantai nie było stałego holenderskiego rezydenta, co ułatwiało niewątpliwie całą sprawę. Nadzieje Deina rozbiły się prawie o nieugięty opór Lakamby, który bał się zadzierać z rządem. Lecz hojność młodego wodza, przekonywująca moc jego zapędu i urok wielkiego imienia władcy Bali zwyciężyły przezorne wahanie radzy. Sam Lakamba nie chciał mieć nic do czynienia z zakazanym handlem. Nie był także za tem, aby użyć za narzędzie Arabów, natomiast podsunął Deinowi Almayera, przedstawiając go jako człowieka słabego, którym łatwo można powodować. Wspomniał też o przyjacielu białego, angielskim kapitanie, który mógł oddać wielkie usługi. Udałoby się prawdopodobnie wciągnąć go do spółki i użyć jego statku do przewiezienia prochu w tajemnicy przed Abdullą. Lecz Dein natknął się tu znowu na opór Almayera; Lakamba musiał złożyć za pośrednictwem Babalacznego uroczyste przyrzeczenie, że oczy władcy pozostaną zamknięte na czyny białego. Za tę przyjazną dyskrecję sypnął Dein srebrnymi gulde-

nami znieawidzonych Oran Blanda. Almayer przystał wkońcu i przyrzekł, że proch się znajdzie, ale Dein musi powierzyć mu pieniądze, które trzeba przesłać do Singapuru na zakupienie towaru. Podjął się także skłonić Forda, aby wystarał się o proch i dostarczył go na pokład brygu. Nie żądał dla siebie żadnej pieniężnej nagrody, byle się Dein zobowiązał, że pomoże mu w jego wielkiem przedsięwzięciu — wyprawie do Gunong Mas, Góry Złota. Wytłumaczył Deinowi, że przypuszczenie radży do sekretu było rzeczą bardzo niebezpieczną; narażało Almayera na utratę skarbu, a może i życia, gdyż chciwość Lakamby nie przebiegała w środkach. Musieli jednak ostatecznie odsonić przed nim tajemnicę, a nawet obiecać współdziałanie w zyskach, bo groził, że w przeciwnym razie milczeć nie będzie. Gdyby Dein nie był ujrzał Niny, odmówiłby prawdopodobnie uczestnictwa w projektowanej wyprawie. Ale los zrządził inaczej — i Dein postanowił wrócić do Sambiru z połową swoich ludzi, przeprowadziwszy bryg przez niebezpieczne rafy Pantai. Uporczywy pościg holenderskiej fregaty zniewolił go do ucieczki na południe; doprowadzony do ostateczności, musiał roztrzaskać statek o skały, aby ocalić zagrożoną wolność, a może i życie. Tak! Dein przyznawał słusność podejrzaniom radży: powrócił do Sambiru wyłącznie dla Niny, choć wiedział, że go tu Holendrzy szukać będą; lecz zważył przedtem dokładnie szanse swojego bezpieczeństwa w rękach Lakamby. Otóż pewien był, że radża go nie zabije, mimo morderczych pogroźek, bo ceni w nim spółnika, który posiadał tajemnicę skarbu Lingarda. Nie zechce także wydać go w ręce Holendrów, gdyż będzie się lękał wykrycia swojego uczestnictwa w występny handlu. Zważywszy to wszystko, Dein czuł się mniej więcej bezpiecznym i siedział spokojnie, obmyślając odpowiedź na krwiożerczą przemowę

radzy. Tak! musi przedstawić wyraźnie Lakambie, co go czeka w razie, gdyby on—Dein—wpadł w ręce Holendrów i został przynaglony do odkrycia całej prawdy. Nie miały już wówczas nic do stracenia i powiedziałyby wszystko. Cóż z tego, że powrócił do Sambiru, zamęczając spokój radzy? Przecież musi pilnować swojego mienia! Czyż nie ugasił potokiem srebra chciwości pani Almayer? Zapłacił za dziewczynę okup godny wielkiego księcia, choć niegodny tej rozkosznej, oszałamiającej istoty, do której nieokiełznana jego dusza rwała się w utęsknieniu, tysiącokrotnie dotkliwszem od najostrożniejszego bólu. Chciał swojego szczęścia. Miał prawo znaleźć się w Sambirze.

Powstał i, zbliżywszy się do stołu, wsparł się na nim obu łokciami. Lakamba przysunął się nieco z fotelem, a Babalaczi podniósł się z ziemi i wetknął wężący nos między ich głowy. Zamieniali szeptem chybkie zdania, stykając się prawie twarzami; Dein przekonywał, Lakamba przeczył, Babalaczi łagodził i wyrównywał przeciwieństwa, zaniepokojony wyłaniającymi się trudnościami. Najczęściej zabierał głos Babalaczi: szeptał z powagą i przejęciem, spoglądając kolejno jedynem okiem na Deina i na Lakambę, co go zmuszało do ustawicznego kręcenia głową. I pocóż ten cały spór? zapytywał. Miłość dla Deina ustępuje w sercu Babalaczego tylko miłości dla pana jego i władcy. Niechże Dein im zaufa i skryje się w bezpiecznym miejscu. Dobrych kryjówek jest wiele, ale najlepsza z nich — to dom Bulangiego, stojący daleko stąd na leśnej polance. Bulangi jest człowiekiem pewnym. Żaden biały nie połapie się w sieci krętych cieśnin, oplatających jego siedzibę. Biali ludzie są potężni, lecz głupi. Walka z nimi nie jest pożądana, ale oszukać ich łatwo. Naiwni są jak kobiety, słabo władające rozumem. On, Babalaczi, podejmuje się wywieść w pole każdego

białego człowieka, ciągnął dalej z niewzruszoną pewnością siebie, płynącą, jak zwykle, z braku doświadczenia. Holendrzy będą prawdopodobnie szukali Almayera. Może nawet zabiorą go ze sobą, jeżeli ściągnie ich podejrzenia. Toby było wcale nieźle. Po odjeździe Holendrów Lakamba i Dein dobraliby się do skarbu bez żadnych przeszkód, przyczem jedna osoba mniej stanęłaby do podziału. Zali nie mądrość przemawia ustami Babalacziego? Czy tuan Dein zechce schronić się przed niebezpieczeństwem do wskazanej kryjówki? a może uda się tam natychmiast?

Dein przystał na projekt ukrycia się, zaznaczając, że wyświadcza tem łaskę Lakambie i niespokojnemu mężowi stanu, natomiast odrzucił z miejsca propozycję bezwłocznego udania się do Bulangiego i spojrział znacząco w oko Babalacziemu. Dyplomata westchnął z rezygnacją, jak człowiek, który poddaje się nieuniknionej konieczności i wskazał, milcząc, w kierunku przeciwległego brzegu Pantai. Dein skłonił powoli głowę.

— Tak. Udaję się tam — odpowiedział.

— Zanim dzień nastanie? — spytał Babalaczi.

— Natychmiast — odparł Dein stanowczo. — Orang Blanda nie zjawią się tu pewno przed jutrzejszym wieczorem. Muszę powiadomić Almayera o naszym postanowieniu.

— Nie, tuanie! nie mów nic — protestował Babalaczi. — Przeprowadzę się sam o świcie i zawiadomię go o wszystkim.

— Zobaczą jeszcze — rzekł Dein, zabierając się do odejścia.

Burza rozpętała się znowu. Ciężkie chmury tkwiły nisko nad ziemią; ciągłe przelewanie się dalekiego grzmotu podkreślał od czasu do czasu łoskot bliskich piorunów, a w nieustannej grze niebieskich błyskawic las i rzeka uka-

zywały się ze złudną dokładnością szczegółów. Dein i Babalaczi stali na trzęsącej się werandzie, olśnieni i ogłuszeni gwałtownością burzy. Otaczały ich skulone postacie niewolników i rezydentów radży, szukających schronienia przed deszczem. Dein krzyknął na wioślarzy; „Ada! tuan!“ odpowiedzieli jednogłośnie, spoglądając z niepokojem na rzekę.

— Jaka wielka woda! — krzyknął Babalaczi w ucho Deinowi. — Rzeka bardzo się gniewa. Popatrz tylko! widzisz te pędzące kłody? Niepodobna się teraz przeprawić!

Dein ogarnął niepewnym spojrzeniem siną przestrzeń kipiących wód, ujętych hen, daleko, na drugim brzegu, czarną wstęgą lasów. Nagle, w jaskrawem olśnieniu błyskawicy wpadł mu w oczy niski przyładek z gnącemi się drzewami i domem Almayera. Wizja zamigotała i znikła. Dein odpchnął Babalacziego i rzucił się do łodzi, a za nim pobiegli drżący wioślarze.

Babalaczi wycofał się powoli z werandy i zamknął drzwi za sobą, poczem odwrócił się i spojrzał, milcząc, na Lakambę. Radża siedział bez ruchu, wlepiwszy w stół kamienne spojrzenie. Babalaczi przypatrywał się z ciekawością markotnemu obliczu męża, któremu służył przez tyle lat w złej i dobrej doli. W dzikim i przewrotnem sercu jednookiego statysty rodziło się niezwykle dlań uczucie sympatji, a może nawet i litości dla człowieka, którego zwał swoim panem. Z bezpiecznego stanowiska poufnego doradcy obejrzał się wstecz, w mglistą przeszłość i dojrzał siebie — przeciętnego zbója — znajdującego przytułek pod dachem Lakamby, w chacie stojącej wśród niewielkiej ryżowej polanki. Był to skromny początek jego kariery. Potem nastął długi okres nieustannego powodzenia, mądrych rad i przebiegłych forteli, przeprowadzanych śmiało przez nieustraszonego Lakambę — aż przyszedł wreszcie czas, gdy całe

wschodnie wybrzeże od Poulo Laut do Tanjong Batu, wsłuchiwało się w mądrość Babalacznego, przemawiającego ustami władcy Sambiru. Ileż niebezpieczeństw udało im się ominąć wciągu tych długich lat; iluż wrogom stawili mężnie czoło, iluż białych ludzi wywiedli w pole! A teraz Babalaczi spogląda na owoc tylu lat znoej i żmudnej pracy: oto nieulekły Lakamba drży przed cieniem grożącego mu kłopotu. Władca zaczyna się starzeć. Babalaczi poczuł nieprzyjemne ściskanie w dołku i przyłożył obie dłonie do brzucha, a jednocześnie mignęło mu jasne i smętne zrozumienie faktu, że i on się starzeć zaczyna. Czas zuchwałych czynów przeminął dla nich obu; należy teraz szukać uciezki w ostrożnych fortelach. Obadwaj pragną spokoju i skłonni są do ustępstw, gotowi nawet poddać się pewnym ograniczeniom, byle tylko odwrócić zagrażające zło — o ile da się to zrobić. Babalaczi westchnął już drugi raz tej nocy, przysiadając znów na piętach u stóp władcy i, pełen milczącego współczucia, podał mu swoje pudełeczko z orzechami betelowymi. Siedzieli obaj w niemem, lecz poufnem zbliżeniu ludzi, żujących betel; poruszali zwolna szczękami, spluwając delikatnie do szerokiego, mosiężnego naczynia, które krążyło między nimi z rąk do rąk, a jednocześnie wsłuchiwali się w przeraźliwy huk zmagających się żywiołów.

— Wylew jest bardzo wielki — zauważył smutno Babalaczi.

— Wiem,—odrzekł Lakamba.—Czy Dein odpłynął?

— Tak, tuanie. Rzucił się ku rzece, jak człowiek, niewiedzony przez samego Szeitana.

I znów nastąpiło długie milczenie.

— Może on utonie? — ozwał się wkońcu Lakamba z pewnem zainteresowaniem.

— Rzeka niesie bardzo wiele pni — odrzekł Babalaczi, — ale z niego dobry pływak — dodał zwolna.

— Powinien żyć — oświadczył Lakamba. — On wie, gdzie się skarb znajduje.

Babalaczi przytwierdził kwaśnem mruknięciem. Bezskuteczność wysiłków, aby odkryć tajemnicę białego człowieka, stanowiła dotkliwą jego bolączkę; nie potrafił zdobyć żadnych wiadomości, ani wskazówek co do sekretnych pokładów złota. Był to jedyny mroczny punkt w świetlanej karierze dyplomatycznej sambirskiego męża stanu.

Wielki spokój nastał teraz po zamęcie burzy. Tylko małe, zapóźnione chmurki, rozpędzone w pościgu za jądrem nawałnicy, łyskającym bezgłośnie w oddali, przelatywały górą, śląc na ziemię krótkie, ulewne deszcze.

Lakamba ocknął się z odrętwienia; wyraz jego twarzy świadczył, że opanował wreszcie położenie.

— Babalaczi! — zawołał żwawo i kopnął zlekka wiernego sługę.

— Ada, tuan! Słucham cię, panie.

— Jeśli Orang Blanda tu przybędą i wezmą Almayera do Batawji, aby go ukarać za przemykanie prochu — jak myślisz, — co on wtedy zrobi?

— Nie wiem, tuanie.

— Głupi jesteś — oświadczył triumfująco Lakamba. — Powie im, gdzie się skarb znajduje, aby uzyskać przebaczenie. Zrobi tak napewno.

Babalaczi spojrział na swojego pana i pokiwał smutnie głową nad tą przykrą niespodzianką. Nie przyszło mu to na myśl; nowa komplikacja!

— Almayer musi umrzeć, inaczej tajemnica zostanie zdradzona. Musi umrzeć spokojnie, Babalaczi! To już twoja sprawa.

Babalaczi skinął głową potakująco i powstał ciężko z ziemi. „Jutro?” zapytał.

— Tak; jeszcze przed przybyciem Holendrów — odrzekł Lakamba. — On pije dużo kawy, — dodał, pozornie bez związku.

Babalaczi przeciągnął się i ziewnął, lecz Lakamba stracił nagle wszelką ochotę do snu, połączony mile świadomością, że o własnych siłach znalazł wyjście z zawilej sytuacji.

— Babalaczi, — zwrócił się do wyczerpanego męża stanu — przynieś pudełko z muzyką, które dostałem od białego kapitana. Nie chce mi się spać.

Rozkaz władcy powlókł oblicze Babalaczego posępnym cieniem melancholji. Poszedł niechętnie za kotarę i wrócił niebawem, trzymając w objęciach niewielką katarynkę, którą umieścił na stole z wyrazem głębokiego przygnębienia. Lakamba usadowił się wygodnie w fotelu.

— Kręć, Babalaczi, kręć — mruknął z przymkniętymi oczami.

Babalaczi chwycił rączkę katarynki z energią, płynącą z rozpacz. Wmiarę tego, jak kręcił, mroczna posępność jego twarzy ustępowała wyrazowi beznadziejnej rezygnacji. Tę muzykę Verdiego wybiegały przez otwarte okno w wielką ciszę, która legła nad rzeką i lasem. Lakamba słuchał z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem, a Babalaczi wciąż kręcił. Zadrzemował chwilami, kiwając się nad katarynką i budził się z wielkim strachem, nadrabiając stracony czas kilku szybkimi obrotami rączki. Natura spoczywała w głębokim śnie, wyczerpana dzikim zamętem, a pod niepewną ręką sambirskiego dyplomaty Il Trovatore płakał, zawodził i żegnał się wkółko ze swoją Eleonorą, porwany żalonym i łzawym kręgiem wynurzeń, powtarzających się bez końca.

ROZDZIAŁ VII

Po burzliwej nocy nastał jasny, przejrzysty poranek. Ścieżka, wiodąca od niskiego brzegu Pantai do wrót osiedla Abdulli, tonęła w blasku wczesnego słońca. Tego ranka była pusta i słała się między kępami palm ciemno-żółtym szlakiem, udeptanym twardo przez bose nogi. Cienie wyniosłych pni przekreślały ją w nieregularnych odstępach ostremi, czarnemi linjami, a sylwetki liściastych głów palmowych padały hen, aż na rzekę, sięgając nawet przeciwległego brzegu. Rzeka płynęła szybko i cicho obok opustoszałych chat. Na wąskim pasie wydeptanej trawy, między zabudowaniami a ścieżką, kurzyły się porzucone ogniska; cienkie, żłobione kolumnienki dymu wykwitwały z nich w chłodnem powietrzu, zasnuwając słoneczną pustkę osady przejrzystą gazą tajemniczej, niebieskawej mgły. Almayer wstał dopieroco z hamaku i wodził sennym wzrokiem po Sambirze, dziwiąc się jego martwemu wyglądowi. W domu panowała także głucha cisza. Nie słyszał ani głosu żony, ani kroków Niny, krzątającej się zwykle o tej porze w wielkim pokoju, który łączył się z werandą.

Pokój ów zwany był salonem w chwilach, gdy Almayer chciał zaznaczyć przed białymi swoje kulturalne potrzeby i nawyki. Nikt w tym salonie nigdy nie siadywał; zresztą nie było i na czym siedzieć, bo pani Almayer zniszczyła w napadach wściekłości całe umeblowanie. Podniecona wspomnieniami z korsarskich swoich czasów, zrywała z okien firanki na sarongi dla dziewcząt służebnych, a okazałe meble paliła po kawałku przy gotowaniu ryżu. Lecz Almayer nie myślał o tem w danej chwili; rozpamiętywał powrót Deina i jego nocne widzenie się z Lakambą. Jaki wpływ będzie miała ich narada na wykonanie zdawna obmyślonych planów, tak bliskich urzeczywistnienia? Niepokoiła go nieobecność Deina, który obiecał zjawić się wczesnym rankiem. „Miał aż nadto czasu, aby przepłynąć się przez rzekę” — rozmyślał Almayer. — „Tyle jest dziś jeszcze do roboty! Trzeba obmyśleć szczegóły jutrzejszego wyjazdu, trzeba spuścić łodzie na rzekę — i wogóle — chodzi o mnóstwo rzeczy, które nasuwają się dopiero w ostatniej chwili. Wyprawa musi być zorganizowana bez zarzutu; niewolno niczego zapomnieć, ani zaniedbać, ani też — — “

Ogarnęło go nagle poczucie niezwykłego osamotnienia. Zatęsknił za czymkolwiek głosem, choćby to był nienawistny głos żony, — aby tylko położyć kres złowróznej ciszy, w której zalękniona wyobraźnia przeczuwała zwiastunkę nowego nieszczęścia. „Cóż się stało?” mruknął i poczłapał do balustrady w opadających pantoflach. „Czy wszyscy pospali się, czy też wymarli?”

Osada jednak żyła i to nawet bardzo intensywnie. Ocknęła się już o bladym świetle, gdy Mahmat Bandżer w przyptywie niesłychanej energii, dzwignął się z posłania i, wzięwszy siekiere, przestąpił przez postacie swoich

dwóch śpiących żon. Drżąc z chłodu, szedł nad brzeg rzeki, aby sprawdzić, czy woda nie porwała domku, który tam budował.

Przedsiębiorczy Mahmat umieścił swoją nową chatę na dużej tratwie, przymocowanej bezpiecznie u błotniste-go przylądka, przy zbiegu obu ramion Pantai. Wybrał starannie miejsce, gdzie chata była zabezpieczona przed pniami, ocierającemi się o przylądek w czasie wylewu. Mahmat szedł przez wilgotną trawę, szcękając zębami, i przeklinał twarde wymagania codziennego życia, które wyganiały go z ciepłego postania w chłód poranny. Rzucawszy okiem, przekonał się, że chata stoi na miejscu. Powinnował sobie przezorności w umieszczeniu jej, bo rosnące światło dnia ukazało mu połamane szczątki drzew, osiadłych na błotnistej mieliźnie, splecione gałęzmi w bezkształtną tratwę. Wir, powstały u zbiegu obu ramion rzeki, szarpał tą plataniną gałęzi i kłód, uderzając i trąc je o siebie. Mahmat zszedł aż do wody, aby opatrzeć liny z rattanu, któremi chata była przymocowana. Słońce wysunęło się właśnie z za lasu na przeciwległym brzegu rzeki. Pochylny nad wiązadłami, spojrział obojętnie na gmatwaninę pni, miotających się niespokojnie i dostrzegł widać coś niezwykłego, bo upuścił nagle siekierę i wyprostował się, ocieniając ręką oczy przed promieniami wschodzącego słońca. Dojrzał jakiś czerwony przedmiot, po którym przewalały się kłody, otaczając go, lub też zwierając się nad nim. Zrazu wydało się Mahmatowi, że to kawał czerwonego płótna, ale wnet spostrzegł swoją pomyłkę i podniósł wielki wrzask.

— Ah, ya! Tam w wodzie — tam jest człowiek między kłodami! — Przytknął dłonie do ust i krzyczał, zwrócony w stronę osady, wymawiając wyraźnie sylaby. — Tu w wo-

dzie są czyjeś zwłoki! Chodźcie zobaczyć! Jakiś obcy — trup!

Kobiety z najbliższego domku krzątały się już na dworze przy rozniecaniu ognisk i łuskały ryż na śniadanie. Ostremi głosami podjęły wezwanie Mahmata, które przewędrowało całą osadę od chaty do chaty i zamarło w oddali. Mężczyźni, podnieceni wieścią, wypadli z chat, biegnąc w milczeniu ku błotnistemu cyplowi, gdzie nieczułe kłody zwierały się, tarły i przewalały nad nieznanym trupem z zaciętością, właściwą bezdusznym przedmiotom. Za mężczyznami spieszyły kobiety, zaniedbując domowe obowiązki i lekceważąc sobie następstwa takiego postępowania, a na samym końcu biegły z radosnym świergotem gromadki dzieci, upojonych niezwykle wrażeniami.

Almayer zawołał głośno na żonę i córkę, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Znieruchomiał, nasłuchując pilnie. Słaby, oddalony gwar tłumu dosięgnął go teraz, świadcząc, że dzieje się coś niezwykłego. Ruszył ku schodom, lecz, spojrzawszy ku rzece, wstrzymał się nagle na widok czółenka, płynącego od strony osiedla radży. Samotny wiosłarz, w którym Almayer rozpoznał niebawem Babalacziego, przepawił się przez rzekę i płynął teraz ku pomostowi pasmem cichej wody, wzdłuż brzegu. Wylazł powoli z czółenka i jął przytwierdzać je z przesadną starannością, jak gdyby pragnął odwlec chwilę spotkania z białym, spoglądającym ku niemu z werandy. Ta zwłoka pozwoliła Almayerowi zauważyć ze zdumieniem urzędowy strój Babalacziego. Sambirski statysta przybrany był odpowiednio do wysokiego swojego stanowiska: jaskrawy sarong w kraty ujmował jego biodra, a z gęstych fałd u pasa sterczała srebrna rękojeść krissa, który oglądał światło dzienne tylko podczas wielkich uczt, lub też urzę-

dowych przyjąć. Przez lewe ramię i nagą pierś wiekowego dyplomaty biegł błyszczący, lakierowany pas ze skóry, opatrzony mosiężną tabliczką z herbem Niderlandów i napisem: „Sultán Sambiru”. Głowa Babalacziego okręcona była czerwonym turbanem, ozdobionym frendzlami, spadającymi na lewy policzek i ramię, co nadawało zwiędłej twarzy Malaja pocieszny wyraz zuchowatej wesołości. Przymocowawszy wreszcie czółno, wyprostował się, strzepnął fałdy sarongu i ruszył wielkimi krokami ku domowi, podpierając się wysoką, hebanową laską, której złota rękojeść, nasadzona drogocennymi kamieniami, skrzyła się w rannem słońcu. Almayer wyciągnął rękę w kierunku prawego skrzydła domu, zasłaniającego mu dalszą perspektywę; z pomostu widać ją było dokładnie.

— Babalaczi, hej, Babalaczi! — zawołał — cóż się tam dzieje? czy widzisz?

Babalaczi przystanął i wpatrzył się uważnie w tłum, rojący się na wybrzeżu. Almayer zobaczył po chwili, że Babalaczi zbacza ze ścieżki, zbiera w garść fałdy sarongu i puszcza się przez mokrą trawę naprzelaj ku błotnistemu przylądkowi. Zaintrygowany, zbiegł ze schodów; usłyszał teraz wyraźnie gwar męskich głosów i przenikliwe krzyki kobiece. Znalazłszy się za domem, ujrzał w oddali na niskim przylądku ciżbę ludzi, tłoczącą się naokoło czegoś, co wzbudzało ogólne zaciekawienie. Doszedł go głos Babalacziego; widział, jak tłum rozstał się przed nim i pochłonał go z gorączkowym gwarem, wzrastającym stopniowo aż do głośnej wrzawy.

Gdy Almayer był już blisko tłumy, oderwał się od ciżby jakiś człowiek i biegł ku osadzie, nie odpowiadając wcale na jego pytania. Wreszcie Almayer dopadł zbitej

gromady, lecz prosił napróżno, aby go przepuszczono; nikt mu się nie usunął, gdy usiłował przepchnąć się ku brzegowi.

Nagle wydało mu się, że słyszy głos żony, dochodzący go z największego tłoku. Nie mylił się, był to rzeczywiście jej krzykliwy głos, lecz słysząc go było tak niewyraźnie, że nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Przestał torować sobie drogę i zwrócił się do otaczających, aby zasięgnąć wyjaśnień, gdy wtem ostry i przeciągły krzyk rozdarł powietrze. Ucichła wrzawa, zamilkły głosy ludzi, odpowiadających Almayerowi, a on sam skamieniał ze zdumienia i zgrozy: był już pewien, że jego żona zawodzi nad umarłym. Przypomniał sobie nagle zagadkową nieobecność Niny i, oszalały z niepokoju, rzucił się przed siebie naoslep, a tłum ustępował przed jego wściekłym naporem z okrzykami zdumienia i bólu.

Na wąskim cyplu leżały zwłoki nieznanego, otoczone pierścieniem tłumu. Obok trupa stał Babalaczi; wsparł się brodą o rękojeść laski i wlepił nieporuszenie jedyne oko w bezkształtną masę zdruzgotanych członków, poszarpanego ciała i krwawych gałganów. Gdy Almayer przebił się wreszcie przez ciżbę struchlałych widzów, żona jego zarzuciła zasłonę na twarz topielca, przykucnęła obok zwłok i zawyla ponuro po raz drugi, budząc dreszcz przerażenia w oniemiałym tłumie. Ociekający wodą Mahmat zwrócił się do Almayera, żądny powtórzenia swojej historii.

Gdy minął poryw przerażenia i rozpacz, Almayer uległ tak silnej reakcji, że blask słońca śmił mu się w oczach; przestał rozumieć, co mówią koło niego. Potężnym wysiłkiem woli doprowadził się do przytomności i usłyszał słowa Mahmata:

— To było tak, tuanie. Sarong zaczepiony był o złamaną gałąź, a on wisiał z głową zanurzoną w wodzie. Kiedy rozpoznałem co to jest, chciałem się tego pozbyć. Chciałem go wyciągnąć z pomiędzy kłód i puścić z prądem. Dlaczego mamy grzebać obcego człowieka pośród chat, aby duch jego straszył nasze żony i dzieci? Czy nie dosyć duchów tu się już wałęsa?

Potakujący gwar rozległ się w tłumie i zgłuszył opowiadanie. Mahmat spojrział z wyrzutem na Babalacznego.

— Ale tuan Babalaczi kazał mi wyciągnąć zwłoki na brzeg — mówił dalej, zwrócony do Almayera, wodząc oczami po słuchaczach — i wyciągnętem go za nogi; przywlokłem go tutaj przez błoto, choć serce moje pragnęło widzieć, jak popłynie w dół rzeki. — Byłby może wylądował na polance Bulangiego?... Oby grób jego ojca został pohańbiony!

Stłumione śmiechy zabrzmiały z kilku stron, gdyż nieprzyjaźń Mahmata i Bulangiego była faktem powszechnie znanym i stanowiła niewyczerpane źródło zainteresowania dla mieszkańców Sambiru. Wśród ogólnej wesołości rozległ się znowu lament pani Almayer.

— Allahu! cóż się stało tej kobiecie! — wykrzyknął gniewnie Mahmat. — Dotknąłem ścierwa, które niewiedomo skąd tu się przyplątało i pokalałem się przed spożyciem ryżu. I to wszystko na rozkaz tuana Babalacznego, aby przypodobać się białemu człowiekowi. Czy jesteś zadowolony, tuanie Almayer? A co ja będę miał za to? Tuan Babalaczi powiedział, że dostanę jakąś nagrodę — i to od ciebie, tuanie. Pomyśl tylko! zostałem pokalany przez tego trupa, a przytem mógł na mnie paść urok. Spójrz na te złote obręcze! Kto kiedy widział, żeby trup zjawiał się nocą wśród pni z takimi kółkami na nogach!

To są czary. Jednakże — dodał Mahmat po chwili zastanowienia — wezmę sobie te kółka, jeśli można, bo mam czarodziejski środek na duchy i nie boję się ich. Bóg jest wielki!

Nowy wybuch hałaśliwego lamentu pani Almayer przerwał Mahmatowi. Zmieszany Almayer popatrzył kolejno na żonę, Mahmata, Babalacziego i wreszcie zatrzymał wzrok na zwłokach, które leżały w błocie z zakrytą twarzą. Zmiażdżone członki powyginały się dziwnie, a jedna z rąk, wykręcona i pogruchozana, wyciągnięta była w bok; w kilku miejscach sterczały z niej białe kości przez poszarpane ciało. Rozpostarte palce tej ręki dotykały prawie nogi Almayera.

— Czy wiesz, kto to taki? — zapytał cicho Babalacziego.

Babalaczi poruszył zlekka wargami, ale hałaśliwy lament pani Almayer zgłuszył szept jego odpowiedzi, przeznaczonej tylko dla uszu Almayera.

— Tak chciało przeznaczenie. Spójrz do swoich stóp, biały człowieku. Widzę na tych poszarpanych palcach pierścień, który znasz dobrze.

Mówiąc to, Babalaczi postąpił niedbale naprzód i na-deptał, niby niechcący, na wyciągniętą rękę trupa, wciskając ją w miękkie błoto. Machnął groźnie laską w stronę tłumu, który cofnął się nieco.

— Odejdźcie — rzekł z powagą — i odeślijcie kobiety do domowych ognisk. Nie powinny rzucać domu i gapić się na nieznanomego trupa. Tu jest robota dla mężczyzn. Zabieram zwłoki w imieniu radzy. Tylko niewolnicy tuana Almayera mają ze mną pozostać. Odejdźcie!

Tłum zaczął się rozchodzić, ociągając się niechętnie. Pierwsze ruszyły kobiety, wlokąc za sobą dzieci, które

wieszały się u rąk matczynych i ciągnęły je wtył całym ciężarem. Za nimi szli zwolna mężczyźni w ruchomych, zmiennych grupkach, topniejących w miarę zbliżania się do osady; każdy przyśpieszał kroku, naglony myślą o śniadaniu. Tylko na lekkim wzniesieniu, skąd wybrzeże zbiegało ku błotnistemu przylądkowi, pozostało kilku ludzi, przyjaciół lub też wrogów Mahmata; przypatrywali się z ciekawością gromadce otaczającej zwłoki.

— Nie rozumiem ciebie, Babalaczi, — rzekł Almayer. — O jakim mówisz pierścieniu? Kimkolwiek jest ten biedak — patrz — wdeptałeś w błoto jego rękę. Odśłoń mu twarz — zwrócił się do pani Almayer, która przykucnęła przy głowie trupa i kiwała się nad nim, wstrząsając od czasu do czasu potarganemi, siwemi splotami i mrużąc coś ponuro.

— Hail! — wykrzyknął Mahmat, który ociągał się jeszcze z odejściem. — Popatrz, tuanie, kłody zwarły się tak — tu przycisnął dłoń do dłoni — a głowa jego musiała dostać się w środek, bo niema już twarzy, którąbyś mógł oglądać. Jest tam jego ciało, i kości, i nos, i usta, a pewnie i jego oczy — ale nikt nie rozróżni jednego od drugiego. W dniu, kiedy się urodził, zostało zapisane, że żaden człowiek nie będzie mógł spojrzeć na niego po śmierci i powiedzieć: oto twarz mojego przyjaciela.

— Cicho, Mahmacie! dosyć tego — rzekł Babalaczi. — A nie gap się tak na jego złotą obręcz, ty zjadaczu świńskiego mięsa. Tuanie Almayer, — dodał, znizywszy głos — czy widziałeś Deina dziś rano?

Almayer otworzył szeroko oczy i zaniepokoił się. „Nie — odparł prędko — a tyś go widział? Czy niema go u radży? Czekam na niego; dlaczego nie przychodzi?

Babalaczi pokiwał smutnie głową.

— On przyszedł, tuanie. Opuścił nas w nocy podczas tej wielkiej burzy, kiedy rzeka bardzo się gniewała. Noc była zupełnie ciemna, ale w jego sercu gorzał płomień, który rozjaśniał mu drogę. Rzeka wydała mu się gładka, jak woda w wąskiej cieśninie, a rozpędzone kłody nie większe od źdźbeł suchej trawy. Więc popłynął — i oto leży tutaj. — Babalaczi wskazał głową na trupa.

— Skąd wiesz, że to on? — krzyknął gorączkowo Almayer. Odepchnął żonę, zerwał nakrycie i wpatrzył się w bezkształtną miazgę ciała, włosów i schnącego błota, leżącą na miejscu, gdzie była twarz topielca. — Nikt nie rozpozna — dodał i wzdrygnął się ze zgrozą.

Tymczasem Babalaczi ukląkł, obcierając z błota palce wyciągniętej ręki. Powstał i błysnął przed oczami Almayera złotym pierścieniem o wielkim, zielonym kamieniu.

— Znasz dobrze ten pierścień — rzekł — nie schodził on nigdy z ręki Deina. Musiałem poszarpać palec, aby go zdjąć. Czy mi teraz wierzysz?

Almayer podniósł ręce do głowy i opuścił je bezwładnie w niemej rozpacz. Babalaczi przyglądał mu się ciekawie i zobaczył ze zdumieniem uśmiech na jego twarzy. Dziwne urojenie opanowało mózg Almayera, zmącony tym nowym ciosem. Przywidziało mu się, że przez wiele lat spadał w głęboką przepaść. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu spadał nieustannie; była to gładka, krągła, mroczna przepaść, której czarne ściany sunęły w górę z nużącą szybkością. Zdaje mu się, że słyszy jeszcze odgłos tego zawrotnego spadania. Nagle doznał straszliwego wstrząsu: uderzył o dno i — o dziwo! — oto jest żywy i cały, a Dein leży martwy z pogruchotanemi kośćmi. Uderzyło go to, jak rzecz bardzo

zabawna. Nieżywy Malaj; tak wielu nieżywych Malajów oglądał bez najmniejszego wzruszenia, — a teraz czuje, że płacz chwyta go za gardło, ale nie nad Malajem; żal mu białego człowieka, który spadł w głęboką przepaść, a nie zabił się. Wydało mu się, że stoi tak jakby z boku, w pewnym oddaleniu — i przygląda się niejakiemu Almayerowi, który jest w bardzo ciężkich opalach. Biedny, biedny człowiek! dlaczego nie poderżnie sobie gardła? Chciałby zachęcić go do tego i ujrzyć, jak Almayer padnie martwy na trupa Deina. Dlaczego nie umiera, aby położyć kres męce? Jęknął mimowoli i zląkł się swojego głosu. Czy ogarnia go szaleństwo? W najwyższym przerażeniu rzucił się ku domowi, powtarzając ciągle: „Ja nie warjowałem! nie, nie — naturalnie, że nie!” Starał się przyswoić sobie dokładnie tę myśl. „Nie jestem warjatem, nie jestem warjatem!” Potknął się, wbiegając naoslep na schody i coraz prędzej powtarzał te słowa, w których widział ratunek. Zobaczył przed sobą Ninę i chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł sobie przypomnieć co; pochłonał go szalony wysiłek, aby nie stracić ani na chwilę świadomości, że nie jest warjatem. Powtarzał wciąż to samo, biegając naokoło stołu, aż potknął się wreszcie o fotel i padł nań wyczerpany. Utkwił dziki wzrok w Ninie, dziwiąc się, że dziewczyna cofa się przed nim z przestachem w oczach. Cóż jej się stało? co za głupota! Walnął pięścią w stół i krzyknął ochryłym głosem: „Dżynu! prędko!” Nina wybiegła, a on siedział w fotelu cicho i spokojnie, zadziwiony hałasem, jaki wywołał.

Wróciła ze szklanką, nalaną do połowy dżynem. Zastąpiła ojca, wpatrzona bezmyślnie przed siebie; czuł się teraz bardzo zmęczony, jak po powrocie z długiej podróży. Miał wrażenie, że uszedł tego ranka wiele kilome-

trów i spragniony był wypoczynku. Wziął szklanekę trzęsącą się ręką i zaczął pić, dzwoniąc zębami o szkło; wyszczywszy dziwnie do ostatniej kropli, stuknął ciężko szklaneką o stół. Podniósł zwolna oczy na Ninę, stojącą obok niego, i rzekł spokojnym głosem:

— Wszystko przypadło, Nino. On nie żyje — a ja mogę popalić moje łódzie.

Czuł się dumnym, że jest w stanie mówić tak spokojnie. Najwidoczniej obłąkanie już mu nie grozi; ta pewność jest bardzo kojąca. Opowiedział o znalezieniu zwłok, przysłuchując się z upodobaniem własnemu głosowi. Nina stała spokojnie z ręką wspartą lekko o ramię ojca. Twarz jej była nieporuszona, lecz i rysy i cała postawa wyrażały natężoną, trwożną uwagę.

— Więc Dein nie żyje — odezwała się chłodno, gdy zamilkł głos ojca.

Sztuczny spokój Almayera ustąpił w mgnieniu oka gwałtownemu wybuchowi oburzenia.

— Stoisz przede mną, jak słup — krzyknął gniewnie — i odzywasz się, jakby to była fraszka. Tak, Dein nie żyje! czy rozumiesz? nie żyje! Cóż to cię obchodzi! nigdy o mnie nie dbałaś; patrzyłaś obojętnie jak wysilam się, i haruję, i walczę; nigdy nie widziałaś moich cierpień, nigdy! Nie masz serca i nie masz duszy, bo inaczej byłabyś zrozumiała, że pracowałem tylko dla ciebie, dla twojego szczęścia! Chciałem być bogaty, chciałem się stąd wydostać, chciałem widzieć, jak biali ludzie będą się gięli nisko przed potęgą twojej piękności i twojego bogactwa. Choć jestem stary, pragnąłem znaleźć się w obcym kraju, wśród obcej cywilizacji i rozpocząć nowe życie, aby napatrzeć się twojemu powodzeniu, twoim triumfom, twojemu szczęściu. Tylko dlatego dźwigałem cierpliwie brzemień pracy, zawodów i upo-

korzeń wśród tych dzikich. I już miałem szczęście prawie że w ręku!

Spojrzał na uważną twarz córki i zerwał się, przewracając fotel.

— Słyszysz? miałem szczęście pod ręką — o tak — tylko sięgnąć!

Zamilkł, usiłując poskromić rosnący gniew, ale nie potrafił się opanować.

— Czy ty nie czujesz? — ciągnął — czy nie wiesz, co to nadzieja? — Milczenie Niny rozjątrzało go; podnosił głos coraz bardziej, choć starał się wciąż zapanować nad sobą.

— Czy miło ci żyć wśród nędzy i oczekiwać na śmierć w tej nikczemnej dziurze? Nino, odezwiż się! Czy niema w tobie litości? Czy nie znajdziesz ani słowa pociechy? A ja cię tak kochałem!

Czekał przez chwilę i nie słysząc odpowiedzi, potrząsnął pięścią przed oczami córki.

— Widzę, że jesteś idjotką! — wrzasnął.

Obejrzał się za fotelem, podniósł go i siadł sztywno. Gniew jego wygasł; zawstydzony był swoim wybuchem, ale przyniosła mu ulgę świadomość, że odsonił przed córką istotną treść swego życia. Myślał tak w najlepszej wierze i ludził się co do pobudek swojego postępowania, nie zdając sobie sprawy, jak dalece drogi jego są zawile, cel mętny, a żale jałowe. Wielka, tkliwa miłość do córki przepełniała mu serce. Chciał widzieć ją nieszczęśliwą, aby cierpieć z nią razem, ale pragnął tego w sposób właściwy naturom słabym, które tęsknią za współczuciem i narzucają swoje cierpienia ludziom, najzupełniej wobec nich niewinnym. Gdyby Nina cierpiała, zrozumiałaby go i współczułaby mu, a tymczasem ona nie chce, czy nie może znaleźć ani słowa pocie-

chy i miłości wobec jego strasznej niedoli. Poczucie zupełnego osamotnienia owładnęło Almayerem z taką siłą, że dreszcz nim wstrząsnął. Zachwiał się i padł twarzą na stół z wyciągniętymi sztywno rękami. Nina przysunęła się szybko do ojca i patrzyła na siwą głowę, na szerokie barki, drgające konwulsyjnie pod wpływem uczuć, które znalazły wreszcie ujście we łzach i łkaniu.

Odeszła od stołu z głębokim westchnieniem. Rysy jej straciły pozór kamiennej obojętności, który doprowadził Almayera do wybuchu gniewu i żalu; wyraz jej twarzy uległ naglej zmianie. Gdy ojciec błagał ją o współczucie, o słowo pociechy, słuchała z pozorną obojętnością, choć w sercu jej zmagwały się sprzeczne porywy; wstrząsnęły nią wypadki, których nie przewidziała, a w każdym razie nie spodziewała się, że nastąpią tak prędko. Poruszona była do głębi rozpaczą Almayera; wiedząc, że może zapobiec jego męce jednym, jedynym słowem, pragnęła gorąco je wypowiedzieć, a jednocześnie słyszała ze zgrozą głos przemożnej miłości, nakazujący jej milczenie. Poddała się po krótkiej i dzikiej walce, stoczonej przez dawne ja z nowymi prawami jej życia. Uzbroidła się w zupełne milczenie, jedyną tarczę przeciw jakiejś zgubnej słabości. Nie ufała sobie tak dalece, że bała się wyszeptać słowo, lub uczynić najłżejszy ruch, aby nie powiedzieć za wiele; i właśnie ta gwałtowność uczuć, szalejących w najtajniejszych głębiach duszy, pozornie obróciła ją w kamień. Tylko rozdęte nozdrza i pałające oczy świadczyły o miotającej ją burzy, lecz Almayer nie dostrzegł wzruszenia córki, bo wzrok jego był zmacony przez rozpamiętywanie swej niedoli, gniew i rozpacz.

Gdyby był spojrział na Ninę, wspartą teraz o poręcz werandy, zobaczyłby, że obojętność ustępuje z jej twarzy; głęboki ból odmalował się w jej oczach, a cudownie piękne

rysy ściągnął wyraz czujnego niepokoju. Wysoka trawa, porastająca zapuszczone podwórze, stała przed Niną, wyprężona w żarze południa. Od strony rzeki zbliżały się głosy i szelest bosych nóg; słychać było, jak Babalaczi daje wskazówki ludziom Almayera. Wreszcie, z za węgła ukazał się szczupły korowód ze zwłokami topielca. Pani Almayer otwierała pochód, głośno zawodząc, a Babalaczi szedł obok zwłok i niośł w ręku kółko zdjęte z nogi trupa. Mahmat trzymał się nieśmiało w tyle, w nadziei, że nie minie go obiecana nagroda.

— Złóżcie go tutaj — rzekł Babalaczi do ludzi Almayera, wskazując na stos desek, suszących się przed werandą. — Złóżcie go tutaj. Był Kafirem, i synem psa, i przyjacielem białego człowieka. On pił mocną wodę białego człowieka — dodał z udanym wstrętem. — Sam to widziałem.

Niewolnicy złożyli zwłoki na dwóch zsuniętych deskach; pani Almayer nakryła je kawałem białego płótna i, poszeptawszy czas jakiś z Babalaczim, odeszła do zajęć domowych. Ludzie Almayera rozproszyli się w poszukiwaniu cienistych zakątków, gdzieby mogli dzień cały przepróżniaczyć. Babalaczi pozostał sam przy trupie, który leżał sztywny pod białym płótnem w jaskrawym blasku słońca.

Nina zeszła ze schodów i zbliżyła się do Babalaczego; sambirski dyplomata podniósł rękę do czoła i przykucnął z wielkim szacunkiem.

— Przyniosłeś złotą obręcz — rzekła Nina, spoglądając na zadartą twarz Babalaczego i samotne jego oko.

— Przyniosłem, Mem Putih, — potwierdził ugrzeczniony mąż stanu i, zwróciwszy się do Mahmata, kiwnął na niego, wołając: „Chodź-no tu bliżej!”

Mahmat zbliżył się z pewnem wahaniem. Starał się nie patrzeć na Ninę, lecz utkwiał wzrok w Babalaczim.

— A teraz słuchaj, — rzekł ostro Babalaczi. — Wiedziałeś pierścień i bransoletę i wiesz, że nie należą do nikogo innego, tylko do kupca Deina. Dein przyjechał wczoraj łódką późnym wieczorem. Po rozmowie z radzą opuścił nas w nocy, aby przepłynąć się do domu białego człowieka. Woda była bardzo wielka — i dziś rano znalazłeś go w rzece.

— Wyciągnąłem go za nogi — mruknął Mahmat. — Tuanie Babalaczi, a moja nagroda! — wykrzyknął głośno.

Babalaczi podniósł złotą bransoletę do oczu Mahmata. „To, co ci powiedziałem, przeznaczone jest dla wszystkich uszu. To, co ci daję, przeznaczone jest dla twoich własnych oczu! Bierz!”

Mahmat wziął skwapliwie złote kółko i schował je w fałdach pasa. — Niegłupim pokazywać taką rzecz w domu, gdzie są trzy kobiety — mamrotał. — Ale opowiem im o kupcu Deinie, będą miały o czym gadać.

Odwrócił się i odszedł, a za osiedłem Almayera przyspieszył zaraz kroku.

Babalaczi spoglądał za nim, póki nie znikł za krzakami. „Czy dobrze zrobiłem, Mem Putih?” spytał pokornie, zwracając się do Niny.

— Tak, — odrzekła Nina. — Pierścień możesz sobie zatrzymać.

Babalaczi dotknął ust i czoła i dźwignął się z ziemi. Spojrzał na Ninę, jakby oczekiwał dalszych jej słów, lecz ona zwróciła się ku domowi i weszła na schody, odprawiając go skinieniem ręki.

Babalaczi podniósł laskę i zabierał się do odejścia. Bardzo było gorąco i nie miał wcale ochoty przepłynąć się przez rzekę w taki upał. Ale trudno — musi zawiadomić radzę o nieprzewidzianych wypadkach, o zmianie planów, o wszystkich swoich podejrzeniach. Znalazłszy się na

pomoście, zaczął rozplątywać linę z rattanu, którą czółno było przywiązane.

Rozległa powierzchnia dolnej rzeki mieniła się olśniewającym blaskiem. Pokrywały ją czarne plamki czółen rybackich, które zdawały się brać udział w jakichś szalonych wyścigach. Babalaczi przestał odwiązywać czółno i spojrzął z nagłym zainteresowaniem. Rybak z najbliższej łódki, znalazłszy się na odległość głosu od skrajnych chat osady, złożył wiosło i stanął w łódce, krzyząc:

— Łodzie! łodzie! wojenne łodzie jada! są już tutaj!

W mgnieniu oka osada zaroiała się znów ludźmi, biegnącymi ku rzece. Mężczyźni odwiązywali czółna, kobiety skupiły się w gromadki, spoglądając ku zakrętowi w dole rzeki. Nad drzewami, porastającymi brzegi, ukazał się lekki kłęb dymu, niby czarna skaza na wspaniałym lazurze przeczystego nieba.

Babalaczi stał z liną w ręku, zaskoczony tym widokiem. Spojrzął w dół rzeki, potem w górę ku domowi Almayera i znowu zwrócił się w dół, niepewny co ma zrobić. Wreszcie przywiązał czółno zpowrotem, rzucił się ku domowi i wbiegł po schodach na werandę.

— Tuanie, tuanie! — zawołał gorączkowo. — Łodzie jada, wojenne łodzie. Przygotuj się, tuanie. Oficerowie przyjdą do ciebie, wiem to napewno!

Almayer dzwignął powoli głowę ze stołu i spojrzął na niego tępym wzrokiem. — Mem Putih! — krzyknął Babalaczi do Niny — popatrz tylko! On nic nie słyszy. Musisz bardzo uważać — dodał znacząco.

Nina skinęła głową z bladym uśmiechem i chciała coś odpowiedzieć, gdy nagle wystrzał armatni wstrzymał słowa na rozchylnych jej wargach. Równocześnie ukazała się pa-

rowa szalupa z armatą, umieszczoną na przednim pomoście. Uśmiech zgasł na ustach Niny, a z oczu jej wyrzał znowu czujny niepokój. Od strony dalekich wzgórz nadpłynęło echo, jak przeciągłe, żalosne westchnienie — niby odzew, wysłany przez kraj w odpowiedzi na głos swoich panów.

ROZDZIAŁ VIII

Wieści o rozpoznaniu zwłok, złożonych w osiedlu Almayera, przebiegły szybko osadę. Wszyscy mieszkańcy wylegli na drogę; rozprawiali aż do południa o tajemniczym powrocie i niespodzianej śmierci człowieka, którego mieli sposobność poznać jako kupca. Jego przybycie w czasie północno-wschodniego monsunu, długi pobyt w osadzie i nagły odjazd stanowiły niewyczerpany temat rozmów i domysłów. Lecz przedewszystkiem rozprawiano o tajemniczym zjawieniu się trupa, który miał być właśnie jego zwłokami. Mahmat krążył od chaty do chaty i od gromadki do gromadki, gotów powtarzać co chwila swoje opowiadanie: jako to spostrzegł trupa zaczepionego sarongiem o kłodę, jak pani Almayer zjawiała się zaraz na jego wołania i rozpoznała zwłoki, zanim je zdążył na brzeg wydostać i jak Babalaczi kazał wyciągnąć trupa z wody. „Wywlokłem go za nogi — patrzę, — a tu niema wcale twarzy!” rozповідаł Mahmat. „Skądże żona białego mogła poznać, kto to taki? Wiadomo — jest czarownicą! A czyście widzieli, jak biały

człowiek porwał się i uciekł od trupa? sadił jak jeleni!" Tu Mahmat naśladował wielkie kroki Almayera ku szczerej radości widzów. Za cały ten kłopot nic się Mahmatowi nie okroiło; pierścień z zielonym kamieniem zatrzymał tuan Babalaczi. „Nic a nic!" — powtarzał Mahmat, spluwając z obrzydzeniem i szedł dalej szukać słuchaczy.

Więści dotarły do najdalszych krańców osady i wreszcie do Abdulli. Potężny kupiec siedział w składzie, w chłodnym zaciszu; doglądał urzędników Arabów i ludzi ładujących czółna, przybyłe z górnych okolic rzeki. Reszyd, zajęty wówczas w przystani, został wezwany przed oblicze stryja. Znalazł go — jak zwykle — pełnego spokoju, a nawet pogody, choć wielce zdumionego. Arabowie wiedzieli już od trzech dni o ujęciu, czy też zniszczeniu statku Deina; donieśli o tem rybacy z nad morza i mieszkańcy niższych okolic Pantai. Więści wędrowały w górę rzeki od sąsiada do sąsiada, aż wreszcie Bulangi, mieszkający najbliżej osady, zjawił się z tą ważną nowiną u Abdulli, o którego łaski zabiegał. Pogłoski mówiły również o walce i o śmierci Deina na pokładzie własnego okrętu, a tymczasem cała osada rozprawiła o jego odwiedzinach u radży i o tem, że poniósł śmierć, przepływając się przez rzekę w drodze do kampongu Almayera. Ani Abdulla, ani Reszyd nie mogli nic z tego zrozumieć. Reszyd dziwił się bardzo, a przytem niespokojny był i pełen wątpliwości. Lecz Abdulla, otrząsnąwszy się ze zdumienia, ujawnił rezygnację właściwą ludziom wiekowym, którzy niechętnie zajmują się rozwiązywaniem zagadek. Stwierdził, że Dein w każdym razie nie żyje, przestał więc być niebezpieczny. Po co roztrząsać wyroki losu, szczególnie jeśli są pomyślne dla prawowiernych wyznawców? Tu Abdulla zwrócił się z pobożnem westchnieniem do Allaha, — który jest łaski pełen i miło-

sierdza, — poczem uznał, że zajmowanie się tym wypadkiem nie jest na razie potrzebne.

Reszyd innego był zdania. Ociągał się z odejściem, gładząc w zamyśleniu starannie utrzymaną brodę.

— Widzę w tem wiele łągarstw — mruknął. — On już raz nie żył i zmartwychwstał, a teraz znów umarł po raz drugi. Wkrótce zjawią się tu Holendrzy i zażądata wydania tego człowieka. Czy nie lepiej uwierzyć raczej świadectwu własnych oczu, niż językom bab i próżniaków?

— Mówią, że ciało zabrano do kampongu Almayera — odrzekł Abdulla. — Jeśli chcesz je zobaczyć, idź tam przed przybyciem Holendrów. Wybierz się późnym wieczorem; nie trzeba, aby którego z nas widziano temi czasami w osiedlu Almayera.

Reszyd zgodził się na to i opuścił stryja. W wielkich drzwiach wejściowych przystanął i wsparł się ramieniem o futrynę, spoglądając leniwie przez otwartą bramę ku głównej ścieżce osady. Stała się przed nim bezludna i żółta pod ulewą światła. Gładkie pnie palm, chaty, dach bungalowu Almayera, widzialny wśród zarośli na ciemnym tle lasu — wszystko zdawało się drgać w żarze południowej godziny, bijącym od rozprażonej ziemi. Roje żółtych motyli wznosiły się i opadały w krótkich wzlotach przed przykniętymi oczami Reszyda. U jego stóp, w bujnej trawie dziedzińca, brzęczała ckliwie kapela owadów. Patrzył sennie przed siebie.

Z bocznej ścieżki między chatami wyszła na drogę kobieta; smukła, dziewczęca jej postać kryła się w cieniu wielkiej tacy, którą niosła na głowie. Widok zbliżającej się postaci rozbudził nawpół uspiętego Reszyda. Poznał Taminę, niewolnicę Bulangiego, roznoszącą ciastka na sprzedaż — codzienne zjawisko bez żadnego znaczenia. Dziewczyna szła

ku domowi Almayera. Może się da użyć jej za narzędzie? Otrząsnął się z senności i pobiegł ku bramie, nawołując: „Tamino! o!” Stała, zawahała się i wróciła wolnym krokiem, a on czekał, kiwając na nią niecierpliwie.

Zatrzymała się przed nim ze spuszczonej oczami. Przypatrywał jej się przez chwilę i zapytał:

— Czy idziesz do domu Almayera? W osadzie mówią, że w kampongu białego człowieka leży kupiec Dein, którego znaleźli w rzece dziś rano.

— Słyszałam o tem — szepnęła Tamina — i dziś rano widziałam trupa nad brzegiem rzeki. Nie wiem, gdzie się teraz znajduje.

— Więc go widziałas? — zapytał skwapliwie Reszyd. — Czy to Dein? Spotykałaś go nieraz. Powinnaś go poznać.

Wargi dziewczęcia zadrżały; milczała przez chwilę, oddychając szybko.

— Widziałam go niedawno — odrzekła wreszcie. — Ludzie mówią prawdę: Dein nie żyje. Czego chcesz ode mnie, tuanie? muszę już odejść.

W tej chwili właśnie rozległ się wystrzał armatni na pokładzie parowca; odpowiedź zawisła na ustach Reszyda. Zostawił niewolnicę i pobiegł w kierunku domu. W podwórzu spotkał Abdullę, zmierzającego ku bramie.

— Orang Blanda przybyli — zawołał Reszyd — czeka nas teraz nagroda!

Abdulla pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Długo się czeka na nagrodę z rąk białych ludzi — odpowiedział. — Biali skorzy są w gniewie, ale powolni w wdzięczności. Zobaczymy.

Przystanął u bramy, gładząc siwą brodę i słuchał dalekich okrzyków powitania, niosących się z drugiego krań-

ca osady. Zawołał na Taminę, która zabierała się do odejścia.

— Posłuchaj mnie, dziewczyno — rzekł do niej — w domu Almayera znajdzie się dzisiaj wielu białych ludzi. Pójdiesz tam i będziesz sprzedawała ciastka żeglarzom z okrętu. Cokolwiek usłyszysz i zobaczysz, masz mi wszystko powtórzyć. Przyjdź jeszcze przed zachodem słońca; dam ci niebieską chustkę w czerwone kropki. A teraz idź i nie zapomnij, że masz tu wrócić!

Pchnął odchodzącą Taminę końcem długiej laski tak, że aż się potknęła.

— Cóż to za niemrawa niewolnica — rzekł do siostrzeńca, spoglądając niełaskawie na dziewczynę.

Tamina szła wolno z tacą na głowie i oczami wbitemi w ziemię. Przez otwarte drzwi chat biegly ku niej przyjazne nawoływania, zapraszające, aby zaszła z towarem; pogrążona w myślach, nie zwracała na to żadnej uwagi, zaniedbując swoje obowiązki. Od wczesnych godzin ranka napatrzyła się i nasłuchiwała wielu rzeczy, które napoiły jej serce radością, a zarazem wielkiem cierpieniem i trwożą. Przed świtem, zanim opuściła dom Bulangiego, aby udać się do Sambiru, dosięgły jej uszu głosy z nad rzeki. Cały dom był jeszcze w śnie pogrążony. Słowa usłyszane w ciemnościach sprawiły, że trzymała teraz w rękach życie człowieka, a w sercu kryła wielki smutek. Lecz nie byłby tego nikt odgadł ze spężystego jej chodu, śmigłej postawy i twarzy, obleczonej w codzienny wyraz apatycznej obojętności. Nie przypuściłby nikt, że prócz ciężaru tacy i całej góry ciastek, sporządzonych skrzętnymi rękoma żon Bulangiego, Tamina dźwiga brzemień stokroć dotkliwsze. W giętkiej postaci prostej jak strzała, sunącej wdzięcznie i swobodnie, w łagodnych oczach, wyrażających tylko nieświadomą rezygnację, drze-

mały wszelkie możliwe uczucia i namiętności, wszystkie nadzieje i wszystkie obawy — przekleństwo życia i ukojenie śmierci. Lecz ona nie wiedziała o niczem. Rosła jak te wyniosłe palmy, które dążą nieświadomie ku światłu, pożądają blasku słońca i lękają się burzy. Nie żywiła nigdy żadnej nadziei, nie spodziewała się żadnej zmiany. Nie знаła innego nieba, wód, ani lasów; nie wyobrażała sobie innego świata, ani odmiennego życia. Nie doznawała żadnych pragnień, nie czuła miłości, nie lękała się niczego — prócz bicia. Jedyne uczuciem dostępnem dla niej był głód, który zresztą cierpiała rzadko, gdyż Bulangi był człowiekiem bogatym i nie zbywało na ryżu w samotnym jego domku na polance. Sytość i brak bólu stanowiły jej szczęście, a nieszczęściem było tylko większe niż zwykle zmęczenie po całodzienniej pracy. W gorące noce południowo - zachodniego monsunu spoczywała w spokojnym śnie bez marzeń pod jasnemi gwiazdami, na pomoście, zbudowanym przy chacie nad wodą. Wewnątrz chaty leżał tuż przy progu Bulangi, dalej jego żony i dzieci przy swoich matkach. Słyszała ich oddechy; niekiedy odzywał się zaspiany głos Bulangiego, lub ostry krzyk dziecka, uciszany zaraz tkliwemi słowami. I zamykała powieki wśród poszeptów cichego wiatru, przy wtórze szemrzącej rzeki, nieświadoma tętniącego nieustannie życia tropikalnej natury, która przemawiała do niej napróżno tysiącem cichych głosów z pobliskiego lasu. Wabił ją oddech ciepłego powiewu, ciężkie aromaty snuły się naokoło, a białe majaki przedrannej mgły zwisały nad nią w chwili uroczystego skupienia przyrody — przed rozbłyśnięciem zorzy.

Tak upływało życie Taminy, zanim obcy bryg w Sambirze się pojawił. Pamiętała dokładnie chwilę jego przybycia. Wrzawa zapanowała w osadzie; nienasycona cieka-

wość ogarnęła wszystkich mieszkańców, podniecając ich do rozmów dniem i nocą. Pamiętała także swoją nieśmiałość wobec obcych ludzi. Zczasem, gdy statek, przymocowany u brzegu, stał się niejako częścią osady, lękliwość Taminy ustępowała stopniowo wobec rosnącej zażyłości. Odwiedziny na pokładzie weszły w skład jej codziennych obowiązków. Wstępowała z wahaniem na pochyłe deski pomostu wśród zachęcających okrzyków, którym towarzyszyły mniej lub więcej przyzwoite żarty majtków, wałęsających się w przystani. Dostawszy się na pokład, sprzedawała swój towar hałaśliwym żeglarzom o wielce swobodnem obejściu. Panował tam nieustanny tłok i ruch, jedni wychodzili, drudzy wracali; rozlegały się nawoływania i rozkazy, które spełniano przy wtórze głośnych okrzyków; zgrzytały bloki, zwoje lin migwały w powietrzu. Tamina siadywała na uboczu, w cieniu płóciennego dachu, zakrywszy szczelnie twarz zasłoną; tacę z ciastkami umieszczała przed sobą. Czuła się bardzo onieśmielona wśród tylu obcych mężczyzn. Uśmiechała się do wszystkich kupujących, lecz nie rozmawiała z żadnym, puszczając mimo uszu ich żarty z tępą obojętnością. Różne opowiadania o oddalonych krainach, o dziwnych obyczajach i jeszcze dziwniejszych wypadkach obijały się o jej uszy. Wszyscy ci ludzie byli odważni, lecz najmężniejsi z nich mówili z trwogą o swym wodzu. Mąż, którego zwali panem, przechodził często obok Taminy. Bił od niego blask młodości, połyskiwały wspaniałe szaty i podzwiek złotych ozdób szedł za nim, a żeglarze usuwali mu się z drogi i, zawisłszy wzrokiem u jego warg, wyczekiwali niespokojnie rozkazów. Całe życie Taminy zbiegało się wówczas w jej oczach; spoglądała ku niemu z pod zasłony, pociągnięta nieodpartym czarem, ale bała się zwrócić jego uwagę. Pewnego dnia spostrzegł ją i spy-

tał, co to za dziewczyna. „Niewolnica, tuanie! roznosi ciastka na sprzedaż!” zabrzmiała jednogłośnie odpowiedź z kilkunastu piersi. Porwała się do ucieczki, lecz przyzwał ją zpowrotem, a gdy stanęła przed nim drżąca, ze zwieszoną głową, przemówił łaskawie i ująwszy pod brodę, spojrział jej w oczy z uśmiechem. „Nie bój się!” powiedział. Nigdy się już więcej do niej nie odezwał. Ktoś zawołał na niego z brzegu; odwrócił się i zapomniał o jej istnieniu. Na wybrzeżu stał Almayer z Niną u boku. Tamina posłyszała wesoły głos Niny i ujrzała radość na twarzy Deina, który wmg znalazł się u brzegu. W owej to chwili znenawidziła dźwięk głosu Niny.

Przestała odtąd odwiedzać kampong Almayera, spędzając południowe godziny na pokładzie, w cieniu płóciennego dachu. Wyglądała Deina z pierśią falującą coraz szybciej, a gdy nadchodził, serce miotano się w niej jak oszalałe, w rytm świeżo zrodzonych uczuć — wesela, nadziei i trwogi. Z oddaleniem się Deina przycichał dziki zamęt w jej duszy; wyczerpana jak po walce, siedziała długi czas w sennym bezwładzie. Wieczorem wracała do domu, wiosłując od niechcienia, unoszona leniwym prądem wzdłuż brzegu. Wiosło wisiało beczynnie, a ona siedziała u rufy z głową wspartą na ręku i szeroko rozwartymi oczyma, wsłuchując się usilnie w szept własnego serca, który się rozrastał w pieśń niewymownej słodyczy. Zasłuchana w jej nutę, łuskała ryż w domu; cudna melodia głużyła krzykliwie kłótnie żon Bulangiego i gniewne wymówki, których jej nie szczędzono. Gdy słońce miało się ku zachodowi, szła kąpać się w zatoce; stojąc na miękkiej trawie wybrzeża z suknią leżącą u stóp, słuchała wciąż śpiewu serca, zapałtrona w odbicie swej postaci w gładkim zwierciadle wody. Wracała potem zwolna ku domowi z mokremi włosami roz-

sypanemi na plecach; kładła się na spoczynek pod migotaniem gwiazd i zamykała oczy przy wtórze fal, w poszeptach ciepłego wiatru; cała przyroda przemawiała do niej tysiącem szmerów z wielkiego lasu, a serce jej zanosilo się śpiewem.

Słuchała, nie rozumiejąc i piła senną radość nowego bytu bez troski o jego trwałość lub znaczenie, aż przyszła do niej, skroś ból i gniew, pełna świadomość życia. Straszny ból targnął nią, gdy ujrzała po raz pierwszy, jak długie czółno Niny mija uśpioną chatę Bulangiego, unosząc dwoje zakochanych w gęstwą białej mgły, zawisłej nad rzeką. Zawieść i wściekłość Taminy wzmożyły się aż do paroksyzmu fizycznego cierpienia; padła na wybrzeże, dysząc w niemej męce rannego zwierzęcia. Lecz mimo to krążyła dalej w zaklętym kole niewoli i dzień w dzień spełniała swoje obowiązki, żywiąc w sercu wielki tragizm cierpienia, którego nie umiała wyrazić nawet wobec samej siebie. Unikała Niny; czuła na jej widok jak gdyby ostrze noża, wżerające się w ciało, nie przestała jednak odwiedzać brygu, sycąc pokarmem rozpacz swoją niemą, ciemną duszę. Widywała Deina niejednokrotnie. Nigdy się już nie odezwał, ani nie spojrzął na nią. Czy oczy jego mogły widzieć jedną tylko kobietę? Czy uszy jego były otwarte dla jednego, jedyne go głosu? Nie zwrócił na nią uwagi już ani razu.

Wreszcie stało się, że odjechał. Ostatni raz widziała go u boku Niny owego ranka, gdy Babalaczi, zwiedzając zastawione sieci, stwierdził na własne oczy, że słusznie podejrzewa Deina i Ninę o miłosne konszachty. Dein znikł, a serce Taminy, — w którym spoczywały bezużytecznie i jałowo ziarna wszelakiej miłości i nienawiści, wszystkich namiętności i wszystkich poświęceń, — serce to zapomniało o swych radościach i bólach, gdy zbrakło mu oparcia zmy-

słów. Pierwotna, nieokrzesała jej dusza, podlegająca niewolniczo ciału — tak jak i ciało jej podlegało cudzej woli — zapomniała o nikłym i mętnym obrazie ideału, który wyrósł na tle fizycznych podnieć jej dzikiej natury. Zapadła znowu w drętą tępość poprzedniego życia i znajdowała pociechę, a nawet pewien rodzaj szczęścia w myśli, że Nina i Dein rozstali się — przypuszczalnie nazawsze. On zapomni o Ninie! Ta myśl łagodziła męki gasnącej zazdrości, której zbrakło pokarmu i Tamina znalazła wreszcie spokój. Była to jak gdyby martwa cisza pustyni, gdzie spokój panuje tylko dlatego, że niema tam życia.

Lecz oto Dein powrócił. Poznała jego głos, nawołujący w nocy Bulangiego. Wyszła z chaty wślada za swoim panem, aby wśluchać się w ten dźwięk czarownicy. Dein siedział w łódce i rozmawiał z Bulangim. Tamina, chłonąc jego słowa z zapartym oddechem, posłyszała drugi głos jeszcze. Obląkana radość, rozsadzająca jej serce, zgąsła wnet, rzuciwszy ją na pastwę fizycznego bólu; doznawała go już i przedtem na widok Deina i Niny. — Głos Niny rozkazywał i groził naprzemian, a Bulangi odmawiał, tłumaczył — i zgodził się wkońcu. Poszedł do chaty, aby wziąć wiośło ze stosu za drzwiami. Szmer głosów nad rzeką snuł się ciągle; uszu Taminy dochodziły niekiedy pojedyncze wyrazy. Zrozumiała, że Dein ucieka przed białymi, że szuka kryjówki, że jest w niebezpieczeństwie. Lecz posłyszała także słowa, które zbudziły wściekłą zazdrość, uspioną przez wiele dni w jej duszy. Skulona w błocie, w czarnym mroku między palami, nasłuchiwała szeptu, przepojonego lekceważeniem trudów, niebezpieczeństw, a nawet samego życia, — jeśli nagrodą ma być gorący uścisk, spojrzenie umiłowanych oczu, powiew słodkiego oddechu, dotknięcie miękkich warg. Tak mówił w łódce Dein do Niny,

czekając na powrót Bulangiego — a Tamina, wsparta o pal śliski od błota, czuła, że niezmierny jakiś ciężar wali się na nią i ciągnie w czarną, gęstą wodę. Chciała krzyknąć, rzucić się ku nim i roztrącić niewyraźne cienie, a potem pchnąć Ninę w gładką toń, oplatać ją sobą i przywrzeć do dna, gdzieby ten człowiek nie mógł jej dosięgnąć. Niezdolna była do płaczu, ani do najlżejszego ruchu. Niebawem rozległy się kroki na bambusowym pomoście nad jej głową; widziała, jak Bulangi wsiadł do najmniejszego czółenka i wysunął się naprzód, a za nim podążyła łódka z Deinem i Niną. Plusnęły lekko wiosła, zanurzone ostrożnie w wodę, mgliste postacie dwojga ludzi przesunęły się przed zbolalemi oczami Taminy i znikły w ciemnościach.

Pozostała bezwładna na miejscu w chłodzie i wilgoci, dysząc ciężko pod miażdżącym brzemieniem, które tajemnicza ręka losu zwała tak niespodzianie na smukłe jej barki; trzęsąc się, czuła, jak pożera ją piekący ogień, podżegany własnem jej tchnieniem. Gdy świt rozwinął blado-złocistą wstęgę nad czarnemi lasami, popłynęła do osady z towarem i roznosiła placki na sprzedaż, wiedzona jedynie siłą przyzwyczajenia. Spostrzegła podniecenie ludności i usłyszała, że znaleziono ciało Deina. Szybko ochłonęła ze zdumienia; była to, oczywiście, nieprawda — wiedziała o tem dobrze. Żał jej się zrobiło, że nie umarł. Chętnie ujrzałaby go martwym, aby odgrodzić go śmiercią od tej kobiety — od wszystkich kobiet wogóle. Zapragnęła nagle zobaczyć Ninę — bez wyraźnego celu. Nienawidziła i lękała się jej, ale czuła, że neodparty jakiś popęd gna ją ku domowi Almayera, że pragnie spojrzeć w twarz białej kobiecie, zatopić wzrok w jej oczach i usłyszeć znów dźwięk głosu, za który Dein gotów oddać wolność, a nawet i życie. Widywała przecież Ninę tyle razy, słyszała dzień w dzień

jej głos przez długie miesiące. Cóż jest szczególnego w tej istocie? Czemu się to dzieje, że Dein tak do niej przemawia, że oślepił na wszystko, co nią nie jest, że ogłuchł na wszystko — krom jej głosu?

Zostawiła tłum na wybrzeżu i szła bez celu wśród pustych chat. Walczyła wciąż z popędem, który ciągnął ją nieprzeparcie ku Ninie. Może zdoła zgłębić w jej oczach tajemnicę własnej niedoli? Słońce wznosiło się coraz wyżej, chłonąc cienie i zalewało Taminę potokami blasku i dusznego żaru. Przechodziła z cienia w światło, ze światła w cień, wśród chat, krzewów i wyniosłych drzew, uchodząc nieświadomie przed cierpieniem, skrytem we własnym sercu. W ostatecznej niedoli nie umiała złożyć modlitwy z prośbą o ulgę, nie знаła żadnych niebios, do którychby mogła ślać błagania i wędrowała przed siebie strudzonemi stopami, w niemem zdumieniu i zgrozie wobec niesprawiedliwości mąk, spadłych na nią bez powodu i bez miłosierdzia.

Krótką rozmowa z Reszydem i propozycja Abdulli pokrzepiły ją nieco, zwracając myśli w inną stronę. Niebezpieczeństwo grozi Deिनowi; Dein kryje się przed białymi ludźmi: oto co zdołała zrozumieć ubiegłej nocy. Wszyscy mieli go za umarłego. Lecz Tamina wiedziała, że żyje i wiedziała także, dokąd się schronił. Czego chcą Arabowie od białych ludzi? Czego chcą biali ludzie od Deina? czyżby zamierzali go zabić? Mogłaby im wszystko powiedzieć. — Nie! nie powie im nic! przekradnie się do niego w nocy, sprzeda mu własne jego życie za słowo, za uśmiech — chociażby za skinienie — a potem będzie jego niewolnicą w odległej krainie, zdala od Niny. Ale czyhają różne niebezpieczeństwa. Jednooki Babalaczi widzi wszystko, a żona białego jest czarownicą. Mogą zdradzić tajemnicę. A Nina? Trzeba pójść i zobaczyć.

Zboczyła w pośpiechu ze ścieżki i biegła ku domowi Almayera przez zarośla i gaj palmowy. Znalazła się z tyłu bungalowu, gdzie szeroki rów, pełen wody, sączącej się z rzeki, oddzielał kampong od reszty osady. Gąszcz zarośli krył przed jej wzrokiem rozległy dziedziniec z szopą kuchenną. Wykwitały stamtąd smukłe kolumnienki dymu; dźwięk obcych głosów zdradzał, że „morscy ludzie” z wojennego statku już wylądowali i obozują między rowem a domem. Z lewej strony zbliżyła się do rowu któraś z niewolnic Almayera i schyliła się nad lśniąca wodą, szorując rondel. Naprawo szczyty drzew w bananowym lasku, chwiały się i wstrząsały pod dotknięciem niewidzialnych rąk, zrywających owoce. Na cichej wodzie rowu tkwiło kilka czółen, uwiązanych do tęgiego pala, tworząc rodzaj mostu tuż przed Tamina. Gwar na dziedzińcu rozsypywał się niekiedy w grad okrzyków, śmiechów i nawoływań, potem ucichał stopniowo, aby po chwili znów wrzawą wybuchnąć. Wątlły, niebieski dym gęstniał, czerniejąc, rozwłóczył się wonnemi smugami po zatoce i owijał Tamina duszną oponą; potem, gdy ogień wgryzł się już w świeże polana, dym znikał w jasnym blasku słońca i tylko aromat pachnącego drzewa niósł się z powiewem od trzaskających ognisk.

Umieściła tacę na pniu i stała z oczyma zwróconemi w stronę domu, którego dach i część białej ściany widać było między krzewami. Niewolnica skończyła swoją pracę, spojrzała z ciekawością w stronę Taminy i zapuściła się znów w gęstwą krzaków, ku dziedzińcowi. Samotność ogarnęła Tamina. Rzuciła się na ziemię i skryła twarz w rękach. Będąc już tak blisko, poczuła, że nie ma odwagi spojrzeć na Ninę. Za każdym razem, gdy rozlegały się krzyki, drżała w obawie, że usłyszy jej głos. Postanowiła czekać aż się

ściemni i udać się wprost do kryjówki Deina. Z miejsca, gdzie leżała, mogła śledzić poruszenia i białych, i Niny — wszystkich przyjaciół Deina i wszystkich jego wrogów. Nie nawidziła jednak i jednych i drugich, gdyż i jedni i drudzy chcieli jej go zabrać. Przytuliła się w bujnej trawie, oczekując zachodu słońca, które przeciągało w nieskończoność swoją wędrówkę po niebie.

Z drugiej strony rowu, za krzakami, majtkowie z fregaty, zaproszeni gościnnie przez Almayera, rozłożyli się obozem naokoło jasnych ognisk. Almayer, pod wpływem zakłęk Niny, otrząsnął się wreszcie z apatji i znalazł się w porę na wybrzeżu, aby powitać oficerów. Dowodzący porucznik przyjął zaproszenie Almayera i zauważył, że tak czy owak mają do niego interes — może nawet niebardzo przyjemny — dodał. Almayer ledwie go słyszał. Machinalnie podał rękę gościom i szedł naprzód, ku domowi. Niejasno zdawał sobie sprawę z uprzejmych słów, któremi witał nieznanomych, choć powtarzał je pokilkakroć, wysilając się na swobodę. Zmieszanie jego nie uszło uwagi oficerów; starszy szepnął drugiemu na ucho, iż trzeźwość Almayera pozostawia wiele do życzenia. Młody podporucznik roześmiał się i wyraził nadzieję, że mimo to biały człowiek da im chyba coś do wypicia. „Ten nie wygląda niebezpiecznie“ — dodał, gdy wstępowali powoli za Almayerem na schody werandy.

— Wcale nie, wygląda prędzej na głupca niż na łotra; słyszałem o nim — odparł starszy.

Usiedli naokoło stołu. Almayer przyrządził trzęsąciami się rękoma „cocktails“ z dzynu, poczęstował gości i pił razem z nimi, czując, jak z każdym łykiem wstępuje w niego siła, spokój i zdolność do pokonania wszelkich trudności. Nie wiedział, co się stało z brygiem i nie podejrzewał pra-

wdziwego celu wizyty oficerów. Miał niejasne wrażenie, że władze holenderskie przewąchały coś nie coś o handlu prochem, ale nie obawiał się niczego poza jakimś chwilowym kłopotem. Wychylił szklankę i jał swobodnie gawędzić, rozparty wygodnie w fotelu, z nogą przerzuconą przez poręcz. Porucznik siedział okrakiem na krześle, gryzł żarzące się cygaro i z przebiegłym uśmiechem przysłuchiwał się Almayerowi z za gęstych kłębow dymu, wymykających się przez zaciśnięte jego wargi. Młody podporucznik oparł łokcie o stół, głowę ujął w dłonie i spoglądał sennie, odurzony zmęczeniem i dżynem. Almayer wciąż mówił.

— Wielka to przyjemność widzieć tu u nas białe twarze. Przez długie lata żyłem w zupełnej samotności. Pano wie rozumiecie: Malaje — cóż to za towarzystwo dla białego człowieka! A przytem — oni nie są dla nas przyjaźnie usposobieni. Wcale nas nie rozumieją. To skończone łotry. Zdaje mi się, że jestem jedynym białym, który zamieszkuje na stałe wschodnie wybrzeże. Mamy tu czasami gości z Makassaru, czy Singapuru — kupców, agentów, badaczy — ale rzadko. Rok temu, a może i więcej, bawił tu pewien uczony. Mieszkał u mnie i pił od rana do nocy. Żył sobie wesoło przez kilka miesięcy, a kiedy zbrakło wreszcie trunków, które przywiózł ze sobą, wrócił do Batawji ze sprawozdaniem o mineralnych bogactwach w głębi wyspy. Ha, ha, ha! dobre, co?

Urwał nagle i powiódł po gościach bezmyślnym wzrokiem. Oficerowie śmieli się, a on powtarzał sobie wciąż to samo: „Dein nie żyje. Na nic wszystkie moje plany. Przepadła ostatnia nadzieja — wszystko przepadło“. Zamarło w nim serce. Uczuł się zmożony jak gdyby śmiertelną chorobą.

— To doskonale! znakomite! — wykrzykiwali obaj oficerowie.

Almayer otrząsnął się z przygnębienia w nowym przypływie gadatliwości.

— No, a co będzie z obiadem? Panowie macie z sobą kucharza! to doskonale. Jest tam szopa kuchenna w podwórzu. Mogę panom ofiarować gęś. Proszę popatrzeć na moje gęsi — jedyne gęsi na całym wybrzeżu, może i na całej wyspie. To jest kucharz panów? Bardzo dobrze. Słuchaj Ali, zaprowadź tego Chińczyka do kuchni i powiedz Mem Almayer, żeby pozwoliła mu się rozgościć. Moja żona, proszę panów, nigdy się nie pokazuje; co innego moja córka. Napijmy się jeszcze tymczasem. Gorący dzień dzisiaj.

Porucznik wyjął z ust cygaro, obejrzał je uważnie, strzepnął popiół i zwrócił się do Almayera:

— Mamydo pana niezbyt przyjemny interes—oświadczył.

— Bardzo mi przykro — odrzekł Almayer. — Ale to chyba nic ważnego?

— Pan uważa, że zamach na czterdziestu ludzi nie jest czemś ważnym? Niewiele osób zgodzi się z pańskim zdaniem — odparł ostro oficer.

— Jaki zamach? co takiego? nic nie wiem! — zawołał Almayer. — Któż to zrobił, czy też chciał to zrobić?

— Człowiek, z którym łączą pana różne konszachty— odparł porucznik. — Przebywał tutaj pod mianem Deina Maruli. Pan dostarczył mu prochu, który znaleźliśmy na brygu, opanowanym przez nas.

— Skąd pan słyszał o brygu? — spytał Almayer. — Nie wiem nic o żadnym prochu.

— Kupiec arabski z waszej osady doniósł o pańskich sprawkach do Batawji parę miesięcy temu — odrzekł oficer. — Czatowaliśmy na bryg przy ujściu rzeki, ale prześliznął się obok nas i musieliśmy ścigać tego łotra ku południowi. Dostrzegł nas, puścił się między skały i wpędził statek

na brzeg. Załoga umknęła, nim zdołaliśmy się zbliżyć, a kiedy łódzie nasze podjechały do brygu, wyleciał z przeraźliwym hukiem w powietrze i zatopił najbliższe czółno. Dwóch ludzi utonęło — oto skutek pańskich matactw, panie Almayer. Chcemy teraz dostać w ręce tego Deina. Mamy wszelkie powody do przypuszczenia, że kryje się w Sambirze. Czy panu wiadomo, gdzie on jest? Jeśli pan wyzna wszystko otwarcie, to władze dadzą się jakoś udobruchać. Gdzie jest ten Dein?

Almayer powstał i zbliżył się do balustrady. Zdawał się nie myśleć wcale o zapytaniu oficera. Spoglądał na wyciągnięte, sztywne ciało pod białą oponą, nad którą spływał nikły blask czerwieni od słońca, kłoniącego się wśród chmur ku zachodowi. Porucznik czekał na odpowiedź i zaciągał się raz po raz, usiłując rozpalic nawpół wygasłe cygaro. W głębi werandy Ali krzątał się cicho przy nakrywaniu stołu; ustawił lichy i obtluczony serwis, rozmieścił cynowe łyżki, widelce o wyłamanych zębach i noże z oblużowanymi rączkami, o ostrzach szczerbatych nakształt piły. Zapomniał już niemal, jak się nakrywa stół dla białych ludzi. Bardzo był zmartwiony, bo Mem Nina nie chciała mu pomóc. Odstąpił wreszcie od stołu i spojrzał na swoje dzieło z podziwem i wielką dumą. Tak jest chyba dobrze, a jeżeli pan będzie się potem gniewał i wymyślał — tem gorzej dla Mem Niny. Dlaczego nie chciała mu pomóc? I wysunął się z werandy, aby przynieść obiad.

— No, panie Almayer, czy pan odpowie mi tak szczerze, jak ja pana pytam? — odezwał się wreszcie porucznik po długim milczeniu.

Almayer odwrócił się i spojrzał na niego ze spokojem. „Jeśli pan dostanie do rąk tego Deina, co pan z nim zrobi?” — zapytał.

Twarz oficera poczerwieniała. „To nie jest odpowiedź”, rzekł zniecierpliwiony.

— A co pan zrobi ze mną? — ciągnął Almayer, nie zważając na przerwę.

— Czy pan ma zamiar się targować? — warknął oficer. — Zapewniam pana, że to zła taktyka. Nie dano mi na razie żadnych wskazówek co do pańskiej osoby; spodziewamy się, że pan nam pomoże ująć tego Malaja.

— Otóż to — przerwał Almayer — nie możecie nic zrobić beze mnie, a że znam dobrze tego człowieka, więc chcecie, abym pomógł go schwytać.

— Tego właśnie od pana oczekujemy — potwierdził oficer. — Złamał pan prawo, panie Almayer, powinien pan dać nam zadosyćuczynienie.

— Aby siebie ocalić?

— No tak, do pewnego stopnia. Pańska głowa nie jest w niebezpieczeństwie — dodał porucznik, zaśmiawszy się krótko.

— Więc dobrze — rzekł stanowczo Almayer — wydam wam tego człowieka.

Obaj oficerowie zerwali się na równe nogi, rozglądając się za odpasaną bronią. Almayer roześmiał się chrapliwie.

— Spokojnie, panowie! — zawołał. — Na wszystko przyjdzie czas. Będziecie go mieli po obiedzie.

— To niemożliwe! — naglił porucznik. — Panie Almayer, tu niema żartów! Ten człowiek jest zbrodniarzem. Zasłużył na stryczek. Będziemy tu spokojnie jedli obiad, a on drapnie przez ten czas. Wiadomość o naszym przyjeździe — —

Almayer podszedł do stołu.

— Daję panom słowo honoru, że nie uciekniesz; trzymam go w bezpiecznym miejscu.

— Trzeba go uwięzić przed zmrokiem — zauważył młodociany podporucznik.

— Będzie pan odpowiadał, jeśli nam się nie uda. Jesteśmy w pogotowiu, ale nie możemy nic zrobić bez pana — dodał starszy, nie tając zniecierpliwienia.

Almayer kiwnął potakująco głową. „Ręczę słowem honoru“, powtórzył. „A teraz siadajmy do stołu“, dodał żywo.

W drzwiach ukazała się Nina. Przystanęła na chwilę, usunąwszy firankę przed Alim i starą Malajką, którzy wnieśli półmiski, poczem zbliżyła się do trzech mężczyzn, stojących obok stołu.

— Niechże panowie pozwolą — rzekł pompatycznie Almayer. — Oto moja córka. Nino, panowie są oficerami z przybyłej dziś fregaty; uczynili mi zaszczyt, przyjmując moje zaproszenie.

Nina skłoniła powoli głowę, odpowiadając na niskie ukłony obu oficerów i siadła przy stole naprzeciw ojca. Nadszedł kucharz z fregaty, niosąc kilka butelek wina.

— Czy pozwoli mi pan postawić to na stole? — spytał porucznik Almayera.

— Jakto! wino? to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Ależ naturalnie! W moim domu wcale niema wina. Ciężkie czasy!

Głos zdrzął mu przy ostatnich słowach. Uświadomił sobie znów z całą jaskrawością, że Dein nie żyje; poczuł, jak gdyby niewidzialna ręka zaciskała mu się wokoło gardła. Goście odkorkowywali wino, a on sięgnął po butelkę dzynu i pociągnął długi łyk. Porucznik, który rozmawiał z Niną, obrzucił go krótkim wejrzeniem. Młodociany podporucznik ochłonął już trochę z podziwu i zmieszania, jakie ogarnęło go na widok niezmiernej piękności Niny. „Bardzo

piękna i imponująca", — rozmyślał — „ale koniec końców to przecież metyska!" Ta myśl sprawiła, że zebrał się na odwagę i spojrzał bokiem na Ninę. Spokój powlekał jej twarz; rozmawiała cichym, równym głosem ze starszym oficerem, który rozpytywał o kraj i o tryb jej życia. Almayer odepchnął talerz i pił wino swych gości w ponurem milczeniu.

ROZDZIAŁ IX

— Czy mogę wierzyć twoim słowom? są one jak bajka dla wojowników, którzy obozują wokół ognisk, napoły tylko czuwając; i widzi mi się, że wybiegły z ust kobiety.

— Kogóż mam wywodzić w pole, o radžo? — odrzekł Babalaczi. — Bez ciebie jestem niczem. Wierzę w prawdę wszystkiego, co ci rzekłem. Długie lata spoczywałem bezpiecznie w zagłębieniu twojej dłoni. Nie czas na żywienie podejrzeń! Niebezpieczeństwo jest bardzo groźne. Radźmy i działajmy natychmiast, nim jeszcze słońce zajdzie.

— Słusznie mówisz — odmrunknął frasobliwie Lakamba.

Siedzieli już od godziny w sali posłuchań radży. Babalaczi, stwierdziwszy przybycie oficerów, przeprowił się zaraz przez rzekę, aby zdać swemu panu sprawę z wypadków i razem z nim wytknąć linię postępowania wobec zmienionych okoliczności. Niespodziewany obrót wydarzeń przeraził i zaskoczył ich obu. Radża siedział w fotelu ze skrzyżowanymi nogami, utkwivszy wzrok w podłodze; Ba-

balaczi przykucnął tuż przy nim w postawie wyrażającej wielkie zważenie.

— I gdzież on się teraz ukrywa? — spytał Lakamba, przerywając ciszę, rojącą się od złowróżbnych przeczuć, które pochłaniały ich obu przez długą chwilę.

— Na polance Bulangiego, — tej, co leży najdalej od jego domu. Popłynęli tam dziś w nocy. Zawiozła go córka białego człowieka; powiedziała mi to otwarcie, bo jest napół biała i nie zna się na obyczajności. Czekwała długo na Deina, podczas gdy był u ciebie. Wynurzył się wreszcie z ciemności i padł wyczerpany do jej stóp. Leżał jak martwy, ale przywróciła mu życie w swych ramionach i tchnęła w niego własne tchnienie. Oto, co mi rzekła prosto w twarz, tak, jak ja mówię do ciebie, radzo. Podobna jest białej kobiecie i nie zna sromu.

Urwał, przejęty niezmiernem zgorszeniem. Lakamba pokiwał głową. „No i co dalej?” spytał.

— Zawołali starą kobietę, — ciągnął Babalaczi — a gdy przyszła, opowiedział o tem, co się stało z brygiem i o swojej zasadzce na białych ludzi. Wiedział dobrze, że Orang Blanda są blisko — choć wcale nam o tem nie wspomniał; — wiedział, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo. Zdawało mu się, że zabił wielu Orang Blanda, ale zginęło ich tylko dwóch; mówili mi to morscy ludzie, którzy przybyli na łodziach wojennych.

— A ten drugi człowiek, którego znaleźli w rzece? — przerwał Lakamba.

— To był jeden z wioślarzy Deina. Gdy się czołno wyróciło, płynęli obok siebie; zdaje się, że tamten człowiek był ranny. Dein podtrzymał go. Dobił do brzegu i zostawił go w krzakach. Kiedy wrócili po niego wszyscy troje, serce niewolnika już bić przestało. Wówczas przemówiła

stara kobieta; Dein wysłuchał jej słów i uznał, że są mądre. Zdjął kółko ze swojej nogi, złamał je i wcisnął na nogę niewolnika. Pierścień swój włożył na jego palec. Zdjął sarong i z pomocą kobiet przyoblekł weń trupa, który przecież odzienia już nie potrzebował; w ten sposób umyślili oszukać wszystkie oczy i zwieść całą osadę, aby każdy mieszkaniec mógł przysiąc, że widział to, czego nie było i aby nikt nie zdradził Deina przed białymi. Potem Dein i biała kobieta popłynęli do Bulangiego i zażądali, aby im wynalazł kryjówkę. Stara pozostała przy zwłokach.

— Hai! — wykrzyknął Lakamba. — Ona jest mądra.

— Tak, ona ma swojego djabła, który szeptem jej rady do ucha — potwierdził Babalaczi. — Z wielkim trudem zaciągnęła ciało aż na miejsce, gdzie dużo pni zebrało się u brzegu. Wszystko to działo się w ciemnościach, po przejściu nawałnicy. Stara czuwała obok trupa. Jak tylko dzień zaczęło, wzięła ciężki kamień, pogruchotała twarz umarłego i pchnęła ciało między kłody. Potem skryła się w pobliżu na czatach. O wschodzie słońca Mahmat Bandzer przyszedł i znalazł zwłoki. Wszyscy uwierzyli, że to Dein, nawet ja zostałem oszukany, ale nie na długo. Biały człowiek uwierzył także i uciekł do domu w rozpacz. Kiedy znaleźliśmy się sami, powiedziałem starej kobiecie, co o tem myślę. Przestraszyła się mego gniewu i twej potęgi i wyznała mi wszystko, prosząc o pomoc w ocaleniu Deina.

— Nie powiniem wpaść w ręce Orang Blanda, — rzekł Lakamba — niech raczej umrze, jeśli da się to gładko zrobić.

— Niepodobna, tuanie! pamiętaj o tej kobiecie, której nie można poskromić, bo jest białą — ona podniosłaby wielki gwałt! A przytem oficerowie są tutaj. Oni już i tak się gniewają. Dein musi ocaleć; musi stąd uciec. A my dopomozemy mu ze względu na własne bezpieczeństwo.

— Czy oficerowie są bardzo rozgniewani? — spytał z zajęciem Lakamba.

— Bardzo. Wódz ich mówił do mnie gwałtowne słowa— do mnie, który złożyłem mu pokłon w twojem imieniu. Zdaje mi się — dodał po chwili zgnębiony Babalaczi — że nie widziałem nigdy białego wodza w tak wielkim gniewie! Powiedział, że jesteśmy gorzej niż opieszali i że chce pomówić z radzą, bo ja nic nie znaczę.

— Pomówić z radzą! — powtórzył Lakamba w zamyśleniu. — Słuchaj mnie, Babalaczi: jestem chory i muszę się położyć; przepraw się i powiedz to białym ludziom.

— Dobrze, — rzekł Babalaczi — zaraz jadę; a co będzie z Deinem?

— Wypraw go w jakikolwiek sposób. Wielka to zgryzota dla mojego serca — westchnął Lakamba.

Babalaczi powstał, zbliżył się do władcy i jął mówić z powagą:

— Jeden z naszych korabi znajduje się teraz na południe od ujścia Pantai. Holenderski okręt stoi na czatach bardziej na północ, przy głównym wjeździe do rzeki. Tajnemii przesmykami wyprawię jutro Deina na pokład korabia. Ojciec jego jest wielkim władcą; niech pozna naszą wspaniałomyślność. Korab zawiezie Deina do Ampanamu. Wielką będzie twoja chwała, o radzo, a nagrodą stanie ci się potężny sojusz. Almayer wyda oficerom ciało niewolnika, jako zwłoki Deina, a głupi biali ludzie powiedzą: „Wszystko już dobrze; niech teraz zapanuje pokój“. I zgryzota opuści twoje serce, o radzo!

— Prawda. Prawda! — rzekł Lakamba.

— A jako że się to stanie za moją sprawą, który jestem twoim niewolnikiem, nagrodzisz mnie szczodłą dłońią. Wiem o tem! Białły człowiek martwi się, że skarb prze-

padł, bo spragniony jest dolarów, jak wszyscy biali ludzie. Teraz, kiedy wszystko na dobrej drodze, może się nam uda wydobyć skarb od białego człowieka. Dein musi ujść, a Al-mayer musi pozostać przy życiu.

— Jedź już, Babalaczi, jedź! — rzekł Lakamba, powstając z fotelu. — Bardzo jestem chory i muszę zażyć lekarstwo. Powiedz to białemu wodzowi.

Ale Babalaczi nie dał się tak łatwo odprawić. Wiedział, że jego pan — na wzór wszystkich wielkich ludzi — lubi zsuwać brzemień trudu i niebezpieczeństw na barki wiernego sługi, ale uważał, że wobec ciężkich opałów, w których się znaleźli, musi i radza odegrać swoją rolę. Wolno mu udawać ciężko chorego przed białymi, a choćby i przed całym światem, jeśli mu się spodoba, ale musi wziąć udział w wykonaniu planu, który Babalaczi starannie obmyślił. Wierny sługa zażądał, aby wysłano o zmierzchu wielką łódź z dwunastu zbrojnymi ludźmi do polanki Bulangiego. Nie jest wykluczone, że trzeba będzie wziąć Deina siłą. Zakochany mężczyzna niezawsze widzi jasno ścieżkę bezpieczeństwa, zwłaszcza, jeżeli ta odwodzi go od przedmiotu jego uczuć — rozumował Babalaczi — a w takim razie trzeba będzie użyć przemocy. Czy radza zechce dopilnować, aby obsadzono łódź zaufanymi ludźmi? Trzeba wykonać wszystko w ścisłej tajemnicy. Możeby radza zgodził się wziąć osobiście udział w wyprawie i wpłynąć na Deina mocą swego dostojenstwa, wranie, gdyby okazał się upartym i nie chciał opuścić kryjówki? Radza nie zobowiązał się jednak do niczego i z niepokojem naglił Babalacziego do wyjazdu, lękając się, że biali przybędą znienacka w odwiedzinny. Wreszcie pożegnali się i Babalaczi wyszedł na podwórze.

Przed zejściem do przystani zatrzymał się chwilę na rozległym dziedzińcu. Gęste listowie drzew rzucało czarne

plamy cienia, które zdawały się pływać po gładkiej powierzchni jaskrawego światła, co rozlewało się w górę ku domom, i wdół ku częstokołowi i hen po szerokiej rzece, łamiąc się i skrząc w tysiącach drobnych, połyskliwych fal, — niczem szlak z lazuru i złota, ujęty w jaskrawą zieleń lasów, strzegących obu brzegów Pantai. W głuchej ciszy, przed spłynięciem wieczornego powiewu, fantastyczne karby liściastych szczytów zastygły w spokoju, niby zygzak, nakreślony niepewną ręką na błękitnie rozpalonego nieba. W przestrzeni, zamkniętej częstokołem, wałęsał się zapach wędnących kwiatów z pobliskiego lasu i załatywała woń suszących się ryb. Niekiedy kłęb cierpkiego dymu z kuchennego ogniska przypląwał z pod liściastych konarów i pełzał leniwie, czepiając się spiekłej trawy.

Gdy Babalaczi spojrział na żerdź z chorągwią, sterującą nad kępą niskich drzew w środku dziedzińca, trójbarwna flaga Niderlandów drgnęła pierwszy raz od chwili, gdy wywieszono ją tego ranka na powitanie wojennych łodzi. Z nikłym szelestem liści powiew opuścił się w lekkich podmuchach, igrając kapryśnie z godłem potęgi Lakamby, które było zarazem i piętnem jego niewoli. Ostry podryw wiatru wionął nagle chłodem i rozpostarta flaga powiała spokojnie nad drzewami. Mroczny cień potoczył się wzdłuż rzeki, gasząc na falach skry zachodzącego słońca. Wielka, biała chmura żeglowała zwolna po ciemniejącem niebie i zawisła na zachodzie, niby czekając na połączenie się ze słońcem. I ludzie, i rzeczy — wszystko strząsnęło odrętwiałość sennego popołudnia i zbudziło się do życia z pierwszym tchnieniem morskiego powiewu.

Babalaczi zbiegł śpiesznie ku wrotom, wiodącym do rzeki. Obejrzał się i raz jeszcze ogarnął wzrokiem słoneczny dziedziniec, usiany plamami cienia, rozpalone ogniska

trzaskające wesoło, i gromadki żołnierzy, i domowników Lakamby. Spojrzał także na swój dom, stojący wśród innych budynków, opasanych częstokołem i zadał sobie pytanie, kiedy i jak danem mu będzie wrócić do rodzinnego ogniska. Miał do czynienia z mężem niebezpieczniejszym niż dzikie zwierzę, dumnym, samowolnym jak władca, zakochanym. Do tego człowieka miał przemówić słowami chłodnej, ziemskiej mądrości. Czy jest coś bardziej przerażającego? Co się stanie, jeśli Dein увидzi sobie jakąś urojoną zniewagę, czy lekceważenie swych uczuć i da się porwać gniewowi? Ofiarą padnie przede wszystkim mądry doradca i śmierć stanie się jego nagrodą. Okropność położenia pogorszało jeszcze niebezpieczeństwo grożące ze strony tych natrętnych głupców, białych ludzi. Przed oczami Babalacziego zamajaczyła wizja smutnego wygnania w dalekiej Madurze. To byłoby gorsze od samej śmierci! A tu jeszcze wchodzi w grę ta nawpół biała kobieta o groźnych oczach. Jakże przewidzieć, do czego jest zdolna taka niezrozumiała istota? Wie o wszystkim i dlatego właśnie niepodobna zabić Deina. Niema co do tego wątpliwości. A jednak kąśliwe ostrze krissa dobrym i wiernym jest druhem, — pomyślał Babalaczi. Obejrzał miłośnie swoją broń i wsunął ją zpowrotem do pochwy z głębokim westchnieniem żalu. Odwiązawszy łódkę, odsadził się od brzegu i ujął wiosło, czując niezbitcie, jak dalece niepożądanem jest mieszanie się kobiet do spraw państwowych. Młodych kobiet, oczywiście. Dla dojrzałej wiedzy pani Almayer, dla biegłości w intrygach, której niewiasty nabywają z wiekiem, Babalaczi czuł tylko najgłębszy szacunek.

Wiosłował od niechcienia, a woda znosiła czółno, zmierzające ku przylądkowi. Słońce tkwiło jeszcze wysoko i pośpiech był zbyteczny. Do dzieła swojego będzie mógł przy-

stąpić dopiero z nastaniem mroku. Minął przystań Lingarda, objechał przylądek i skierował łódź do zatoczki za domem Almayera. Tkwiło tu już kilka czółen, skupionych dziobami u jednego pala. Babalaczi wepchnął swoją łupinkę między łódki i wysiadł na brzeg. Z drugiej strony zatoki coś poruszyło się w trawie.

— Kto się tam kryje? — zawołał Babalaczi. — Wyjdź i pokaż się!

Nikt nie odpowiedział. Babalaczi przeszedł na drugą stronę zatoki po zsuniętych czółnach i uderzył gwałtownie laską w podejrzaną miejscę. Z krzykiem wyskoczyła stamtąd Tamina.

— Cóż ty tu robisz? — spytał zdziwiony. — O mało co nie nastąpiłem na twoją tacę. Czy jestem Dajakiem, że kryjesz się na mój widok?

— Zmęczona byłam i — spałam — wyszeptala zawstydzona Tamina.

— Spałeś! Twoje placki niesprzedane i zbiją cię, jak wrócisz do domu — rzekł Babalaczi.

Tamina stała przed nim zmieszana i milcząca; Babalaczi oglądał ją starannie z wielkiem zadowoleniem. Postąpił za nią stanowczo pięćdziesiąt dolarów temu złodziejowi Bu-langiemu. Dziewczyna podobała mu się.

— A teraz idź do domu, późno już — rzekł ostro. — Powiedz mu to jeszcze przed zachodem, a nie zapomni nim pół nocy upłynie i że ma przygotować wszystko do długiej podróży. Rozumiesz? do długiej podróży na południe. Powiedz mu to jeszcze przed zachodem, a nie zapomnij o moich słowach!

Tamina kiwnęła głową na znak zgody i patrzyła za Babalaczim, który przelazł zpowrotem na drugą stronę zatoczki i znikł w gąszczu krzewów, opasujących osiedle Al-

mayera. Wówczas odeszła nieco dalej od brzegu, osunęła się znowu w trawę i przypadła twarzą do ziemi, dygocąc w męce bez jednego słowa, bez jednej łyzy.

Babalaczi szedł prosto ku szopie i rozglądał się za panią Almayer. Na dziedzińcu panował gwałt i hałas. Jakiś obcy Chińczyk objął w posiadanie kuchenne ognisko i domagał się wrzaskliwie drugiego rondla. Darł się wniebogłoty, wymyślając w kantonjskim djalekcie, to znów w łamanej malajszczyźnie, a niewolnice, zbite opodal w gromadkę, słuchały go zaleknione i zarazem rozśmieszona jego gwałtownością. Od strony ognisk, roznieconych przez marynarzy, dochodziły zachęcające okrzyki wraz ze śmiechem i żartami. Wśród tego hałasu i zamieszania Babalaczi spotkał Alego, który niósł próżny półmisek.

— Gdzie są biali? — spytał Babalaczi.

— Jedzą obiad na werandzie — odrzekł Ali. — Nie zatrzymuj mnie, tuanie. Noszę pożywienie dla białych ludzi i jestem bardzo zajęty.

— Gdzie jest Mem Almayer?

— W korytarzu. Słucha ich rozmowy.

Ali wyszczerzył zęby w uśmiechu i poszedł dalej. Babalaczi wspiał się po kładce na ganek, wywołał panią Almayer i zapuścił się z nią w poważną rozmowę. Przez długi korytarz, zamknięty z drugiego końca czerwoną zasłoną, dołatywał głos Almayera, górujący nad innymi gwałtownym, podniesionym tonem. Pani Almayer spojrzała znacząco na Babalaczego.

— Słyszysz? — szepnęła. — On dużo wypił.

— O tak, — potwierdził Babalaczi. — Będzie mocno spał dziś w nocy.

Pani Almayer potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Czasem szatan dzynu zsyła na niego bezsenność. Chodzi wtedy przez całą noc po werandzie i klnie, a my trzymamy się zdaleka — objaśniała, czerpiąc swą wiedzę z doświadczenia, nabytego przez dwadzieścia kilka lat małżeńskiego pożycia.

— Ale wtedy nic nie słyszy, ani nie rozumie i ramię jego nie ma żadnej siły. Nie trzeba, aby słyszał cokolwiek dziś w nocy.

— Nie trzeba! — powtórzyła pani Almayer energicznym, choć zciszonym tonem. — Jeśli usłyszysz, gotów nas zabić.

Babalaczi spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Hai! możesz mi wierzyć, tuanie! Czy nie przeżyłam długich lat z tym człowiekiem? Czy nie widziałam wielokroć śmierci w jego oczach czasu mej młodości, kiedy domyślał się wielu rzeczy? Gdyby był mężem z mego plemienia, nie spotkałabym się dwa razy z takim wzrokiem, ale on — —

Lekceważący ruch napiętnował niewymowną pogardą małoduszny wstręt Almayera do przelewu krwi.

— Jeśli mu brak siły, aby wykonać to, czego pragnie, to czego się lękać? — spytał Babalaczi po krótkiej pauzie, wczynie której nasłuchiwali hałaśliwej gadaniny Almayera, póki głos jego nie zlał się z gwarem ogólnej rozmowy. — Czego mamy się lękać? — powtórzył Babalaczi.

— Aby zatrzymać córkę, którą kocha, gotów przebić twoje i moje serce bez wahania. Kiedy dziewczyny nie staną, rozpęta się, jak djabeł wcielony. Musimy się wtedy strzec oboje, ty i ja.

— Stary jestem i nie lękam się śmierci — odrzekł kłamliwie Babalaczi, udając obojętność. — Ale co się stanie z tobą?

— A ja jestem stara i pragnę żyć — odparła pani Almayera. — Ona jest także i moją córką. Poszukam schronienia u stóp naszego radcy, przemówię w imieniu przeszłości, kiedy byliśmy młodzi oboje, kiedy — —

Babalaczi podniósł rękę.

— Dosyć. Znajdziesz u nas schronienie — rzekł uspokajająco.

Znowu rozległ się głos Almayera i znów przycichli, nasłuchując. Bezładna gadanina wzmagąca się chwilami aż do głośnych wybuchów, po których zapadało nagle milczenie. Słowa i zdania, powtarzane wielokrotnie, wyrwały się z płataniny gorączkowych okrzyków; towarzyszyło im walenie pięści o stół. Wczasy krótkich chwil ciszy drgające od uderzeń szklanki dźwięczały żałośliwą skargą; fale cienkich wibracji zamierały stopniowo, gdy nagle hałaśliwy brzęk znów wybuchał: to nowa jakaś myśl Almayera tryskała potokiem słów, sprowadzając uderzenie ciężkiej pięści. Wreszcie swarliwe krzyki ustały i żałośliwy brzęk szkła rozplynał się w ciszy.

Babalaczi i pani Almayer nasłuchiwali z ciekawością, przechyleni w stronę korytarza. Po każdym głośniejszym wybuchu kiwali głowami ze śmieszłą przesadą, udając zgorzsenie i trwali w pozie urażonej przyzwoitości nawet, gdy hałas już ustał.

— To wszystko za sprawą szatana dzynu — szepnęła pani Almayera. — Słyszysz? on mówi tak czasem do siebie, nawet gdy niema przy nim nikogo.

— O czym rozmawiają? — pytał skwapliwie Babalaczi. — Ty powinnaś rozumieć.

— Zapomniałem już ich mowy; niewiele z tego zrozumiałam. Mówi bez żadnego szacunku o białym władcy w Ba-

tawji, o opiece rządu i o tem, że został skrzywdzony; powtórzył to nawet kilka razy. Posłuchaj! znowu zaczyna.

— Tse! tse! tse! — cmokał Babalaczi, wysilając się na zgorszenie, choć jego samotne oko rzucało radosne błyski. — Teraz nastąpi wielki zamęt wśród białych ludzi. Zайдę od tamtej strony i zobaczę, co się dzieje. Zawiadom swoją córkę, że czeka ją nagła i długa podróż, która doprowadzi ją do wspaniałości i chwały. I powiedz, że Dein musi odjechać, albo umrzeć — i że nie zechce odjechać sam jeden.

— Nie, nie zechce odjechać sam jeden — powtórzyła w zadumie pani Almayer i gdy Babalaczi znikł za węglem, wśliznęła się z powrotem na korytarz.

Wiedziony gwałtowną ciekawością, sambirski statysta obiegł w mig naokoło domu i jał wspinać się ostrożnie na schody werandy, stopień za stopniem. Usiadł spokojnie u samej góry i spuścił nogi, gotów do ucieczki w razie, gdyby jego obecność okazała się niepożądana. W tej pozycji czuł się mniej więcej bezpieczny. Stół był ku niemu końcem zwrócony; widział tylko plecy Almayera, a Ninie spoglądał prosto w twarz. Obaj oficerowie siedzieli do niego bokiem. Tylko Nina i młodszy oficer zauważyli ciche zjawienie się Babalacziego. Na jego widok drgnęły powieki Niny; zaga-dała natychmiast do porucznika, a ten zwrócił się do niej z uprzejmym pośpiechem. Rozmawiając wciąż spokojnie, nie spuszczała wzroku z twarzy ojca, który rozprawiał hałaśliwie.

— niesumiennosc i nielojalność; a cóżescie takiego uczynili, że wymagacie ode mnie lojalności? Nie macie żadnej władzy nad tym krajem. Musiałem sam sobie radzić, a kiedy prosiłem o opiekę, odpowiedziano groźbami i wzgardą, rzucając mi w twarz arabskie oszczerstwa! Mnie! człowiekowi białemu!

— Proszę się uspokoić, panie Almayer, — przekładał porucznik — wszystko to już słyszałem.

— Więc dlaczego gada mi pan o niesumienności? Potrzebowałem pieniędzy i dawałem wzamian proch. Skądże mogłem wiedzieć, że ci nieszczęśnicy wylecą w powietrze? Phy! sumienność!

Sięgnął niepewnym ruchem do butelek i brał w rękę jedną po drugiej, mamrocząc coś pod nosem. — Niema już wina! — mruknął niezadowolony.

— Dosyć pan wypił — rzekł porucznik, zapalając cygaro. — Czy nie czas wydać nam pańskiego więźnia? Myślę, że pan trzyma tego Deina Marulę w jakiejś bezpiecznej dziurze, ale trzeba już raz z tem skończyć; potem dostaniemy jeszcze coś do wypicia. No, no! Cóż pan tak na mnie patrzy?

Almayer wlepił w oficera tępy wzrok i jął wodzić rękoma koło szyi.

— Złoto—wymówił z trudnością i usiłował odchrząknąć. — Coś trzyma mnie za gardło — o tutaj — — pan wybaczy. — Co ja chciałem powiedzieć... Trochę złota za odrobinę prochu. Cóż w tem złego?

— Wiem, wiem! — rzekł porucznik, uspokajając go.

— Nie! pan nie wie. Żaden z was nie wie! — krzyknął Almayer. — Mówię wam, że rząd jest głupi. Góry złota! Ja jeden wiem o tem! ja i jeszcze ktoś inny. Ale on nie powie. On — —

Urwał z niewyraźnym uśmiechem i, usiłując poklepać oficera po ramieniu, przewrócił parę pustych butelek.

— Setny z pana chłop — rzekł bardzo wyraźnie protekcyjnym tonem i pokiwał sennie głową, mrużąc coś pod nosem.

Oficerowie spojrzeli na siebie bezradnie.

— Jakoś nie idzie — rzekł porucznik do młodszego oficera. — Zbierz pan ludzi na dziedzińcu. Muszę wydobyć z niego choć jedno rozsądne słowo. Nuże, panie Almayer! proszę się zbudzić. Niechże pan dotrzyma przyrzeczenia! Pan przecież dał słowo. Pan dał słowo honoru! Czy pan pamięta?

Almayer wyrwał się niecierpliwie oficerowi. Nagle opuścił go zły humor; spojrział w górę, przykładając palec do nosa.

— Pan jest jeszcze bardzo młody; przyjdzie czas na wszystko — rzekł z wielce mądrą miną.

Porucznik zwrócił się do Niny, która oparła się plecami o poręcz krzesła i czuwała spokojnie nad ojcem.

— Cała ta historia bardzo mi jest przykra ze względu na panią. Nie wiem — ciągnął dalej z pewnem zakłopotaniem, — czy mam prawo prosić panią o cokolwiek — wyjąwszy chyba o jedno: aby pani nie była obecną przy tem przykrem zajściu — ale mimo to muszę nadmienić — — — dla dobra ojca pani — że pani powinna właściwie — — to znaczy się, — uważam, że jeśli pani ma jaki wpływ na ojca, powinna go pani teraz użyć, aby dotrzymał przyrzeczenia, danego mi zanim — zanim popadł w ten stan.

Zauważył ze zniechęceniem, że nie zwróciła żadnej uwagi na jego słowa i siedziała wciąż ze spuszczonei powiekami.

— Ufam — rozpoczął znowu —

— O jakim przyrzeczeniu pan mówi? — spytała nagle Nina i powstawszy, zbliżyła się do ojca.

— Nie żądam niczego, coby nie było sprawiedliwe i słuszne. Ojciec pani obiecał wydać człowieka, który w czasie pokoju targnął się na życie niewinnych ludzi; chciał ująć karze, grożącej mu za złamanie prawa. Obmyślił swój za-

mach na wielką skalę. Jeśli doznał częściowego niepowodzenia, nie jego w tem wina. Słyszała pani naturalnie o Deinie Maruli. Uciekł teraz w górę rzeki. Wiem, że ojciec pani mu pomagał. Może pani —

— Zabił białych ludzi! — przerwała Nina.

— Przykro mi wyznać, że to byli rzeczywiście biali. Tak, dwóch białych postradało życie przez kaprys tego łotra.

— Tylko dwóch! — wykrzyknęła Nina.

Oficer spojrział na nią w zdumieniu.

— Jakto! jakto, pani — — zająknął się zmieszany.

— Mogło ich być więcej — przerwała Nina. — A jeśli dostaniecie do rąk tego — tego łotra, wówczas oddalicie się stąd?

Porucznik, wciąż jeszcze oniemiały, skinął potakująco głową.

— A więc wy dostałabym go dla was z głębi gorejącego stosu! — wybuchnęła z siłą. — Nienawidzę widoku waszych białych twarzy. Nienawidzę dźwięku waszych łagodnych głosów. Oto jak zwracacie się do kobiet, szepcząc czułe słowa każdej ładnej dziewczynie! Miałam kiedyś sposobność słuchać waszych głosów — znam je dobrze. Cieszyłam się nadzieją, że nie zobaczę już nigdy żadnej białej twarzy—prócz tej jednej—dodała łagodniej, dotykając lekko policzka ojca.

Almayer przestał mamrotać; otworzył oczy i przytrzymał dłoń córki, tuląc do niej twarz. Nina gładziła siwe, portargane włosy ojca i spoglądała wyzywająco na oficera, który odzyskał już równowagę i odwzajemnił jej wzrok chłodnym, spokojnym wejrzeniem. Przed werandą słychać było miarowy tupot; to marynarze zbierali się stosownie do rozkazu. Podporucznik wszedł po schodach, a Babalaczi powstał niespokojnie i, trzymając palec na ustach, starał się zwrócić na siebie uwagę Niny.

— Dobra z ciebie dziewczyna — szepnął z roztargnieniem Almayer i puścił rękę córki.

— Ojczy, ojczy! — krzyknęła, pochylając się nad nim z namiętną prośbą w głosie, — spójrz na tych dwóch ludzi, którzy na nas patrzą. Wypraw ich stąd! Dłużej tego nie zniosę. Wypraw ich! Zrób to, czego chcą, — i niech sobie pójda!

Wzrok jej padł na Babalacziego; zamilkła nagle, lecz uderzała szybko nogą o podłogę w przystępie gorączkowego rozdrażnienia. Oficerowie stali obok siebie, przyglądając się jej ciekawie.

— Co jej się stało? co to znaczy? — spytał młodszy.

— Nie wiem — odpowiedział drugi. — Córka jest wściekła, a ojciec urżnięty. Ale jednak niezupełnie urżnięty. To ciekawe! Popatrzno pan!

Almayer powstał z miejsca, przytrzymując się ramienia córki. Zawahał się chwilę, potem puścił swoją podporę i zatoczył się aż do połowy werandy. Zebrawszy siły, stał wyprostowany, ciężko dysząc i rozglądając się gniewnie.

— Czy ludzie gotowi? — spytał porucznik.

— Wszystko gotowe, panie poruczniku.

— Proszę nam teraz pokazać drogę, panie Almayer — rzekł porucznik.

Almayer wlepił w niego wzrok, jak gdyby go spostrzegł po raz pierwszy.

— Dwóch ludzi — rzekł niewyraźnie. Zdawało się, że wysiłek, z jakim wymówił te słowa, nadwyreżył jego równowagę; postąpił szybko o krok, aby uniknąć upadku i stał, kiwając się wtył i naprzód. — Dwóch ludzi! — zaczął znów z trudnością. — Dwóch białych w mundurach — ludzi honorowych. To jest — chciałem powiedzieć — ludzi honoru. Czy pan jest człowiekiem honoru?

— No, no, dosyć już tego! — rzekł niecierpliwie oficer. — Proszę nam wydać tego pańskiego przyjaciela.

— Za kogo mnie pan ma? — rzucił z wściekłością Almayer.

— Za pijanego — ale nie tak dalece, aby pan nie wiedział, co pan robi. Dość tych błazeństw — rzekł oficer z powagą — bo skażę pana na areszt domowy.

— Areszt! — rozległ się zgrzytliwy śmiech Almayera. — Ha, ha, ha! Areszt! Przez dwadzieścia lat usiłowałem wydostać się z tej piekielnej dziury i nie mogłem! Słyszysz, człowieku! Nie mogłem! i nigdy już się stąd nie wydostanę! nigdy!

Szloch go chwycił przy ostatnim słowie. Zszedł niepewnie ze schodów; gdy znaleźli się na dziedzińcu, porucznik zbliżył się i wziął go pod ramię. Podporucznik i Babalaczy szli tuż za nimi.

— Czy tak nie lepiej, panie Almayer? — rzekł zachęcająco oficer. — Ale dokądże pan prowadzi? Tu są tylko deski. Panie Almayer, dodał, trącając go zlekka — czy łodzie będą potrzebne?

— Nie! — odrzekł porywczo Almayer. — Potrzebny będzie grób.

— Co takiego? znów pan bredzi! Niechże się pan postara mówić dorzeczy.

— Grób! — wrzeszczał Almayer, usiłując się wyrwać oficerowi. — Dziura w ziemi. Czy pan nie rozumie? To pan jest pijany. Proszę mnie puścić. Puścić mnie, mówię!

Wyrwał się i zatoczył aż ku deskom, na których spoczywały zwłoki pod białym przykryciem; nagle odwrócił się i stanął nawprost półkola zaciekawionych twarzy. Słońce zniżało się szybko, kładąc na dziedziniec długie cienie drzew i domu, lecz blask pozostał jeszcze na rzece, kędy mknęły

z prądem kłody, znacząc się czarno i wyraźnie i w bladej czerwieni zachodu. Pnie drzew na wschodniem wybrzeżu tonęły już w mroku, a wierzchołki chwiały się lekko w gasnącej poświacie. Powietrze czyniło się ciężkie i chłodne; od rzeki szedł powiew i rozpraszał się w lekkich podmuchach.

Almayer usiłował coś powiedzieć, lecz nagle wstrząsnął się i niepewnym ruchem podniósł znów ręce do gardła, jak gdyby chciał wyswobodzić się z uścisku niewidzialnej ręki. Jego krwią nabiegłe oczy błędziły od twarzy do twarzy.

— Czy jesteście tu wszyscy? — rzekł wreszcie. — To niebezpieczny człowiek.

Szarpnął gwałtownie płócienną zasłonę; ciało potoczyło się sztywno i bezradnie do jego stóp.

— Zimny — zupełnie zimny — rzekł Almayer z martwym uśmiechem, wodząc wzrokiem po obecnych. — Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. I nie możecie go nawet powiesić. Jak panowie widzicie — dodał uroczyście — nie ma tu wcale głowy, a z szyi prawie nic nie zostało.

Ostatni promień słońca zagaśł na szczytach drzew; rzeka zapadła nagle w mrok, a wśród wielkiej ciszy rósł szmer płynącej wody i zdawał się przepelniać nieobjęty przestwór szarego cienia, który zstąpił na ziemię.

— Oto Dein — rzekł Almayer do milczącej gromadki, skupionej wkoło niego. — Dotrzymałem słowa. Najpierw jedna nadzieja, potem druga — a to jest ostatnia. Nic już nie zostało. Myślicie, że tu jeden trup tylko? Zapewniam was, że to omyłka. Jestem daleko bardziej martwy od niego. Dlaczego mnie nie wieszacie? — poddał nagle przyjaznym tonem, zwracając się do porucznika. — Ręczę wam — ręczę, że to byłaby ty-tylko czysta for-formalność.

Ostatnie słowa wybełkotał pod nosem i ruszył zygzakami ku domowi. „Precz!” huknął na Alego, który zbliżył

się nieśmiało, chcąc go podtrzymać. Gromadki wylękłych mężczyzn i kobiet śledziły z oddali jego błędne kroki. Wgramolił się na schody, trzymając się poręczy, dotarł do fotelu i zwałił się nań całym ciężarem. Przez chwilę siedział spokojnie, dysząc z wysiłku i gniewu i rozglądał się za Niną. Nagle pogroził pięścią w stronę osady, skąd dochodził głos Babalacziego i kopnął stół, który runął z wielkim łoskotem i brzękiem tłuczonej zastawy. Przez chwilę mrucał coś jeszcze groźnie pod nosem, wreszcie głowa opadła mu na piersi, oczy zamknęły się i zasnął z głębokim westchnieniem.

Tej nocy — pierwszy raz w dziejach Sambiru — kwitnąca ta i spokojna osada ujrzała światła w „Fantazji Almayera”. Były to latarnie z fregaty, zawieszane przez majtków na werandzie, gdzie obaj oficerowie prowadzili śledztwo. Przebieg całej sprawy przedstawił im Babalaczi. Sambirski statysta odzyskał wreszcie należne mu znaczenie. Wyumowny był i przekonywujący, wzywał niebo i ziemię, aby świadczyły o prawdzie jego słów. Mahmata Bandżera i wielu innych Malajów poddano szczegółowemu badaniu, które przeciągnęło się aż do późnego wieczora. Abdulla przysłał gońca, usprawiedliwiając sędziwym wiekiem swoją nieobecność, a zamiast niego stawił się Reszyd. Mahmat musiał pokazać złote kółko i ujrzał z wściekłością i rozpaczą, że oficer chowa je do kieszeni, — jako jeden z dowodów śmierci Deina — aby przesłać je rządowi wraz z oficjalnem sprawozdaniem o wyprawie. Pierścień Babalacziego został również skonfiskowany w tym samym celu, lecz doświadczony mąż stanu zgóry się tego spodziewał. Zniósł stratę z rezygnacją, pragnąc tylko, aby biali ludzie uwierzyli jego słowom. Tego nie był pewien. Jeśli uwierzą choćby tylko na jedną noc, będzie mógł usunąć Deina poza obręb ich władzy i odetchnie

nareszcie w poczuciu bezpieczeństwa. Po skończonem badaniu oddalił się szybko, spoglądając niekiedy przez ramię, aby przekonać się, czy nikt za nim nie idzie, ale nie zobaczył i nie usłyszał nic podejrzanego.

— Dziesiąta — rzekł porucznik i ziewnął, spoglądając na zegarek. — Słyszę już zawczasu przyjemne uwagi, jakimi powita mnie kapitan. Cóż to za podła historia!

— Czy pan myśli, że to wszystko prawda? — spytał młodszy.

— Bo ja wiem! możliwe, że to i prawda. A jeśli nie — to cóż my możemy poradzić? Gdybyśmy mieli tak ze dwańście łodzi, możnaby patrolować zatoki, — a i to nie na wieleby się przydało. Ten pijany warjat ma rację; nie władamy dostatecznie tem wybrzeżem. Robią tu, co chcą. Czy przygotowali nam hamaki?

— Kazałem je zawiesić stewardowi. Co za dziwna para! — rzekł porucznik, wskazując w stronę domu Almayera.

— Hni. Rzeczywiście, ciekawa para. O czem pan z nią mówił? Przez cały czas zajęty byłem głównie ojcem.

— Zaręczam panu, że zachowałem się jaknajgrzeczniej! — zapewniał gorąco oficer.

— To doskonale. Niechże się pan nie gorączkuje. Najwidoczniej ona nie znosi grzeczności. A ja myślałem, że pan był może za czuły. Widzi pan, jesteśmy tu na służbie.

— Ależ naturalnie! Nigdy o tem nie zapominam. Chłodna uprzejmość, nic ponad to.

Roześmieli się obaj, a że nie byli jeszcze śpiący, zaczęli chodzić ramię w ramię po werandzie. Księżyc wychyłał ukradkiem z za drzew, przeobraziwszy nagle rzekę w strumień lśniącego srebra. Las wyłonił się z czarnej próżni i stanął w posępnej zadumie nad roziskrzoną wodą. Powiew rozplynął się w zupełnej ciszy.

Zwyczajem marynarzy, oficerowie chodzili miarowo po werandzie tam i zpowrotem, nie zamieniając ani słowa. Luźne deski skrzypiały rytmicznie pod ich stopami, a suchy zgrzyt drzewa rozlegał się natrętnie w nocnej ciszy. Gdy zawracali, doszedłszy do końca werandy, młodszy oficer stanął jak wryty.

— Słyszał pan? — zapytał.

— Nie! — odrzekł starszy, — A co takiego?

— Zdawało mi się, że słychać krzyk. Bardzo słaby krzyk — coś jakby kobiece wołanie, w tamtym drugim domu. O! teraz znowu. Słyszy pan?

— Nic a nic — odrzekł porucznik, wyężywszy słuch przez chwilę. — Wy młodzi słyszycie wszędzie kobiece głosy. Już się panu coś marzy, niech pan lepiej idzie spać. Dobranoc!

Księżyc piął się coraz wyżej, a ciepłe cienie malały i kurczyły się, jakby spłoszone zimnem, okrutnem światłem.

ROZDZIAŁ X

— Zaszło nareszcie! — rzekła Nina do matki, wskazując na wzgórze, za które stoczyło się słońce. — Posłuchaj matko, — jadę teraz do zatoki Bulangiego, a gdybym nigdy już nie wróciła — —

Zamilkła nagle. Coś, jakby zwątpienie, zamgliło na chwilę jej oczy; przygasł gorejący w nich płomień, który tchnął życie w pogodną, obojętną jej twarz owego pamiętnego dnia — dnia radości i niepokoju, nadziei i zgrozy, nieuchwytnego żalu i mglistej rozkoszy. Trwała niezłomnie w powziętym zamiarze, póki jaśniał blask słońca; w jego promiennem olśnieniu poczęła się i wzrosła miłość Niny, aż owładnęła całą jej istotą. Skryte podszepty pragnień podsycały jej niecierpliwość i tęsknotę za mrokiem, który miał położyć kres niebezpieczeństwom i walce, zwiastując szczęście, zachwyty miłości, pełnię życia. Zaszło nareszcie! Krótki, podzwrotnikowy zmierzch minął, nim zdążyła z ulgą odetchnąć. Wydało jej się nagle, że ciemność roi się od groźnych głosów, wzywających, aby rzuciła się

bez pamięci w nieznaną, aby pozostała wierną własnym porywom i oddała się namiętności, która wybuchnęła w Deinie, ogarniając ją swym płomieniem. W odosobnieniu dalekiej polanki czekał wśród głuchej ciszy lasów samotny zbieg, niepewny życia. Obojętny na czyhające niebezpieczeństwa, wyglądał jej przybycia. Po nią tylko wrócił; a teraz, gdy nadeszła dla niego chwila nagrody, Nina zapypywała siebie z trwożą, co znaczy to zwątpienie mrozące jej wolę i porywy? Z wysiłkiem odtrąciła lęk przed chwilową słabością. Ona go musi nagrodzić. Miłość jej i honor kobiecy zwyciężą przelotny brak wiary w nieznaną przyszłość, która czeka na nią w mrokach rzeki.

— Nie, nie wrócisz nigdy — wyrzekła proroczko pani Almayer. — On bez ciebie nie odjedzie, a jeśliby tu pozostał — — Wyciągnęła rękę w kierunku światła w „Fantazji Almayera” i urwane zdanie rozpląnęło się w groźnym pomruku.

Obie kobiety spotkały się za domem i szły teraz powoli w kierunku zatoki, gdzie przywiązane były czółna. Przystanąły nagle u skraju zarośli, tknięte wspólnym odruchem. Pani Almayer położyła rękę na ramieniu córki, usiłując spojrzeć napróżno w odwróconą jej twarz. Chciała coś powiedzieć, lecz słowa jej utonęły w zduszonym szlochu, który zabrzmiał dziwnie w ustach tej kobiety. Zdawało się, że ze wszystkich ludzkich namiętności tylko gniew i nienawiść nie są jej obce.

— Odchodzisz, aby stać się wielką rani — rzekła wreszcie dość pewnym głosem. — Jeżeli będziesz mądra, posiadasz wielką władzę, co przetrwa długie lata i sięgnie nawet w dni twojej starości. Czemże ja byłam? Niewolnicą. Przez całe życie gotowałam ryż dla człowieka, pozbawionego męstwa i mądrości. Hai! Taką kobietę, jak ja —

wódz i wojownik oddał w darze człowiekowi, który był niczem. Hai! Hai!

Zawodziła pocichu, oplakując stracone sposobności walk i mordów, co byłyby się stały jej udziałem wrazie skojarzenia się z pokrewnym duchem. Nina schyliła się nad wątłą postacią matki i w świetle gwiazd, — które wybiegły na czarne niebo i zawisły bez tchu nad tem dziwnem rozstaniem — wpatrywała się badawczo w zwiędłą jej twarz; zatopiła wzrok w zapadłych oczach, zdolnych przeniknąć mroczną przyszłość w świetle długich, bolesnych doświadczeń. Tak jak dawniej, uczuła się znów we władzy dziwnego czaru, bijącego z uniesień matki i proroczej pewności jej słów. Wyroczy ton i gniewne uniesienia pani Almayer przyczyniły się niemało do opinii o czarodziej-skiej władzy, z jakiej słyneła w osadzie.

— Ja byłam niewolnicą, a ty będziesz królową — ciągnęła pani Almayer, patrząc wprost przed siebie: — lecz pamiętaj o tem, co jest siłą mężczyzny, a co jego słabością. Drżij przed jego gniewem, aby widział w świetle dnia twoją trwogę; ale śmieję się z tego w sercu, gdyż po zachodzie słońca będzie twym niewolnikiem.

— Niewolnikiem! on, władca życia! Nie znasz go, matko.

Pani Almayer zaśmiała się pogardliwie.

— Mówisz jak głupia, biała kobieta. Co ty wiesz o gniewie męskim i o męskiej miłości? Czy czuwałaś nad snem mężów, strudzonych od zadawania śmierci? Czy poczułaś kiedy uścisk potężnego ramienia, co zdolne jest wrazić głęboko kriss w bijące serce? Yah! jesteś białą kobietą i winnaś modlić się do niewieściego boga!

— Dlaczego mi to mówisz? Słuchałam twoich słów tak długo, że zapomniałam o dawnem życiu. Czy stałabym

teraz obok ciebie, gotowa na wszystko, gdybym była białą kobietą? Matko, wróć do domu i spojrzę raz jeszcze w twarz ojca.

— Nie! — rzuciła gwałtownie pani Almayer. — Nie! on śpi teraz snem dżynu; gdybyś wróciła, mógłby się ocieknąć i ujrzeć cię. Nie! on ciebie już nigdy nie zobaczy. Kiedy ten groźny starzec zabrał mi cię malutką — pamiętasz...

— To było już tak dawno — szepnęła Nina.

— Ale ja pamiętam—ciągnęła dziko pani Almayer.— Pragnęłam spojrzeć na ciebie raz jeszcze. Nie pozwolił! Usłyszałam twój płacz i skoczyłam w rzekę. Byłaś wtedy jego córką, a teraz należysz do mnie. Nie wrócisz nigdy do tego domu; nie przejdiesz już nigdy przez ten dziedzińiec. Nigdy! Nigdy!

Głos jej wzmógł się prawie do krzyku. Po drugiej stronie zatoki zaszleściła wysoka trawa; spłoszone kobiety nasłuchiwały chwilę w trwożnym milczeniu.

— Pobiegnę prędko — szepnęła Nina cicho, ale wyraźnie. — Co mnie twoja zemsta obchodzi!

Zwróciła się ku domowi. Pani Almayer wczepiła się w nią, usiłując ją zatrzymać.

— Stój! ani kroku dalej — syknęła.

Nina odepchnęła niecierpliwie matkę i uniosła suknię do szybkiego biegu, lecz pani Almayer zabiegła jej drogę i stanęła z rozpostartymi ramionami.

— Jeśli posuniesz się o krok — szeptała gorączkowo — zacznę krzyczeć. Widzisz światła w wielkim domu? Tam siedzą dwaj biali, łaknący krwi człowieka, którego kochasz. A w tych ciemnych chatkach — ciągnęła spokojnie, wskazując w stronę osady — głos mój potrafi zbu-

dzić ludzi, którzy zaprowadzą do niego żołnierzy Orang Blanda do niego, który czeka na ciebie.

Nie mogła widzieć rysów córki, lecz biała postać stała przed nią w mroku, milcząca i niezdecydowana. Pani Almayer skorzystała ze swej przewagi.

— Zaniechaj dawnego życia! zapomnij! — mówiła błagalnie.—Zapomnij, że spoglądałaś na białe twarze; zapomnij ich słów; zapomnij ich myśli. Słowa ich kłamią i myśli ich kłamią. Pogardzają nami, którzyśmy lepsi od nich, choć nie tak silni. Zapomnij o ich przyjaźni i wzgardzie, zapomnij o ich wielu bogach. Dziewczyno! jakże możesz wspominać przeszłość, gdy wojownik i wódz czeka na ciebie, gotów poświęcić wszystko, — nawet własne swoje życie — za jeden twój uśmiech!

Mówiąc to, popychała zlekka córkę ku czółnom, kryjąc własną obawę, niepokój i niepewność w potoku namiętnych słów, które nie pozwoliły Ninie ani przez chwilę zebrać myśli i stawić oporu, gdyby nawet chciała to uczynić. Ale już teraz nie chciała. Na dnię przelotnej zachcianki, aby spojrzeć raz jeszcze w twarz ojca, nie było silnego przywiązania. Nie miała żadnych skrupułów i nie czuła wyrzutów sumienia, opuszczając nagle człowieka, którego miłości nie potrafiła ani zrozumieć, ani nawet dostrzec. Było to tylko instynktowne lgnięcie do dawnego życia, dawnych przyzwyczajzeń, dawnych twarzy — ten lęk przed krokiem ostatecznym — lęk, co czai się w każdej ludzkiej piersi i zapobiega tylu bohaterstwom i tylu zbrodniom. Lata całe przebyła między matką a ojcem, z których jedno tak silne było w swej słabości, a drugie tak słabe, gdy należało okazać siłę. Trwała z oniemiałem sercem między tem dwojgiem istot tak różnorodnych, tak wręcz sobie przeciwnych, rozpamiętując ze zdumieniem

i gniewem fakt własnego istnienia. Ciśnięta przez los bezmyślnie i upokarzająco w sam środek dziczy, patrzyła, jak dzień za dniem mija bez żadnej nadziei, pragnienia, ani też celu, któryby nadał jakiś sens życiu, ciężacemu jej coraz dotkliwiej. Nie wierzyła marzeniom ojca i nie rozumiała ich wcale, ale dzikie majaczenia matki trącały o pokrewną strunę gdzieś na dnie zrozpaczonego serca. Zapamiętywała się w rojeniach jak więzień, który rwie się do swobody wśród ścian celi. Wreszcie zjawił się Dein i ukazał jej drogę do wolności. Poddała się nowym siłom, które nagle w niej się zrodziły i wierzyła w radosnem olśnieniu, że w oczach Deina wyczyta odpowiedź na dręczącą ją zagadki. Posiadła tajemnicę życia — cel jego i znaczenie. W radosnym triumfie odrzuciła wzgardliwie całą przeszłość — smutne myśli, gorzkie uczucia i wątle przywiązania — wszystko zwiędło i zmartwiało w zetknięciu z potęgą namiętności.

Pani Almayer odwiązała czółno i, wyprostowawszy się z trudem, stała z liną w ręku, patrząc na córkę.

— Prędko! — rzekła — musisz odjechać nim księżyc wzejdzie, póki cień leży jeszcze na rzece. Lękam się niewolników Abdulli. Ci nędznicy włóczą się często po nocy; mogliby cię dostrzec i puścić się twoim śladem. Są tu dwa wiosła w łódce.

Nina podeszła do matki i musnęła niepewnie ustami jej pomarszczone czoło. Pani Almayer zachnęła się pogardliwie, ale poczuła, że tkliwość córki mogłaby się stać żaźliwą.

— Czy cię jeszcze kiedy zobaczę, matko? — szepnęła Nina.

— Nie — odrzekła pani Almayer po krótkim milczeniu. — Na co ci wracać tutaj, gdzie przeznaczone

mi jest pozostać aż do śmierci? Będziesz pędziła życie hen daleko, we wspaniałości i potędze. Jeśli posłyszę, że nasi wojownicy zoną z wysp białych ludzi, wówczas zrozumieć, że żyjesz i że pamiętasz moje słowa.

— Będę je zawsze pamiętała — rzekła poważnie Nina, — ale powiedz, w czym leży moja potęga? co ja mogę uczynić?

— Nie pozwól mu zbyt długo spoglądać w twoje oczy, ani trzymać głowy na twych kolanach; przypominać, że mężczyzna ma walką zapracować na wypoczynek. Gdyby się ościągł, podaj sama kriss i rozkaż mu pójść — jak przystoi żonie potężnego władcy, gdy nieprzyjaciel w pobliżu. Niech zabija białych ludzi, którzy przybywają do nas i handlują z modlitwą na ustach, a nabitą strzelbą w rękę. Ach — kończyła z westchnieniem — oni są na każdym morzu i na każdym wybrzeżu i jest ich bardzo wielu!

Obróciła łódkę dziobem ku rzece, lecz wciąż jeszcze trzymała rękę na zřebie, zamyślona i niepewna. Nina oparła koniec wiosła o brzeg, gotowa do odjazdu.

— Co to jest, matko? — spytała pocichu. — Czy słyszysz?

— Nie — odrzekła z roztargnieniem pani Almayer i po krótkiej pauzie zaczęła znów porywczó: — Słuchaj mnie, Nino; — po latach będą inne kobiety — —

Przerwał jej zduszony krzyk i łoskot: Nina upuściła wiosło i wyciągnęła ramiona, jak gdyby broniąc się przed jej słowami. Pani Almayer uklękała na brzegu i pochyliła się nad łódką, aby spojrzeć zbliska w twarz córki.

— Będą inne kobiety — powtórzyła nieubłaganie — mówię ci to, bo jesteś nawpół biała; możesz zapomnieć, że on jest wielkim wodzem i że tak być musi. Ukryj swój

gniew i nie pokaż bólu, który będzie żał twoje serce. Spotykaj go z weselem w oczach i mądrością na ustach, gdyż do ciebie zwróci się w smutku czy zwątpieniu. Póki wzrok jego będzie spoczywał na wielu kobietach, póty przetrwa twoja władza, ale gdyby znalazła się jedna, — jedna jedyna — z którąby ciebie zapomniał, wówczas — —

— Nie mogłabym żyć — wybuchnęła Nina, kryjąc twarz w dłoniach. — Nie mów tego, matko, to być nie może!

— Wówczas — ciągnęła niewzruszenie pani Al-mayer — dla tej kobiety. Nino, bądź bez miłosierdzia.

Pchnęła lekko czółno zwrócone dziobem do rzeki, trzymając je wciąż za krawędź obu rękami.

— Płaczesz? — spytała surowo córki, która siedziała bez ruchu z zakrytą twarzą. — Powstań i ujmij wiosło, bo czekał już dość długo. Pamiętaj, Nino, bądź bez miłosierdzia; a jeśli będziesz musiała ugodzić — niechaj ci ręka nie zadrży.

Zebrała wszystkie siły i podawszy się naprzód, rzuciła lekkie czółenko daleko na wody rzeki. Gdy przyszła do siebie po tym wysiłku, napróżno wyteżyła wzrok; łódka rozplynęła się w białej mgłę, rozwleczonej nad ugrzaniem wodami Pantai. Chwilę jeszcze pozostała na kolanach, nasłuchując usilnie, wreszcie dźwignęła się z głębokim westchnieniem. Dwie łzy stoczyły się zwolna po zwiędłych jej policzkach. Otarła je szybko kosmykiem siwych włosów, jakby wstydząc się samej siebie, lecz nie potrafiła stłumić głośnego westchnienia; ciężko jej było na sercu i cierpiała bardzo, nie będąc zwyczajną tkliwych wzruszeń. Nagle wydało się jej, że słyszy lekki szmer, jak ccho własnego westchnienia; przystanąła, wyteżywszy słuch, spoglądając lękliwie w stronę pobliskich krzaków.

— Kto tam? — spytała niepewnie, a w wyobraźni ujrzała widziadła, błakające się w pustce wybrzeża. — Kto tam? — powtórzyła słabym głosem.

Nie było żadnej odpowiedzi. Tylko szum rzeki, snując się smutno i monotonnie za białą zasłoną, jak gdyby wzmógł się na chwilę i przycichł znów do miękkiego szepotu wirów, podmywających wybrzeże.

Pani Almayer potrząsnęła głową, niby w odpowiedzi własnym myślom i oddaliła się szybko od krzaków, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Szła wprost do szopy kuchennej, gdyż spostrzegła, że węgle w ognisku żarzą się silniej niż zwykle; widać ktoś wciąż wieczora dorzucił świeżego paliwa. Babalaczi, przykucnięty w ciepłym żarze, powstał i spotkał się z nią w cieniu obok szopy.

— Czy pojechała? — spytał dyplomata porywczo i niespokojnie.

— Tak — odrzekła pani Almayer. — Co robią biali? Dlaczego ich opuścicieś?

— Pewno śpią teraz. Oby nie zbudzili się już więcej! — wybuchnął żarliwie. — Och, to są wcielone diabły — tyle gwałtu i gadaniny o tego trupa! Wódz ich groził mi dwa razy ręką i powiedział, że chciałby mnie widzieć przywiązanego do drzewa — mnie! przywiązanego do drzewa! — powtarzał, bijąc się gwałtownie w piersi.

Pani Almayer zaśmiała się szyderczo.

— A ty biłeś pokłony, prosząc o przebaczenie. Mężowie z bronią u boku zachowywali się inaczej za czasów mej młodości.

— Ty szalona kobieto! I gdzież oni są, mężowie z czasów twojej młodości? — odparł gniewnie Babalaczi. — Zabici przez Holendrów. A ja będę żył, aby wywo-

dzić ich w pole. Mężczyzna wie dobrze, kiedy ma walczyć, a kiedy rzec pojednawcze kłamstwo. I tybyś wiedziała, gdybyś nie była kobietą.

Lecz pani Almayer zdawała się go nie słyszeć. Wyciągnawszy ramię, nasłuchiwała pochylona.

— Tam za szopą słychać dziwne dźwięki — szepnęła z niepokojem. Już przedtem słyszałam jakby płacz i westchnienia. To było tam na wybrzeżu. A teraz znowu — —

— Gdzie? — spytał Babalaczi zmienionym głosem. — Co słyszałaś?

— Tu blisko. Tak jakby ktoś głęboko westchnął. Trzeba było spalić papier nad ciałem, zanim je pogrzebali.

— Tak — potwierdził Babalaczi. — Ale biali ludzie wrzucili je zaraz do jamy. Widzisz, on zginął w rzece — dodał raźniej — i duch jego będzie się włóczył za czołnami, ale wybrzeże zostawi w spokoju.

Pani Almayer, która z wyciągniętą szyją zaglądała za węgiel szopy, cofnęła wreszcie głowę.

— Niema tu nikogo — rzekła uspokojona.

— Czy już nie czas, aby wojenna łódź radży ruszyła w stronę polanki?

— Zajedzie tu po mnie, bo i ja muszę popłynąć — objaśnił Babalaczi. — Pojadę chyba zobaczyć, czemu się spóźniają. Kiedy do nas przybędziesz? Radża ci daje schronienie.

— Przeprowadzę się przed świtem. Nie mogę tu zostać moich dolarów — mruknęła pani Almayer.

Rozeszli się. Babalaczi minął podwórze, kierując się ku zatoce, gdzie było przywiązane jego czołno, a pani Almayer ruszyła zwolna ku domowi. Wspięła się po kładce, minęła tylną werandę i weszła na korytarz wiodący

do frontu. We drzwiach obejrzała się jeszcze, ogarniając wzrokiem puste, ciche podwórze, już oświetlone promieniami wschodzącego miesiąca. Ledwie znikła w korytarzu, niewyraźny cień zamajaczył między pniami bananów, przeszył jak strzała przestrzeń zalaną księżycem i zapadł w mrok u stóp werandy. Tak błyskawicznie i cicho mignęło to zjawisko, że mogło wydać się cieniem pędzącej chmury, gdyby nie ślad pozostały na trawach. Pierzaste kity ślaniały się długi czas jeszcze w księżycowej poświacie, zanim stanęły nieruchomo, błyszcząc na ciemnym tle, jak misterny haft ze srebrnych gałązek.

Pani Almayer zapaliła kaganek z kokosowej łupiny; odsunawszy ostrożnie czerwoną firankę, spojrzała na męża, ogarniając światło dłonią. Almayer leżał rozwalony w fotelu; lewe jego ramię zwisło ku ziemi, a drugie przrzucone było przez twarz; wyglądało to, jakby chciał odeprzeć cios niewidzialnego napastnika. Nogi wyciągnął przed siebie i spał ciężkim snem, nieświadom wrogich oczu, które przyglądały mu się badawczo i pogardliwie. U jego stóp leżał zwalony stół wśród szczątków zastawy i potłuczonych butelek. Weranda wyglądała jak pobojo-wisko, gdzie stoczono rozpaczliwą walkę; krzesła, porzucane gwałtownie na wszystkie strony, leżały w żalonych, pijackich pozach pełnych bezsilności. Tylko wielki fotel Niny sterczał nieruchomo na wysokich biegunach, górując z niezachwianą godnością nad chaosem zgnębionych mebli; czekał cierpliwie na swoją panią.

Pani Almayer rzuciła jeszcze na męża pogardliwe spojrzenie i, puściwszy firankę, skierowała się do swego pokoju. Para nietoperzy, ośmielonych mrokiem i ciszą, jęła znów płasć w ukośnych zygzakach nad głową Almayera. Długi czas nic nie mąciło skupionej ciszy domu,

prócz głębokiego oddechu śpiącego mężczyzny i słabego dźwięku srebra w rękach kobiety, przygotowującej się do ucieczki.

Księżyc wzniosł się tymczasem ponad nocną mgłę; wydobył z mroku sprzęty na werandzie, zalał ją światłem i rozrzucił czarne bryzgi cienia, uwydatniając brzydotę i nieporządek porzuconych mebli. Na brudnej, białej ścianie za śpiącym Almayerem zjawiała się jego karykatura wyolbrzymiona do bohaterskich rozmiarów, o groteskowo przesadzonych szczegółach. Spłoszone światłem nietoperze odfrunęły, poszukując ciemniejszego zakątka, a na stół wylazła jaszczurka o krótkich, nerwowych ruchach; snąć podobał jej się biały obrus, bo przystanęła na nim i znieruchomiała. Mogło się zdawać, że tknęła ją nagła śmierć, gdyby nie melodyjny zew, którym wabiła mniej odważnego towarzysza, skrytego gdzieś między rupieciami na podwórzu. Zatrzeszczała podłoga w korytarzu, jaszczurka znikła, a Almayer poruszył się niespokojnie i westchnął. Z nicości i zatruty pijackiego snu wracał powoli do świadomości przez krainę widzeń. Przerzucał głowę z ramienia na ramię w sennym otumanieniu. Niebieskie sklepienie spadło mu na barki jak ciężki płaszcz; gwiazdne fałdy wloką się gdzieś głęboko, hen wdole. Gwiazdy wgórze i wszędzie wokoło; z gwiazdnej przepaści wznosi się szept nabrzmiały błaganiem i łzami; smutne twarze snują się wśród rojów światła, migocących w nieskończonym przestworze. Natrętne, żalosne krzyki uderzają o jego uszy, smutne oczy patrzą ku niemu z twarzy, cisnących się wokoło. Tchu mu brak pod miażdżącym brzemieniem światów, rzuconych na omdlałe barki. Uciec! ale jak? Jeśli posunie się o krok, stąpnie w próżnię i z przeraźliwym łoskotem zwałą się razem w otchłań — i on, i wszechświat, którego jest jedyną

podporą. Czego chcą te głosy? Żądają, aby ruszył naprzód. Dlaczego? Ruch, to zagłada! Ani mu to w głowie. Oburzył go ten szalony pomysł. Rozparł się mocniej na nogach i wyteżył muskuły w bohaterskim postanowieniu: będzie dźwigał swoje brzemie przez całą wieczność! Mijały tysiąclecia, a on trwał w nadludzkiem trudzie wśród wirujących światów. Żałosny szept smutnych głosów snuł się ciągle i naglił do czynu, póki nie jest jeszcze zapóźno. Tajemnicza moc, która zwała na niego nadludzkie zadanie, postanowiła wreszcie jego zgubę. Uczuł ze zgrozą ciężar żelaznej dłoni, wstrząsającej jego ramieniem. Chór głosów wybuchł rozpaczliwą modlitwą, błagając, aby nie zwlekał, aż będzie zapóźno. Wydało mu się, że coś pęta mu nogi; stracił równowagę, pośliznął się i padł z krzykiem w otchłań. Pierzchnęła zmora walących się światów. Leżał w półśnie, nie wyzwolony jeszcze z pod władzy sennego czaru.

— Co? co? — szepnął ospale, nie otwierając oczu. Głowa ciążyła mu bardzo i nie miał odwagi rozewrzeć powiek. Do uszu cisnęły się wciąż błagalne szepty. „Czy ja śpię? dlaczego słyszę te głosy?” Usiłował zrozumieć co się z nim dzieje.— „Nie mogę się jeszcze pozbyć tej okropnej zmory. — Bardzo byłem pijany. — Kto to mną potrząsa? Jeszcze mi się coś śni. — Muszę otworzyć oczy i raz z tem skończyć. Widać nie jestem jeszcze zupełnie obudzony.

Pokonał z wysiłkiem odrętwienie i rozwarł powieki. Ujrzał tuż przy twarzy wytrzeszczone, błyszczące źrenice. Zamknął prędko oczy, osłupiały i przerażony i siadł w fotelu, trzęsąc się ze zgrozy. Co to za stwór? — Z pewnością jakieś przywidzenie. Nic dziwnego: nerwy jego przeszły taki straszny wstrząs — a w dodatku dużo wypił. Niechby

się tylko zdobył na odwagę i otworzył oczy — napewno już nie zobaczy. Zaraz spojrzę. Tylko przedtem trzeba się uspokoić. — O tak. — Już!

Spojrzał. W oddalonym kącie werandy stała kobieca postać, oblana stalowem światłem i błagalnie wyciągała ku niemu ramiona. Między upartą zjawą a Almayerem szemrał potok słów; do uszu jego dobijały się uprzykrzone zdania, lecz, mimo największych wysiłków, nie mógł nic zrozumieć. Ktoś mówi po malajsku — Kto uciekł? Dlaczego już zapóźno? na co zapóźno? Co znaczą te słowa nienawiści i miłości tak dziwnie poplątane? te imiona, co uderzają wciąż o jego uszy: Nina, Dein; Dein, Nina? Dein nie żyje, a Nina śpi, nie przeczuwając, co się dzieje z jej ojcem. Czy ta męka ma trwać wiecznie? i we śnie i na jawie? Czy niema dla niego spokoju ani we dnie, ani w nocy? Co to ma wszystko znaczyć?

Krzyknął głośno ostatnie słowa. Ciemna postać wzdrygnęła się z piskiem i posunęła ku drzwiom. Almayer, doprowadzony do ostateczności niesamowitą męką, rzucił się ku niej, lecz wymknęła mu się; uderzył ciężko o ścianę. Odwrócił się błyskawicznie i rozpoczął dziki pościg. Tajemnicza postać uciekała, wydając przenikliwe krzyki, które podsycaly coraz bardziej jego wściekłość. Sadził przez meble, biegał wokoło przewróconego stołu i wpędził ją nareszcie w kąt za fotelem Niny. Rzucali się to na prawo, to na lewo, krzesło kołysało się jak szalone; zjawę odpowiadała przenikliwym piskiem na każdy podstępny ruch Almayera, który ciskał urywane przekleństwa przez zaciśnięte zęby. Cóż to za piekielny wrzask! W mózg się wwierca i wtłacza oddech w gardło. Zabije go ten wrzask. Trzeba go zdusić! Porwała go obłąkana żądza, aby zmiażdżyć ten wrzeszczący stwór. Rzucił się naoslep

przez fotel i oboje potoczyli się w tumanie kurzu wśród potrzaskanych szczątków mebla. Ostatni pisk zamarł pod Almayerem w słabym bełkocie; zdobył wreszcie upragnioną ulgę głuchoj ciszy.

Spojrzał na twarz zjawy. To kobieta — prawdziwa kobieta. Jakieś znajome rysy — na Boga, to Tamina! Skoczył na równe nogi i stał w oszołomieniu, obcierając czoło, zawstydzony swoją wściekłością. Dziewczyna zwlekła się na kolana i objęła mu nogi, żebrząc o miłosierdzie.

— Nie bój się — rzekł, podnosząc ją. — Nic ci się nie stanie. Dlaczego przychodzisz tu po nocy? A jeśli masz coś ważnego, czemu nie wejdiesz tam za firankę, gdzie śpią kobiety?

— Miejsce za firanką jest puste — wykrztusiła Tamina, chwytając oddech rozdygotanemi wargami. — Nie ma już kobiet w twoim domu, tuanie. Widziałam, jak stara Mem odeszła, zanim ciebie zaczęłam budzić. Nie chcę mówić z twoimi kobietami, chcę mówić z tobą.

— Stara Mem! — powtórzył Almayer. — To znaczy się moja żona?

Skinęła głową w odpowiedzi.

— Ale mojej córki się nie boisz?

— Czy nie słyszałeś, tuanie? — wykrzyknęła. — Mówiłam do ciebie długi czas, gdyś leżał z zamkniętymi oczami. Ona także odeszła!

— Przecież wiesz, że spałem. Czy nie umiesz poznać, kiedy mężczyzna śpi, a kiedy czuwa?

— Niekiedy, — szepnęła Tamina — niekiedy duch trzyma się blisko ciała uspiętego człowieka i słyszy, co się mówi. Mówiłam długo, zanim ciebie dotknęłam i mówiłam bardzo cicho, żeby nie przerazić ducha; nagły hałas mógłby go spłoszyć i pozostałbyś śpiącym na wieki. Dotknęłam

twojego ramienia dopiero, gdy zacząłeś mrużyć słowa, których nie mogłam zrozumieć. Więc nic nie słyszałeś i nic nie wiesz?

— Nie mam pojęcia o co chodzi. Powtórz, to będę wiedział.

Wziął ją za ramię i pociągnął ku balustradzie w światło księżyca. Nie stawiała oporu, tylko załamała ręce z wyrazem takiej rozpacz, że ogarnął go niepokój.

— Mówże! Narobiłaś hałasu, że umarli mogliby się zbudzić. — A jednak nikt żywy się nie zjawił — szepnął po chwili niespokojnie. — No! Zaniemówiłaś? Odezwijsz się nareszcie!

Chwilę jeszcze pasowała się z sobą, wreszcie potok słów wydarł się z drżących jej ust; opowiedziała wszystko: o miłości Niny i o swojej zazdrości. Naprózno spoglądał groźnie w jej twarz, nakazując milczenie; nie był w stanie powstrzymać dźwięków, które buchnęły z ust Taminy, jak wrzący potok i objęły palącym wirem jego stopy. Rozpętane fale pną się coraz wyżej; już dotykają serca, już wdzierają się do ust jak roztopiony ołów; kłęby pary pochłaniają wszystko naokół. Wreszcie kipiąca toń zwiera się nad jego głową, przynosząc bezlitosną zagładę. Gdy Tamina mówiła o zmyślonej śmierci Deina i podstępie, którego ofiarą padł Almayer, spojrział na nią tak dziko, że słowa uwięzły jej w gardle—lecz wnet się odwrócił i z twarzy jego znikł wszelki wyraz. Patrzył kamiennym wzrokiem gdzieś w dal, ponad rzekę. Ach ta rzeka! Dawny jego przyjaciel i dawny wróg. Przemawia wiecznie tym samym głosem, szemrząc nieustannie; rok za rokiem niesie powodzenia i zawody, szczęście i zgryzotę — a powierzchnia jej zawsze jednaka, choć tak rozmaita — przystrojona w połyskliwe prądy, usiana wirami. Przez długie lata słuchał

jej beznamiętnego, kojącego szeptu, który brzmiał chwila-
mi jak śpiew nadziei, to znów jak hejnał triumfu, lub otu-
chy. Najczęściej jednak niosła mu ukojenie, szemrząc o lep-
szych dniach, które nadejdą niebawem. Tyle lat! tyle lat...
A teraz szmer tych samych fal wtóruje mozolnym i bole-
snym uderzeniom jego serca. Przysłuchuje się uważnie
i dziwi ich miarowości. Zaczyna machinalnie liczyć: raz,
dwa... Po co liczyć? Przy najbliższem uderzeniu serce
musi się zatrzymać. Żadne serce nie jest w stanie tyle wy-
cierpieć i bić tak spokojnie. Zmilkną miarowe uderzenia,
co tętnią w jego uszach, jak głuche ciosy młota. A jednak
biją wciąż jeszcze, nieubłagane i okrutne. Niktby tego
znieść nie mógł. Czy to ostatnie uderzenie? a może nastę-
pne będzie ostatniem? Jak długo jeszcze to potrwa? o Boże,
jak długo?

Ręka Almayera wpierała się nieświadomie w ramię
Taminy z coraz większą siłą, gnąc ją bezlitośnie ku ziemi.
Znalazła się wreszcie u jego nóg i kończyła opowiadanie
ze łzami bólu, wstydu i gniewu. Czyżby zemsta jej miała
pójść na marne? Ten biały człowiek nieczuły jest jak ka-
mien. Zapóźno! zapóźno!

— Widziałas ją? — zabrzmiał nad Taminą ochryply
głos Almayera.

— Czyż ci nie mówiłam, tuanie! — łkała, starając
się wywinąć nieznacznie z jego garści. — Przecież widzia-
łam na własne oczy, jak czarownica zepchnęła czółno!
Przyciałam się w trawie i słyszałam każde słowo. Ta,
którą zwaliśmy białą Mem, chciała wrócić się i spojrzeć
ci w twarz, ale czarownica zabroniła jej, a ona — —

Pod naciskiem ciężkiej dłoni Tamina zgięła się jesz-
cze niżej, lecz podniosła głowę, patrząc mściwie na Al-
mayera.

— A ona usłuchała! — wybuchnęła konwulsyjnie, płacząc i śmiejąc się z bólu. — Puść mnie, tuanie! Dlaczego się na mnie gniewasz? Spiesz się! Wkrótce już będzie zapóźno i nie pokażesz swego gniewu kobiecie, która cię oszukała.

Almayer poderwał z ziemi Taminę i spojrział jej zbliżona w oczy, choć wrywała mu się, odwracając twarz przed wściekłym jego wzrokiem.

— Kto ciebie wysłał? Po co mnie dręczysz? — wybuchnął. — Nie wierzę ci. Kłamiesz.

Wyprężył nagle ramię i cisnął ją przez werandę ku drzwiom, gdzie padła i znieruchomiła. Zdało się, że wydarła jej życie zostało w dłoni Almayera, a u drzwi leży tylko nieruchomy, ciemny kłęb gałęzi.

— Nino! — szepnął Almayer z tkliwym wyrzutem, pełnym bólu i miłości. — Nino! ja nie wierzę!

Lekki powiew od rzeki przeciągnął falą po trawie, wbiegł na werandę i musnął chłodnym oddechem czoło Almayera, niby pieszczota, pełna niezmiernej litości. Zasłona w drzwiach wydzęła się i opadła natychmiast z rozdzierającą bezsilnością. Spojrzął na trzepoczącą się tkaninę.

— Nino! — krzyknął. — Nino, gdzie jesteś?

Wiatr przewiał przez pusty dom z żalosnem westchnieniem i wszystko znów ucichło.

Almayer ukrył twarz w dłoniach, jak przed ohydny jakims widokiem. Nagle usłyszał lekki szelest i odsłonił oczy: ciemny kłęb gałęzi znikł z werandy.

ROZDZIAŁ XI

Na czworokątnej polance, zalanej księżycem, połykiwał gładki, zwarty łąn młodych pędów ryżu. W pośrodku sterczał na wysokich palach niewielki szałas; stos chróstu leżał tuż obok. Przy gorejącym żarze spoczywał człowiek. Zdawał się niezmiernie drobny i jakby zgubiony w blado-zielonej poświacie, odbitej od ziemi. Zwodne światło miesiąca odsunęło wdal potężne drzewa, obejmujące z trzech stron polankę; spętane ljanami olbrzymy spoglądały z mroczną rezygnacją na kielkujące u swych stóp młode życie — snąc utraciły wiarę we własną potęgę. Bezliatosne pnącze lgnęły do mocarnych pni w węzowych skrętach, skakały z drzewa na drzewo, zwieszały się z konarów ciernistemi festonami i słały śmigłe pędy hen, w górę, w pościgu za najdrobniejszą gałązką, niosąc śmierć swym ofiarom w triumfalnym pochodzie milczącej zagłady.

Od strony Pantai, wzdłuż wygięcia brzegu, — skąd był jedyny dostęp do polanki, — czernił się gąszcz młodych drzew, zarośli i leśnego podszycia, przeciętego szparą, wyrąbaną w zwartej ścianie. Biegła stąd ścieżynka do

szałasu z trzciny, gdzie się chronili nocą ludzie, strzegący dojrzałego plonu przed dzikami. Dróżka kończyła się u stóp pali, na których stała budka wśród niewielkiego kręgu, pokrytego popiołem i szczątkami zwęglonego drzewa. Dein leżał tutaj przy mdłym ogniu.

Przewróciwszy się na bok z westchnieniem, ułożył głowę na zgiętym ramieniu i legł spokojnie, z twarzą zwróconą ku gasnącemu ognisku. Żar mienił się czerwono, zapalając błyski w szeroko rozwartych oczach Deina. Za każdym głębszym jego oddechem wlatywał z przygasłych węgli biały, delikatny popiół; wzbijał się nikłą chmurką z przed rozchylnych warg i płynął od ciepłego żaru w światło księżyca, zatapiające polankę. Ciało Deina zmęczone było wysiłkami ostatnich dni, a dusza wyczerpana docna natężeniem, z jakim czekał samotnie na wyrok losu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezsilnym. Słyszał wystrzał armatni na pokładzie fregaty; wiedział, że jego życie spoczywa w rękach ludzi, nie zasługujących na zaufanie i że nieprzyjaciel jest bardzo blisko. Podczas długich godzin popołudnia wałęsał się na skraju lasu, albo, zaszyty w zarośla, obiegał niespokojnym wzrokiem zatokę, wypatrując, skąd grozi niebezpieczeństwo. Nie lękał się śmierci, lecz pragnął gorąco żyć, bo życiem jego była Nina. Obiecała, że pójdzie za nim, że podzieli jego dobrą i złą dolę,—niebezpieczeństwa i chwałę. Gdy będzie ją miał u boku, pokona z łatwością wszelkie niebezpieczeństwa; bez niej — niema dla niego chwały ni radości. Kulił się w cieniastej kryjówce i zamykał oczy, usiłując wywołać wdzięczny i czarowny obraz białej postaci, w której zamknął całe swoje życie. Zaciskał powieki i zęby w napiętym pragnieniu, aby przedłużyć wizję — źródło najwyższej rozkoszy. Napróżno! Postać Niny rozpływała się, ustępując

innemu zjawisku. Oto widzi zbrojnych ludzi, gniewne twarze, połyskującą broń, słyszy — zda się — gwar podnieconych i triumfujących głosów: odkryto jego schronienie! Przerażony wyrazistością widzenia otwierał oczy, wyskakiwał w blask słońca i snuł się znów bez celu wokół polanki. Wędrując krajem lasu, spoglądał niekiedy w mroczną jego głąb, nęcącą zwodnym pozorem chłodu, odpychającą nieprzeniknionym mrokiem. Spoczywały tam niezliczone pokolenia próchniejących drzew, a nad nimi stali ich potomkowie, przyodziani w ciemną szatę liści — niby w żałobę — bezsilne olbrzymy, czekające swej kolei. Tylko pasorzyty kipsiały życiem. Pięły się krętym ruchem ku słońcu i powietrzu, żerowały jednak na martwych i na konających, wieńcząc swe ofiary purpurą i błękitem. Jaskrawe kwiaty lśniły między gałęzmi, rażące i okrutne, niby ostre, szyderczy rozdzwięk w uroczystym hymnie skazanych drzew.

— Moznaby tu się ukryć — pomyślał Dein, spostrzegłszy rodzaj arkady, wyciętej w pnączach — pewno tam jest ścieżka. — Schylił się, aby zajrzeć wgłąb; usłyszał gniewne pochrząkiwanie i oddalający się łomot racic dzika. Cierpka woń wilgotnej ziemi i gnijących liści chwyciła go za gardło; cofnął się z lękiem, jak przed tchnieniem śmierci. Wydało mu się, że nawet powietrze martwe jest tam w głębi — zatrute rozkładem, panoszącym się od wieków. Ruszył znów chwiejnie przed siebie, dręczony nerwowym niepokojem, który nie dopuszczał nawet myśli o spoczynku. Przecież nie jest dzikim! Nie chce kryć się po lasach i ginąć w mroku, nie mogąc nawet pełną piersią odetchnąć. Będzie oczekiwał na wroga w blasku słońca, w powiewie wiatru, pod błękitem niebios. Wiedział, jak przystoi umierać malajskiemu wodzowi. Rozgorzała w nim

posepna, rozpaczliwa wściekłość, dziedzictwo jego rasy. Wlepił dziki wzrok w szparę wyciętą w gąszczu: tam się pojawia wrogowie. Widzi już brodate twarze, białe kurtki oficerów, błyski na poziomych lufach strzelb. I czemuż jest męstwo największego wodza wobec ognistej broni w rękę niewolnika? Podejdzie do nich z uśmiechniętą twarzą i wyciągnie ręce na znak poddania. Mówiąc przyjazne słowa, znajdzie się wreszcie tak blisko, że wrogom dość będzie wyciągnąć ręce, aby go wziąć w niewolę. Wówczas skoczy między nich z bojowym okrzykiem na ustach i krissem w garści; zadając śmiertelne ciosy, ujrzy tryskającą krew nieprzyjaciół i skona z uszami pełnymi wrzasku wrogów.

Porwało go uniesienie. Chwycił za kriss; odetchnąwszy głęboko, rzucił się naprzód — przeciął puste powietrze i padł na twarz. Nagła niemoc ogarnęła go po napadzie szaleństwa; leżał jak ogłuszony i czuł, że jeśli ma umrzeć z chwałą, musi się to stać, zanim ujrzy Ninę. Tak będzie lepiej. Gdyby ją zobaczył raz jeszcze, śmierć stałaby się zbyt okropną. Potomek radzów i zdobywców uczuł ze zgrozą, że zaczyna wątpić o własnym męstwie. Porwały go dręczące wyrzuty sumienia, ale nie zgłuszyły żądz życia. Leżał, nie śmiejąc uczynić najłżejszego ruchu. Przepadła jego wiara w siebie; niema w nim już nic z mężczyzny. Pozostało tylko cierpienie — albowiem powiedziane jest, że ciało ludzkie będzie pastwą męki aż do ostatniego tchnienia. I lęk pozostał. Dein przejrzał głębie swej przepastnej miłości, całą jej moc i słabość — i ogarnęła go trwoga.

Słońce zniżało się powoli. Cień zachodniego lasu wstąpił na polankę, rzucił swój chłodny płaszcz na spiekle barki mężczyzny i pośpieszył zlać się z cieniami innych lasów po wschodniej stronie. Słońce przystanęło na chwilę

wśród delikatnej koronki gałęzi; zdało się, że z przyjaźni tak się ociąga, że nie chce opuścić postaci, leżącej wśród zielonego łąnu. Orzeźwiony chłodnym, wieczornym powiewem Dein usiadł wreszcie i rozejrzał się naokoło. W tej chwili właśnie słońce skryło się za lasem — niby wstydząc się swoich życzliwych uczuć — a pełna blasku polanka zapadła nagle w mrok; tylko ognisko jarzyło się jak świetlista żrenica. Dein zszedł powoli do zatoki, odrzucił swój poszarpany sarong i zanurzył się ostrożnie w wodę. Przez cały dzień nie miał nic w ustach i nie śmiał pokazać się na wybrzeżu, aby ugasić pragnienie. Za to teraz, płynąc cicho i ostrożnie, połknął kilka łyków wody muskającej mu usta i uczuł się pokrzepiony. Wrócił do ogniska z nowym przypływem wiary w siebie i innych. Przyszło mu na myśl, że gdyby Lakamba go zdradził, byłoby już teraz po wszystkim. Rozpalił wielki ogień, osuszył się w jego ciepłe i legł znów obok żaru. Nie mógł spać, mimo niezmiernego znużenia. Niepokój go opuścił; dobrze mu było tak cicho leżeć. Mierzył upływający czas, śledząc gwiazdy, które wschodziły nad lasem w nieskończonym korowodzie. Niekiedy blask ich silniej się rozżarzał, niby rozdmuchany przez powiewy ciepłego wiatru pod bezchmurnym niebem. Dein pogrążył się w marzeniach. Póty powtarzał sobie, że Nina zjawi się przy nim, aż pewność ukołysała jego serce i napełniła go wielkim spokojem. Tak! jutro o świcie ogarnie ich oboje nieobjęty błękit morza, które jest jak życie; ziejące śmiercią lasy zostaną hen, za nimi. Z tkliwym uśmiechem wyszeptał jej imię w cichą przestrzeń. Prysnął czar milczenia; daleko, gdzieś nad zatoką, żaba zakumkała głośno w odpowiedzi. Chór głośnych rechotów i żałosnego kumkania wzniosł się nad błotnistym wybrzeżem, wzdłuż zarośli. Roześmiał się wesoło:

to śpiew miłości. Ogarnęła go serdeczna życzliwość dla żab; słuchał ich pieśni i radował się życiem, tętniącem wokoło.

Księżyc wyrzał z za drzew; niepokój i podniecenie przejęły znów Deina. Czemu jej jeszcze niema? Prawda, że długą ma drogę przed sobą i musi przebyć ją o jednym tylko wiosle. Jak zręcznie umieją te drobne ręce władać ciężkiem wiosłem, jak wytrwale! To wprost zdumiewające. Takie małe rączki — mięciutkie dłonie, co potrafią dotknąć jego policzka muśnięciem, lżejszem od powiewu motyli skrzydeł! Zatopił się w rozpamiętywaniu tej wielkiej tajemnicy. Gdy spojrział w górę, księżyc wznosił się już o szerokość dłoni nad drzewami. Czy Nina przyjedzie? Zmusił się do spokojnego leżenia, choć ciągnęło go, aby wstać i błądzić wciąż naokoło polanki. Przewracał się z boku na bok, wreszcie wyciągnął się nawznak, drżąc z wysiłku i ujrzał między gwiazdami jej twarz, spoglądającą ku niemu.

Recht żab nagle ustał. Dein siadł i z czujnością tropionego człowieka jął niespokojnie nasłuchiwać. Doszedł go plusk żab, skaczących w wodę. Musiało je coś wystraszyć; zerwał się, rozglądając się podejrzliwie. Rozległ się lekki zgrzyt, a potem łoskot, jakby wiosło osunęło się na dno czółna. Widocznie ktoś wylądował. Dein nabrał w garść chróstu i trzymał nad ogniskiem, nie odwracając oczu od ścieżki. Zamajaczyło coś wśród zarośli; z cienia wyłoniła się Nina i zdawała się płynąć ku niemu w bladym świetle. Serce skoczyło mu w piersi i zastygło na chwilę, a potem jęło miotać się w szalonych rzutach. Upuścił chróst na żarzące się węgle. Miał wrażenie, że krzyczy jej imię, że rzuca się ku niej — lecz nie wyrzekł ani słowa i nie poruszył się wcale. Stał, jak posąg z brązu, milczący

i nieruchomy w świetle spływającym mu na barki, tylko usta jego chwyciły gorączkowo powietrze; zdawało się, że nadmiar szczęścia pozbawił go zmysłów. Nina zbliżyła się szybko i nagłym ruchem rzuciła mu się na szyję, jakby padając prosto w jego ramiona z jakiejś niebezpiecznej wyżyny. Niebieskie błyski rozpełzły się po stosie suchych gałęzi; trzask odżywającego ognia był jedynym dźwiękiem wśród skupionej ciszy ich spotkania. Wtem płomień ogarnął cały stos i strzelił aż ponad ich głowy; w blasku tym ujrzeli nawzajem swoje oczy.

Milczeli oboje. Dein przychodził z wolna do siebie. Lekki dreszcz przebiegł od stóp do głów jego zdrętwiałe ciało i zatrzymał się na wargach. Nina odchyliła głowę, topiąc w jego oczach owo bezdenne spojrzenie, które stanowi najgroźniejszą broń kobiety. Bardziej jest przejmujące od najbliższego zespolenia, a niebezpieczniejsze niż pchnięcie sztyletem. Potrafi również wywlec duszę z ciała, lecz pozostawia ciało żywe, choć bezsilne i rzuca je na pastwę kapryśnych wybuchów namiętności i żądz. Takie spojrzenie pochłania całe jestestwo i przenika w najtajniejsze zakątki istoty; przynosi druzgocącą klęskę, a zarazem obdarza porywem triumfu, jak po odniesionem zwycięstwie. Jednakże ma znaczenie dla syna lasów i mórz i dla tego, który się zapuszcza w bezdroża niebezpieczniejsze po stokroć — w labirynt miasta. Mężczyzna, który uczuł w piersi nadludzki zachwyty, zbudzony tem spojrzeniem, staje się igraszką chwili bieżącej, co niesie mu rajską szczęśliwość, zapomina o dniu wczorajszym, nabrzmiałym cierpieniem i nie dba o jutro, skąd grozi zagłada: pragnie żyć na wieki we władzy tego wzroku. Jest to spojrzenie kobiety, która ulega miłości.

Zrozumiał. Prysły niewidzialne więzy: padł do jej stóp z krzykiem szczęścia. Objął jej kolana i ukrył głowę w fał-

dach sukni, szepcząc bezładne słowa wdzięczności i uwielbienia. Nigdy jeszcze nie uczuł takiego porywu dumy, jak u stóp tej kobiety, złączonej węzłami krwi z jego wrogami. Nina zamyśliła się głęboko, a palce jej błędziły po włosach Deina w nieświadomej pieśczoicie. Stało się. Matka jej miała słuszność. Ten człowiek jest jej niewolnikiem. Spojrzała na postać klęczącą u swych kolan i uczuła niezmierną, tkliwą litość dla tego męża, którego nawet w myślach zwała władcą życia. Podniosła głowę i patrzyła smutno na południowe niebo, rozpięte nad ścieżką ich wspólnego życia — jej i tego człowieka u jej stóp. Czyż nie powiedział, że ona jest jego światłem? Będzie jego światłem i jego wiedzą, jego wielkością i jego siłą; a nadewszystko — w tajemnicy przed całym światem — stanie się nazawsze jedyną, wyłączną jego słabością. Prawdziwa kobieta! We wzniosłej dumie niewieściej pragnęła już stworzyć bóstwo z gliny, rzuconej do swych stóp. Bóstwo, któremu wszyscy się pokłonią. Słodko jej było widzieć go u swych kolan i czuć, jak drży przy najśłabszem dotknięciu lekkich palców. Oczy jej patrzyły wciąż w południowe gwiazdy, a na usta spłynął odblask nikłego uśmiechu. Któżby go zgłębił w niepewnym świetle ogniska? Mógł to być uśmiech triumfu, albo świadomej siebie potęgi, albo tkliwego współczucia — a może i miłości.

Przemówiła do niego łagodnie; powstał i otoczył ją ramieniem ruchem władcy, biorącego swój skarb w posiadanie. Przyłgnęła do jego boku w poczuciu niezmiernego bezpieczeństwa, gotowa bez cienia trwogi rzucić wyzwanie całemu światu. Dein należał do niej ze wszystkim, co było w nim dobrego i złego. Jego siła i odwaga, zuchwałość i bezwzględność, jego prosta wiedza i dzika przebiegłość — wszystko było jej własnością. Minęli czerwony krąg ognia, wstępując w srebrny odmęt księżycowych promieni. Gdy

schylił ku niej głowę, ujrzała w jego oczach upojenie szczęsne bez miary od zetknięcia z wiotką postacią, przytuloną do jego boku. Kołysząc się gętko i rytmicznie, szli przez oświetloną polankę ku mrocznej ścianie lasu, który stał na straży ich szczęścia w uroczystym milczeniu. Postacie ich rozplynęły się w grze światła i cieni u stóp wielkich drzew; szept tkliwych słów unosił się jeszcze nad pustą polanką, lecz przycichł i ustał niebawem. Westchnienie pełne niezmiernego smutku przewiało nad lasami w ostatnim wysiłku mrącego powiewu. Zapadła głucha cisza. Ziemia i niebo skupiły się nagle w ponurej zadumie nad ludzką miłością i ludzkim zaślepieniem.

Wrócili do ogniska wolnym krokiem. Dein usiał dla Niny siedzenie z suchych gałęzi i rzucił się do jej stóp; złożywszy głowę na jej kolanach, oddał się całej rozkoszy mijających chwil. Głosy obojga wznosiły się i opadały, tchnąc ożywieniem lub tkliwością. Mówili o swej miłości i o wspólnym życiu. Nina wtrąciła niekiedy kilka zręcznych słów, które kierowały myślami Deina, a z jego ust płynęły potokiem wyrazy namiętne lub tklive, poważne lub groźne, zależnie od wywołanego przez nią nastroju. Mówił o swej rodzimej wyspie, gdzie nieznanne są ponure lasy i błotniste wybrzeża. Opowiadał o polach spadających tarasami, o szemrzących, jasnych siklawach, które błyszczą na zboczach wielkich gór i niosą krainie życie, a radość jej mieszkańcom. I mówił także o samotnym szczycie, górującym nad pierścieniem z drzew, szczycie, co zna tajniki przelotnych chmur i jest siedliskiem ducha jego rasy — geniusza i opiekuna rodu. Mówił o przestrzennych widnokrzęgach, kędy szaleją dzikie wichry, wyjąc wysoko nad szczytami ognistych gór. Opowiadał o swoich przodkach, co zdobyli przed wiekami wyspę, to przyszłe jego dziedzictwo.

A gdy Nina pochyliła się nad nim zasłuchana, musnął ręką bogate zwoje jej włosów i zapragnął nagle mówić o morzu, co tak mu jest drogie; o nieustannym jego szumie, w który wstuchiwał się od dziecka, pragnąc przeniknąć tajne jego znaczenie, nie zgłębione dotąd przez żadnego człowieka; o czarownem jego lśnieniu; o napaściach bezrozumnej, kapryśnej wściekłości; o wieczystej zmiennej powierzchni, co nęci zawsze jednakowo i o przepastnych głębiach, zimnych i okrutnych, bogatych w wiedzę o zniweczonem życiu. Opowiadał, jak morze rzuca na ludzi czar i przykuwa ich do siebie, a potem pochłania wiernych niewolników, bez względu na ich oddanie, nie znośząc lęku przed swoją tajemnicą, której nie zdradzi nigdy przed nikim, nawet przed tymi, co je najbardziej ukochali. W miarę jak mówił, Nina spuszczała głowę coraz niżej, aż dotknęła prawie twarzą jego twarzy. Włosy jej przesłoniły mu oczy, oddech muskał skronie, a ramiona oplotły ciało. Mimo tak ścisłego zespolenia, odgadła raczej niż usłyszała ostatnie jego słowa, co po krótkiej pauzie spłynęły cichutkim szeptem i rozwiały się w głębokiem milczeniu: „Widzisz, Nino, morze podobne jest sercu kobiety”.

Nagły pocałunek zamknął mu wargi. Odrzekła spokojnie:

— Władco mojego życia! morze dochowuje wierności tym, co nie znają trwogi.

Przędza włóknistych chmur rozsunęła się nad nimi, ni to olbrzymia pajęczyna, rozpięta pod gwiazdami. Niebo omroczyło się zapowiedzią nadciągającej burzy. Z niewidzialnych pagórków stoczył się pierwszy, oddalony łoskot grzmotu i tłukł się między pasmami wzgórz, aż zapadł wreszcie w lasy nad rzeką. Podnieśli się oboje; Dein spojrział niespokojnie na niebo.

— Babalaczi powinien tu już być — zauważył. — Mi-
nęło więcej niż pół nocy. Czeka nas długa droga, a lot kuli
szybszy jest od najściglejszego czółna.

— Będzie tu, nim księżyc skryje się za chmurami —
rzekła Nina. — O, plusk wody — słyszysz?

— To aligator — odparł Dein, spojrzawszy niedbale
w stronę zatoki. — Im ciemniejsza noc, tem krótsza podróż
przed nami; popłyniemy wtedy z głównym prądem. Ale jeśli
będzie jasno, nawet nie jaśniej niż teraz, trzeba będzie prze-
mykać się drobnymi przesmykami i woda nie przyjdzie z po-
mocą naszym wiosłom.

— Deinie — przerwała Nina — to nie jest aligator.
Słyszę szelest kroków na wybrzeżu.

Dein nasłuchiwał przez chwilę.

— Tak. To nie może być Babalaczi; on miał przyje-
chać otwarcie, w wielkiej łodzi wojennej, a ci przybysze nie
chcą widać robić hałasu. Widzę już — dodał prędko. — To
tylko jeden człowiek. Stań za mną, Nino. Jeśli to przyjaciel,
powitamy go z radością, jeśli wróg — zobaczysz, jak będzie
umierał.

Położył rękę na krissie i czekał na nieoczekiwanego
gościa. Ogień przygasł. Drobne chmurki, zwiastunki burzy,
przelatywały chybkiem korowodem przed tarczą księżycą;
lotne ich cienie powlekały mrokiem polankę. Dein uczył nie-
pokój na widok wysokiej postaci, zbliżającej się spokojnym,
ciężkim krokiem. „Stój!“ krzyknął. Człowiek zatrzymał się
w pewnem oddaleniu; Dein czekał na jego odezwanie się,
lecz słyszał tylko głęboki oddech. Przez rozdarcie w lecącej
chmurze przelotna jasność spłynęła na polankę; spostrzegł
nagle wyciągniętą ku sobie rękę z czemś błyszczącym i usły-
szał krzyk Niny: „Ojczel!“ Dziewczyna znalazła się w mgnie-
niu oka między Deinem i rewolwerem Almayera. Gwałto-

wny jej okrzyk zbudził echa drzemiących lasów. Wszyscy troje zastygli w milczeniu; zdawało się, że powstrzymują wybuch swych uczuć aż do chwili, gdy cisza nastanie. Na widok Niny Almayer opuścił rękę i postąpił krok naprzód. Dein łagodnie usunął Ninę na bok.

— Czy jestem dzikim zwierzem, że usiłujesz zabić mnie znieścacka i w ciemności, tuanie Almayer? — rzekł, przerywając naprężone milczenie. — Dorzuć chróstu do ognia — ciągnął dalej, zwracając się do Niny — a ja będę pilnował mego białego przyjaciela, aby nie wyrządził krzywdy ani mnie, ani tobie — o rozkoszy mego serca!

Almayer zgrzytnął zębami i podniósł znów ramię. Błyskawicznym skokiem Dein znalazł się przy nim; zawiązała się krótka walka, rewolwer wypalił nieszkodliwie, aż wreszcie, wyrwany z ręki Almayera, zawirował w powietrzu i padł w krzaki. Obaj mężczyźni stali obok siebie, ciężko dysząc. Podsycony ogień rzucał niepewny krąg blasku i oświetlał przerażoną twarz Niny, która patrzyła na nich z wyciągniętymi rękoma.

— Deinnie! — krzyknęła ostrzegawczo — Deinnie!

Uspokoił ją skinieniem i zwrócił się z dwornością do Almayera.

— Możemy teraz porozmawiać, tuanie. Łatwo zadać śmierć, ale czy potrafisz przyzwać z powrotem życie? Mogłeś ją zranić — ciągnął, wskazując na Ninę. — Ręka ci drżała; nie bałem się o siebie.

— Nino! — krzyknął Almayer — chodź tu natychmiast! Co znaczy ten nagły obłęd? Co cię opętało? Chodź do ojca — postaramy się zapomnieć o tej ohydnej zmorze!

Otworzył ramiona, pewien, że przycisnie ją natychmiast do serca. Nie poruszyła się wcale. Wówczas zrozumiał, że nie zechce go usłuchać; poczuł śmiertelny chłód

w sercu i ścisnął dłońmi czoło w niemej rozpacz. Dein wzięła Ninę za ramię i powiodł ją do ojca.

— Przemów w języku jego plemienia — rzekł do niej. — On rozpacza — i któżby nie rozpaczał, tracąc ciebie, moja perło! To już ostatnie słowa, które możesz do niego powiedzieć. Głos twój słodkim być musi i dla niego, — ale dla mnie jest wszystkim.

Puścił ją, odstąpił za krąg światła i zatrzymał się w mroku, przypatrując się obojgu ze spokojnem zainteresowaniem. Daleka błyskawica zapaliła chmury nad ich głowami; rozległ się stłumiony łoskot grzmotu i zlał się z głosem Almayera, który wreszcie przemówił.

— Czy ty wiesz, co robisz? Czy wiesz, co cię czeka, jeśli pójdziesz za tym człowiekiem? Nie masz nad sobą litości! Będiesz z początku jego zabawką, a potem wzgardzoną niewolnicą, popychadłem, igraszką każdej nowej fantazji tego człowieka!

Przerwała mu ruchem ręki i odwróciła zlekka głowę, pytając:

— Słyszysz, Deinie! czy to prawda?

— Na wszystkie bogi — zabrzmiała z mroku spokojna odpowiedź, — na ziemię i niebo, na moją i na twoją głowę przysięgam: to jest kłamstwo białego człowieka. Złożyłem duszę na wieki w twoje dłonie; oddycham twojem tchnieniem, patrzę twojemi oczami, myślę twojemi myślami i biorę cię w serce na zawsze.

— Złodzieju! — krzyknął rozjątrzony Almayer.

Głęboka cisza zapadła po tym wybuchu; wkrótce głos Deina rozległ się znowu.

— Nie, tuanie — odrzekł łagodnie — to także nieprawda. Dziewczyna jest tu z własnej woli. Ja tylko okazałem jej swoją miłość, jak przystoi mężczyźnie; usłyszała krzyk

mego serca i przyszła. Okup za nią oddałem kobiecie, którą nazywasz żoną.

Almayer jęknął w ostatecznej rozpacz i wstydzie. Nina położyła mu lekko rękę na ramieniu; dotknięcie to, słabe jak otarcie się spadającego liścia, zdało się nieść mu ukojenie. Zaczął prędko mówić, tym razem po angielsku.

— Powiedz, co oni ci zadali oboje, twoja matka i ten człowiek? Co cię przywiodło do oddania się temu dzikiemu? Bo to jest dziki. Między nim a tobą jest przepaść, której nic nie zapełni. Widzę w twoich oczach nieprzytomny wyraz człowieka, co w chwili szału popełnia samobójstwo. Jesteś szalona! Nie śmieć się — rozdierasz mi serce. Nie cierpiałbym tyle, gdybyś tonęła w moich oczach bez możliwości ratunku. Czy zapomniałaś wszystko, czego cię uczyli przez tyle lat?

— Nie — przerwała — pamiętam dobrze. — Pamiętam także, jak się skończyła moja nauka. Wzgarda za wzgardę, poniżenie za poniżenie, nienawiść za nienawiść. Nie należę do twojej rasy. Między twoim narodem i mną jest także przepaść, której nic nie zapełni. Pytasz, czemu odchodzę, a ja się ciebie pytam, czemu mam pozostać?

Zachwiał się, jak od policzka, lecz podtrzymała go, chwyciwszy za ramię.

— Czemu masz pozostać! — powtórzył z wolna, jakby w olśnieniu i urwał, zdumiony ogromem swego nieszczęścia.

— Powiedziałaś mi wczoraj, — ciągnęła — że nie umiem ciebie zrozumieć, że nie widzę twojej miłości; to jest prawda. I jakże ma być inaczej? Niema na świecie dwóch istot rozumiejących się nawzajem; rozumieją tylko swoje słowa. Chciałaś, abym żyła twojemi marzeniami, abym zatopiła się w twoich wizjach — wizjach życia wśród białych twarzy, wśród ludzi, którzy odepchnęli mnie z gniewną po-

gardą. Opowiadałeś o czekającym nas szczęściu, — a ja wsłuchiwałam się w głos własnej duszy. Nagle zjawił się ten człowiek i wszystko naraz ucichło; słyszałam tylko szept miłości. Nazywasz go dzikim! a jak nazwiesz moją matkę a twoją żonę?

— Nino! — krzyknął Almayer — nie patrz tak na mnie!

Spuściła natychmiast oczy, lecz ciągnęła dalej, zniżwszy głos prawie do szeptu.

— Zczasem nasze głosy zlały się w słodką harmonję, dostępną tylko nam dwojgu. Mówiłeś wtedy o złocie, ale uszy nasze były pełne śpiewu miłości i nie mogliśmy ciebie zrozumieć. Przekonałam się, że widzimy wszystko jednakowo; że on widzi to, czego prócz mnie i jego nikt spostrzec nie jest w stanie. Znaleźliśmy się w kraju, dokąd nikt nie mógł za nami podążyć, a ty najmniej ze wszystkich. Wtedy dopiero zaczęło się dla mnie życie.

Zatrzymała się. Almayer odetchnął głęboko. Z oczami wbitemi wciąż w ziemię zaczęła mówić na nowo.

— Ja chcę żyć! chcę pójść za nim. Biali ludzie odepchnęli mnie z pogardą; jestem teraz Malajką! Wziął mnie w ramiona i położył mi do stóp swoje życie. Mężny jest i stanie się potężnym władcą. Trzymam w ręku jego męstwo i jego siłę i uczynię go wielkim. Imię jego będzie głośno rozbrzmiewać, gdy oba nasze ciała w proch się już rozsypią. Kocham cię tak jak i dawniej, ale nie opuszczę go nigdy, bo żyć bez niego nie mogę.

— Jeśli zrozumiał, co mówisz — odrzekł pogardliwie Almayer — musi się czuć niezmiernie zaszczyconym. Potrzebujesz go dla zaspokojenia niezrozumiałej jakiejś ambicji. Dostyc tego. Jeżeli nie zejdziesz natychmiast do zatoki, gdzie Ali czeka w łódce, każę Alemu wrócić do osady

i sprowadzić tu Holendrów. Nie możesz uciec, puściłem z prądem twoje czółno. Jeśli Holendrzy złapią twojego bohatera, powieszą go bez wahania. A teraz chodź!

Zbliżył się i położył rękę na jej ramieniu, wskazując ścieżkę, wiodącą ku rzece.

— Strzeż się! — krzyknął Dein. — Ta kobieta należy do mnie!

Nina wyrwała się i spojrzała prosto w gniewną twarz Almayera.

— Nie pójdę! — rzekła z rozpacziwą energją. — Jeśli on zginie, umrę z nim razem.

— Ty nie umrzesz! — odparł pogardliwie Almayer. — Będziesz żyła życiem pełnem kłamstw i zawodów, póki nie zjawi się inny jakiś włóczęga i nie zaśpiewa ci — jak to powiedziałaś? — pieśni miłości! No, decyduj się prędko.

Czekał przez chwilę, poczem spytał z naciskiem:

— Czy mam zawołać Alego?

— Wołaj go! — odrzekła po malajsku, — ty, co nie umiesz być wiernym nawet własnym rodakom. Dopiero co sprzedawałeś proch na ich zagładę, a teraz chcesz wydać im człowieka, którego wczoraj zwałeś przyjacielem. Deinie, — zwróciła się do postaci, stojącej nieruchomo w mroku — przynoszę ci śmierć zamiast życia — on cię wyda, jeżeli nie porzucę cię na zawsze!

Dein zbliżył się, objął Ninę za szyję i szepnął jej do ucha:

— Mogę zabić go tak jak stoi, nim zdoła wymówić słowo. Od ciebie to tylko zależy. Babalaczi musi już być blisko.

Wyprostował się, wypuścił ją z ramion i zwrócił się w stronę Almayera, który patrzył w nich z wyrazem skupionej wściekłości.

— Nie! — krzyknęła dziko, czepiając się z trwogą Deina. — Zabij mnie raczej! może ci wtedy daruje. Nie znasz serca białego człowieka. On woli ujrzeć mnie martwą, niż oddać w twoje ramiona. Przebac mi, przebac twój niewolnicy, ale nie zabijaj go! — Upadła mu do nóg, łkając gwałtownie i powtarzając ciągle: „Zabij mnie! zabij!”

— Chcę cię mieć żywą — rzekł po malajsku Almayer z ponurym spokojem. — Albo pójdziesz za mną, albo on będzie wisiał. Słyszysz, co mówię?

Dein odepchnął Ninę i nagłym ruchem uderzył w pierś Almayera ręką krysą, zwracając ostrze ku sobie.

— Hai, popatrz tylko! łatwo mi było obrócić ostrze w stronę przeciwną — rzekł równym, spokojnym głosem. — Odejdź, tuanie Putih — dodał z godnością. — Daruję ci twoje życie, moje życie i jej życie. Jestem niewolnikiem tej kobiety, a ona tego żąda.

Niebo zaciągnęło się szczerlnie mrokiem. Szczyty drzew tonęły w gęstwie chmur, wiszących nisko nad lasem, polanką i rzeką. Kontury zanikły w głębokiej czerni, co pochłonęła, zda się, wszystko krom przestrzeni. Tylko ogień świecił jak gwiazda, o której zapomniano w zagładzie wszechrzeczy. W ciszy rozlegały się łkania Niny; Dein trzymał ją w ramionach, klęcząc obok ogniska. Almayer patrzył na nich w ponurej zadumie. Gdy otwierał usta, aby coś powiedzieć, padł ostrzegawczy okrzyk od strony rzeki; po chwili usłyszeli plusk wioseł i gwar głosów.

— Babalaczi! — krzyknął Dein i zerwał się, podnosząc Ninę.

— Ada! ada! — zabrzmiał w odpowiedzi głos Babalaczego, który wbiegł na ścieżkę i stanął wśród nich, zgorączkowany i bez tchu. — Leć do mego czółna — rzekł do

Deina, nie zwracając żadnej uwagi na Almayera.— Prędko! jedziemy natychmiast. Ta kobieta wszystko im powiedziała.

— Jaka kobieta? — spytał Dein, spoglądając na Ninę. W tej chwili istniała dla niego jedna, jedyna kobieta na całym świecie.

— Ta suka z białymi zębami, po siedemkroć przeklęta niewolnica Bulangiego. Darła się u wrót Abdulli, aż cała osada zerwała się na nogi. Biali oficerowie jadą tutaj, prowadzeni przez nią i przez Reszyda. Jeśli chcesz żyć, nie przypatruj mi się, tylko uciekaj.

— Skąd wiesz o tem? — spytał Almayer.

— Och, tuanie, na cóż ci ta wiadomość! Jedno tylko mam oko, lecz dojrzałem światło w kampongu Abdulli, gdy przejeżdżaliśmy tamtędy. I uszy mam dobre; leżeliśmy tuż pod brzegiem i usłyszałem, jak słano gońców do białych ludzi.

— Pojedziesz, ale bez tej kobiety, która jest moją córką — rzekł Almayer do Deina. Babalaczi tupał z niecierpliwości, powtarzając: „Jedź ze mną! jedź natychmiast!”.

— Nie — odrzekł spokojnie Dein — nie pojedę. Nikomu na świecie nie oddam tej kobiety.

— Więc zabij mnie i uchodź! — wyszeptała Nina wśród łkań.

Przytulił ją i spojrzał tkliwie w jej twarz, szepcząc: „Nie rozstaniemy się nigdy!”.

— Ja tu siedzieć nie myślę — oświadczył gniewnie Babalaczi. — To szaleństwo. Żadna kobieta nie jest warta życia mężczyzny. Stary jestem i wiem to dobrze.

Podniósł laskę, zabierając się do odejścia i spojrzał raz jeszcze pytająco na Deina, lecz Dein wtulił twarz

w czarne sploty Niny, nie dostrzegł więc tego ostatniego, nieme go wezwania.

Babalaczi znikł w ciemnościach i wkrótce usłyszeli jak łódź wojenna oddala się z rytmicznym pluskiem. Jednocześnie nadszedł Ali od strony rzeki, niosąc dwa wiosła na ramieniu.

— Tuanie Almayer! ukryłem nasze czółno w zatoce, — rzekł — w gęstych zaroślach, tam, gdzie las schodzi aż do wody. Słyszałem od wiosłarzy Babalacznego, że biali ludzie tu jadą.

— Czekaj tam na mnie i zostaw łódkę w ukryciu — odrzekł Almayer.

Nasłuchiwał przez chwilę jeszcze kroków Alego, potem zwrócił się do Niny:

— Nino — rzekł smutnie — czy nie ulitujesz się nade mną?

Nie było odpowiedzi. Nie odwróciła nawet głowy przytulonej do piersi Deina.

Poruszył się, jakby chciał odejść i zatrzymał się znowu. W słabym blasku dopalającego się ogniska widział nieruchome ich postacie. Długie, czarne włosy Niny spływały po białej sukni; nad jej głową spoglądała ku niemu spokojna twarz Deina.

— Nie mogę — szepnął Almayer i zamilkł. Po długiej pauzie zaczął mówić jeszcze ciszej: „To byłaby za wielka hańba. Jestem przecież białym człowiekiem!” Poczuli się doszczętnie złamanym i szeptał dalej przez łyż: „Jestem białym człowiekiem i pochodzę z dobrej rodziny. Z bardzo dobrej rodziny” — powtórzył, gorzko płacząc. „To byłaby hańba... wszędzie po wyspach... jedyny biały człowiek na całym wschodnim wybrzeżu... Nie, to się stać nie może. Biali ludzie nie zobaczą mojej córki z tym Malajem... Mojej córki!” krzyknął głośno z rozpaczą.

Po chwili odzyskał panowanie nad sobą i rzekł wyraźnie:

— Nie przebaczę ci nigdy, Nino — nigdy! Gdybyś teraz do mnie wróciła, pamięć tej nocy zatrułaby mi całe życie. Postaram się zapomnieć. Nie mam córki. Była w moim domu dziewczyna — metyska, a teraz właśnie odchodzi na zawsze. Deinie — czy jak się tam nazywasz — zabieram ciebie i tę kobietę na wyspę przy ujściu rzeki. Chodźcie za mną.

Poszedł naprzód wybrzeżem w stronę lasu. Ali odpowiedział okrzykiem na jego wołanie. Przedarłszy się przez zwarty gąszcz, wsiedli do czółna, ukrytego pod nawisłymi gałęzmi. Dein ułożył Ninę na dnie i siadł, trzymając jej głowę na kolanach. Almayer i Ali wzięli się do wiosel. Gdy już mieli ruszać, rozległ się ostrzegawczy syk Alego; wyteżyli słuch wszyscy troje.

Wśród wielkiej ciszy, poprzedzającej burzę, usłyszeli zgrzyt wiosel, obracających się rytmicznie w łóżykach. Odgłos ów zbliżał się coraz bardziej; wreszcie Dein ujrzał przez gałęzie mętny zarys wielkiej, białej łodzi. Kobięcy głos odezwał się pocichu:

— Biali ludzie, możecie tu wylądować. Trochę wyżej — o tam.

Łódź przepływała tak blisko, że końce długich wiosel zawadziły prawie o czółno.

— Zatrzymać się. A teraz lądujcie! On jest sam jeden i bezbronny — rozległ się spokojny rozkaz w języku holenderskim.

Ktoś drugi szepnął: „Zdaje mi się, że widzę błysk ognia przez zarośla”. I łódź minęła ich, wchłonięta zaraz przez ciemność.

— A teraz — szepnął Ali — do wiosel! Odbijamy prędko!

Czołenko znalazło się wnet na środku rzeki. W chwili gdy skoczyło naprzód pod energicznym naporem wiosła, usłyszeli gniewny okrzyk:

— Niema go przy ogniu! rozbiegnąć się i szukać wszędzie!

Niebieskie światełka zabłysły w różnych stronach polanki. Nagle rozległ się ostry krzyk kobiety pełen bólu i wściekłości:

— Zapóźno! o głupi biali ludzie, niema go! uciekł!

ROZDZIAŁ XII

— Oto umówione miejsce — rzekł Dein, wskazując wiosłem na wysepkę, oddaloną jeszcze o jaki kilometr. — Oto miejsce, o którym mówił Babalaczi. Gdy słońce znajdzie się w środku nieba, przyjedzie po mnie łódka. Poczekamy tu na nią.

Almayer, który siedział u steru, skinął potakująco głową i lekkim uderzeniem wiosła skierował czółno w stronę wysepki.

Znajdowali się właśnie u południowego ujścia Pantai. Za nimi rozwijała się daleka perspektywa lśniących wód, ujętych w dwie ściany zwartej zieleni, które biegły w górę na spotkanie i zlewały się hen, w oddali. Słońce wschodziło nad spokojną tonią cieśniny, znacząc swą drogę promienną smugą. Blask ślizgał się po falach i mknął rozległym obszarem rzeki, niby ściągły goniec, niosący światło i życie ponurym lasom wybrzeża. Promiennym szlakiem sunęło czarne czółenko, dążąc ku wysepce, co leżała skąpana w słońcu, w pierścieniu żółtych piasków, jak złota tarcza, wkuta w polerowną stal gładkiego morza. Ku pół-

nocy i południowi tkwiły inne wysepki, radosne w przepychu swych barw zielonych i żółtych, a na głównym lądzie mroczny wał krzewów mangrowji zlewał się z czerwona-wemi skałami przylądka Tandżong Mirrah, który wstępował daleko w morze, stromy i nagi w blasku wczesnego słońca.

Dobili do brzegu; dno czółenka zgrzytnęło o piasek. Ali wyskoczył i przytrzymał łódkę, a Dein wysiadł, niosąc ostrożnie Ninę, wyczerpaną wrażeniami i długą, nocną podróżą. Almayer wyszedł z czółna ostatni i wciągnął je na brzeg wspólnie z Alim. Malaj położył się w cieniu i zasnął natychmiast, zmęczony długim wiosłowaniem, zaś Almayer siadł na krawędzi czółna, skrzyżował ręce na piersiach i wpatrzył się w morze.

Dein złożył Ninę w cieniu krzewów, rosnących w środku wysepki, i rzucił się na ziemię obok niej. Patrzył w skupionem milczeniu na łyzy, co wymykały się z pod jej przymkniętych powiek i ginęły w drobnym piasku, na którym leżeli oboje twarzą w twarz. łyzy jej i smutek zastanawiały go, jak głęboka, niepokojąca tajemnica. Czemu się martwi teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło? Nie wątpił o jej miłości, jak nie mógł wątpić i o fakcie własnego istnienia — a jednak, gdy tak leżał i patrzył żarliwie w jej twarz, rozpamiętując jej łyzy, śledząc oddech spływający z rozchylnych warg — czuł z niepokojem, że jest w niej coś, czego on zrozumieć nie może. Nic dziwnego: wszak ona posiada wiedzę istot doskonałych. Westchnął. Poczul, że przedziela ich niewidzialna jakaś zaporą, która mu nie pozwoli zbliżyć się do niej tak, jakby tego pragnął. Żaden poryw miłości, żaden wysiłek — ani tęsknota, ani nawet wspólne, długie życie — nic nie zdoła usunąć tej nieuchwytniej przegrody. Z przerażeniem i wielką dumą stwierdził, że przyczyną tego

jest niedościgła jej doskonałość. Ta kobieta należy do niego, a jednak przebywa jak gdyby w innym świecie. Jego jest! jego! — Radosny triumf go przeniknął, a zarazem i ból z powodu jej łez.

Z nieśmiałą czcią ujął promień jej włosów i w przy-
pływie niezgrabnej tkliwości usiłował otrzeć łzy błyszczące
na rzęsach. Przelotny uśmiech go nagroził, rozjaśniając
jej twarz na mgnienie, ale wkrótce łzy posypały się jeszcze
obficie. Nie mógł już znieść tego dłużej. Powstał i zbliżył
się do Almayera, który siedział wciąż na krawędzi czółna,
pochłonięty widokiem morza. Nie widział go już bardzo
dawno — tego morza, co wszędzie prowadzi, co przynosi
wszystko na swych falach a tak wiele zabiera. Zapomniał
prawie, czemu się tu znajduje i w sennem rozmarzeniu wi-
dział całe swoje życie na gładkiej, bezkresnej przestrzeni,
mieniącej się blaskiem przed jego oczami.

Wstrząsnęło nim dotknięcie ręki Deina i przyzwało
z dalekiej, zaiste, krainy. Odwrócił się, lecz oczy jego zda-
wały się patrzeć nie na samego Deina, a raczej na miejsce,
gdzie stoi. Dein uczył niepokój pod tem nieświadomem
spojrzeniem.

— Co takiego? — rzekł Almayer.

— Ona płacze — szepnął Dein łagodnie.

— Płacze — dlaczego? — spytał obojętnie Almayer.

— Przyszedłem ciebie zapytać. Moja rani uśmiecha
się, gdy patrzy na kochanego człowieka. To biała kobieta
płacze w niej teraz. Powinieneś wiedzieć dlaczego.

Almayer wzruszył ramionami i odwrócił się znów ku
morzu.

— Chodź, tuanie Putih — nalegał Dein — chodź do
niej. Jej łzy straszniejsze są dla mnie niż gniew bogów.

— Doprawdy? Będziesz je nieraz oglądał. Powiedziała mi, że żyć bez ciebie nie może, — ciągnął dalej bez cienia wyrazu w twarzy — więc przystoi, abyś prędko do niej wrócił. Nie boisz się, że przez ten czas umrze?

Wybuchnął głośnym, przykrym śmiechem. Dein spojrział na niego z pewną obawą. Biały podniósł się jednak i szedł zwolna ku Ninie, spoglądając na słońce.

— Więc pojedziecie, gdy słońce znajdzie się nad nami? — zapytał.

— Tak, tuanie — odrzekł Dein.

— Niedługo będę czekał — mruknął Almayer. — Niezmiernie to dla mnie ważne, abym widział wasz odjazd. Was obojga. To właśnie jest dla mnie najważniejsze — powtórzył i przystanął, patrząc uporczywie na Deina.

Zbliżył się wreszcie do Niny, a Dein pozostał w tyle. Stał przy niej czas jakiś i spoglądał na nią z góry. Nie otworzyła oczu, lecz, posłyszawszy kroki, szepnęła cicho: „Deinie!”

Almayer zawahał się chwilę i osunął się w piasek obok niej. Nie słysząc odpowiedzi, nie czując dotknięcia ręki Deina, otworzyła oczy i — zobaczywszy ojca — siadła nagle w przerażeniu.

— To ty, ojcie! — szepnęła cicho, zawarłszy w tych słowach cały swój żal, trwogę i budzącą się nadzieję.

— Nie przebaczę ci nigdy, Nino — rzekł Almayer obojętnym głosem. — Poszarpałaś mi serce, gdy śniłem o twojem szczęściu. Oszukałaś mnie. Twoje oczy, które były dla mnie samą prawdą, kłamały mi każdym spojrzeniem — od jak dawna? sama wiesz o tem najlepiej. Głaskałaś moją twarz, licząc chwile dzielące cię od zachodu, który był hasłem twojego spotkania z tym człowiekiem.

Urwał. Siedzieli w milczeniu obok siebie, wpatrzeni w bezkres morza. Słowa ojca osuszyły powieki Niny; stwardniał jej wzrok, utkwiony w nieobjętą przestrzeń lazurową, przejrzystą, gładką i spokojną jak niebo. Almayer patrzył weń także, lecz z rysów jego znikł wszelki wyraz i życie w oczach zagasło. Jego twarz — niby pusta karta — próżna była wzruszenia, czucia, myśli, a nawet i świadomości. Ręka losu starła zeń wszelką namiętność, i ból, i gniew, i nadzieję, jak gdyby po ciosie ostatnim wszystko się już wypełniło, jak gdyby wspomnienia nawet stały się czemś zbytecznym. Nieliczni ludzie, którzy widywali Almayera w tym ostatnim, krótkim okresie jego życia, byli zawsze pod wrażeniem jego twarzy, która zdawała się nie wiedzieć o niczem, co się wewnątrz niego dzieje. Podobna była białej ścianie więziennej, kryjącej grzech, żal, cierpienie i zmarnowane życie — za obojętnym chłodem wapna i kamieni.

— Co ja jestem winna? — szeptała Nina, zwracając się jak gdyby do siebie samej. — Czy mi nie wolno żyć własnym życiem, tak jak ty żyłeś swoim? Droga, na którą mnie wprowadziłeś, zamknęła się przede mną nie z mojej winy.

— Nigdy mi nic nie mówiłaś — szepnął Almayer.

— Nie pytałeś mnie nigdy — odrzekła. — Myślałam, że jesteś jak inni i nie dbasz o mnie. Cierpiałam w samotności. Jakże ci mogłam powiedzieć: spotkało mnie poniżenie dlatego, że jestem twoją córką? Przecież mnie pomścić nie mogłeś.

— A jednak myślałem tylko o tem — przerwał Almayer — i pragnąłem ci dać całe lata szczęścia za krótki okres cierpienia. Widziałem tylko jedną drogę przed nami.

— Ale to nie była moja droga — odparła. — Czy mogłeś mi dać szczęście, nie dając życia? Życia! — powtór-

rzyła z siłą, aż słowo dźwiękło i poniosło się nad falami. — A życie, to władza i miłość — dodała ciszej.

— To ten! — rzekł Almayer, wskazując na Deina, który stał tuż obok i patrzył na nich z ciekawością i zdziwieniem.

— Tak, ten! — odrzekła, spoglądając prosto w twarz ojca. Zauważyła po raz pierwszy dziwną stężalność jego rysów i przebiegł ją dreszcz trwogi.

— Udusiłbym cię prędzej własnymi rękoma — rzekł Almayer bezbarwnym głosem, który stanowił taki kontrast z rozpaczliwą goryczą jego słów, że sam się nad tem zdumiał. Zastanowiło go, kto to mógł powiedzieć; rozejrzał się wokoło, poczem wpatrzył się znów w morze.

— Mówisz tak, bo mnie nie rozumiesz — rzekła smutno. — Między tobą, a matką nie było nigdy miłości. Tęskniłam do rodzinnego domu, jak do zacisznego schronienia, a znalazłam w nim nudę, nienawiść i wzajemną pogardę. Słuchałam twoich słów i słów matki. Przekonałam się wtedy, że nie możesz mnie zrozumieć — bo przecież płynie we mnie krew tej kobiety, która jest wiecznym żalem i hańbą twojego życia. Musiałam wybierać między tobą a nią; wahałam się. Czemu byłeś taki ślepy? Czy nie widziałeś, że walczę w twoich oczach? Ale gdy on się zjawił, znikła niepewność — ogarnął mnie błękit przeczystych niebios — —

— Dokończę sam — przerwał Almayer. — Kiedy ten człowiek się zjawił, ujrzałem także słoneczny błękit niebios. Grom spadł z tego nieba; uczynił się nagle mrok i cisza — na zawsze. Nie przebaczę ci nigdy, Nino, a jutro zapomnę o tobie. Nigdy ci nie przebaczę! — dodał z uporem manjaka, a Nina słuchała go ze spuszczoną głową, jakby lękając się spojrzeć na ojca.

Wydało mu się teraz rzeczą największej wagi, aby zrozumiała, że nigdy jej nie przebaczy. Był przekonany, że wiara w nią stanowiła źródło jego nadziei, jego męstwa, gotowości do życia i walki, do zwycięstwa przez nią i dla niej. A teraz przepadła wiara, zniweczona własnymi jej rękoma — okrutnie, podstępnie, zdradliwie — w chwili największego triumfu. Z ostatecznej zagłady wszystkiego, co kochał, z chaotycznego wiru uczuć wynurzyła się jedna tylko myśl, górując nad udręką fizycznego bólu, co spowijał go od pleców do stóp, jak uderzenie biczem: myśl, aby nigdy jej nie przebaczyć. Owładnęło nim jedno, jedyne pragnienie: zapomnieć o niej. Należy przyswoić tę myśl i jej, i sobie, powtarzając ją jak najczęściej. Tak pojmował obowiązek względem siebie, swojej rasy i swoich zaszczytnych stosunków — względem całego świata, który zadrżał w posiadach, wstrząśnięty straszną katastrofą jego życia. Zdawał sobie sprawę z wszystkiego i wierzył, że jest człowiekiem silnym. Pysznił się zawsze nieugiętą swoją siłą. A jednak lęk go przejmował. Nina była dla niego wszystkim. Co się stanie, jeśli wspomnienie jej miłości naruszy niezłomną jego godność? Był przeświadczony, że Nina jest kobietą niezwykłą, że cała ukryta jego wielkość — w którą wierzył niezachwianie — wcieliła się w tę wiotką, dziewczęcą postać. Mogli dokonać razem wielkich rzeczy! A gdyby tak przycisnął ją nagle do serca, gdyby zapomniał o wstydzie, i bólu, i gniewie i — poszedł za nią? Gdyby zmienił serce — jeśli nie skórę — i stanął na straży jej życia, które płynęłoby wówczas gładko i szczęśliwie pod pieczę dwóch miłości! Serce wyrывało mu się do niej. Jeśli jej wyzna, że miłość ku niej potężniejsza jest, aniżeli..

— Nigdy ci nie przebaczę! — krzyknął i zerwał się jak oszalały, przerażony swoim marzeniem.

Po raz ostatni zdarzyło się, że podniósł głos aż do krzyku. Odtąd mówił zawsze monotonnym szeptem, podobny muzycznemu narzędziu, które wydało ostatni dźwięk pod ciosem brutalnej dłoni, co stargała wszystkie struny.

Nina powstała również i spojrzała na ojca. W gwałtownym okrzyku zdradziła się jego miłość, łagodząc cierpienie Niny. Przygarnęła do serca oplakane szczątki tego uczucia z nienasyconą chciwością kobiety, która lgnie rozpaczliwie nawet do resztek i strzępów miłości — i to wszelakiej miłości — jako do czegoś, co z prawa jej przynależy i jest tętmem jej życia. Położyła obie dłonie na ramionach Almayera i rzekła tkliwie z odcieniem żartobliwości:

— Mówisz tak, bo mnie kochasz.

Almayer zaprzeczył głową.

— Tak, kochasz mnie — powtórzyła łagodnie, a po chwili dodała: — I nie zapomnisz mnie nigdy.

Almayer zadrżał. Nie mogła mu powiedzieć nic okrutniejszego.

— Łódka płynie już po nas! — zawołał Dein, wskazując na czarną plamkę między wybrzeżem a wysepką.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę i stali w milczeniu, póki czołno nie przybiło do brzegu. Jakiś człowiek wysiadł i szedł ku nim. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu, jak gdyby się namyślał.

— Z czym przyjeżdżasz? — spytał Dein.

— Otrzymaliśmy w nocy tajny rozkaz, aby zabrać z tej wysepki mężczyznę i kobietę. Oto kobieta. Który z was jest tym mężczyzną?

— Pójdź, rozkoszy mych oczu — rzekł Dein do Niny. — Odtąd twój głos będzie pieścił już tylko moje uszy. Wyrzekłaś ostatnie słowa do tuana Putih, twego ojca. Pójdź!

Zawahała się chwilę i spojrzała na Almayera, który patrzył nieporuszenie w dal morza. Dotknęła ustami jego czoła w długim pocałunku; łza spadła mu na policzek — jej własna łza — i stoczyła się z nieruchomej twarzy.

— Do widzenia — szepnęła i stała w niepewności, aż pchnął ją nagle w ramiona Deina.

— Jeśli masz litość nade mną — szeptał jak gdyby wyuczone na pamięć zdanie — zabierz tę kobietę.

Stał wyprostowany z podniesioną głową i patrzył, jak szli wzdłuż brzegu, objawwszy się ramionami. Spojrzał na ślady ich stóp i odprowadzał wzrokiem postacie, oddalające się w surowym blasku południowego słońca, w tem potężnym, drgającym świetle, co jest jak zwycięska fanfara spiżowych trąb. Patrzył na brązowe barki mężczyzny, na czerwony sarong wokół jego bioder, na smukłą, olśniewającą białą postać, która wspierała się na nim. Patrzył na biel sukni, na bogate sploty długich, czarnych włosów. Patrzył, jak wsiadali do czółna, jak łódka stawała się coraz mniejsza — i serce szalało w nim z wściekłości, rozpacz i żalu, a rysy tchnęły spokojem: wyglądał jak posąg zapomnienia. Rwało się w nim wszystko na strzępy — lecz Ali, który się zbudził i stanął obok niego, ujrzał na jego twarzy bezmyślną obojętność, jak u ludzi, co żyją w beznadziejnym spokoju, odcięci od życia przez ślepotę.

Czółno znikło, a Almayer stał wciąż bez ruchu, wpatrzony w ślad na wodzie. Ali ocienił ręką oczy i rozglądał się ciekawie po wybrzeżu. Słońce zniżało się; powiew morski spłynął od północy i zmącił swem tchnieniem gładką tafłę wody.

— Dapat! — krzyknął wesoło Ali. — Złapał go, panie! Okręt złapał go! Nie tam! patrz w stronę Tanah Mirrah. Aha! tam! Widzisz panie? O, teraz widać! Widzisz?

Almayer patrzył w kierunku wskazanym przez Alego, ale długi czas nic nie mógł rozróżnić. Wreszcie dostrzegł trójkątną plamkę żółtego światła na czerwonym tle skał Tandżong Mirrah. Był to żagiel okrętu; zwrócony ku słońcu, odcinał się jaskrawo na ciemnej czerwieni przyładka. Żółty trójkąt pełził zwolna od skały do skały, wreszcie minął przyładek i zajaśniał przez chwilę na błękitnie morskiej dali. Okręt zwrócił się wnet ku południowi; żagiel zagaśł i statek znikł w cieniu stromego przyładka, co spoglądał cierpliwie w dal, czuwając w samotności nad pustką morza.

Almayer stał wciąż bez ruchu. Wokoło małej wysepki powietrze pełne było gwaru szmerzącej wody. Czubate, drobne falki wbiegały na brzeg śmiało i radośnie, z młodzieńczą chyżością i umierały wnet, pełne bezbronnego wdzięku, zostawiając na żółtym piasku kręty szlak przejrzystej piany. Górą żeglowały spiesznie ku południowi białe chmury, jak gdyby w pościgu za czemś. Ali był niespokojny.

— Panie — odezwał się nieśmiało — czas do domu. Długa droga przed nami. Wszystko już gotowe.

— Poczekaj — szepnął Almayer.

Teraz, gdy już odjechała, pozostawało mu jedno — zapomnieć. Miał dziwne uczucie, że musi tego dokonać systematycznie i stopniowo. Ku wielkiemu przerażeniu Alego padł na kolana i czołgał się po ziemi, zacierając starannie rękoma wszystkie ślady stóp Niny. Sypał małe pagórki z piasku, które ciągnęły się za nim aż do wody, niby rząd drobniutkich grobów. Pogrzebawszy ostatni, nikły ślad pantofelka, powstał, obrócił się ku przyładkowi, gdzie widział okręt po raz ostatni i usiłował krzyknąć w głos, że nigdy jej nie przebaczy. Ali, który śledził go niespokojnie, ujrzał, jak usta jego się poruszają, lecz nie padł z nich ani

jeden wyraz. Almayer tupnął gwałtownie o ziemię. Twardym jest człowiekiem, twardym jak skała. A niech ją! niech sobie jedzie. Nie miał nigdy córki. Zapomni o niej. Już nawet zapomina.

Ali zbliżył się znowu, nalegając, aby wyruszyli natychmiast; zgodził się tym razem i poszli obaj w stronę czółna. Almayer szedł naprzód. Mimo całej swej niezłomności wydawał się bardzo słabym i zgębionym; włókł się powoli przez piasek, a u boku jego stapał — niewidzialny — ten osobliwy szatan, którego zadaniem jest jątrzyć pamięć, aby człowiek nie mógł zapomnieć o istotnej treści życia. Szeptał Almayerowi do ucha dziecięcą gadkę z przed wielu, wielu lat. Almayer przechylił głowę i zdawał się słuchać niewidzialnego towarzysza, ale twarz jego podobna była do twarzy człowieka, który zginął od ciosu, zadanego ztyłu. Wyglądał, jak gdyby dłoń niespodzianej śmierci starła mu nagle z twarzy wszelkie uczucia i wszelki wyraz.

Spali tej nocy nad rzeką, przywiązawszy czółno do krzaków. Legli na dnie, jeden obok drugiego, w ostatecznym wyczerpaniu, co zabija głód, pragnienie i myśl wszelką, a pożąda nieprzepracie tylko głębokiego snu, w którym zatracą się chwilowo zmęczone ciała. Następnego dnia walczyli zawzięcie z prądem przez całe rano; około południa dotarli do osady i przybili wnet do pomostu Lingarda i Sp. Almayer skierował się wprost do domu, a za nim szedł Ali z wiosłami na ramieniu i rozmyślał, że chętnieby zjadł coś nie coś. Uderzył ich opustoszały wygląd dziedzińca. Ali zaglądał kolejno do domków, zamieszkałych przez służbę; wszystkie były puste. W drugim podwórzu zaległa również głucha cisza. Ognisko w szopie kuchennej wygasło i popiół zdążył już ostygnąć. Wysoki, chudy człowiek wysunął się z bananowego gaju i minął chyłkiem podwórze, spogląda-

jąc na nich przez ramię wielkimi, wystraszonemi oczami. Pewno jakiś bezpieczni włóczęga; wielu było takich w osadzie i uważali Almayera za swojego opiekuna. Włoczyli się i żerowali na jego gruntach, wiedząc, że nic im tu nie grozi, conajwyżej grad przekleństw sypnie się z ust białego, gdy wejdą mu w drogę. — Lubili Almayera i wielkie pokładali w nim zaufanie, przezywając go „głupim“ między sobą. Almayer wszedł do domu przez tylną werandę; jedynem żyjącem stworzeniem, jakie zastał, była małpka, dręczona od paru dni głodem i samotnością. Spostrzegłszy znajomą twarz, zaczęła płakać i skarżyć się w małpim języku. Almayer uspokoił ją kilku słowami i kazał Alemu narwać bananów. Po jego odejściu stanął w drzwiach frontowej werandy i patrzył na porzucane meble; wreszcie podniósł stół i usiadł na nim. Małpka spuściła się po łańcuchu ze swojej kryjówki i usadowiła się na jego ramieniu. Gdy się zjawiły banany, zabrali się razem do śniadania. Zgłodniali byli oboje; jedli chciwie i rzucali łupiny na ziemię, złączeni ufnym porozumieniem i serdeczną przyjaźnią. Ali poszedł ugotować trochę ryżu, — zrzędząc pod nosem, gdyż nie było w domu ani jednej kobiety; nie miał pojęcia, gdzie się podziały. Almayer zdawał się nie dbać o nic: skończywszy jeść, siedział wciąż na stole, machając nogami i wlepił oczy w rzekę, zatopiony w myślach.

Po jakimś czasie wstał i podszedł do drzwi pokoju, leżącego na prawo od werandy. Było to biuro: biuro Lingarda i Sp. Wchodził tam bardzo rzadko. Nie prowadził żadnych interesów i nie potrzebował już biura. Drzwi były zamknięte; stał i namyślał się, gryząc wargi, gdzie też klucz może się znajdować. Nagle przypomniał sobie: wisi na gwoździu w pokoju kobiet. Zbliżył się do wejścia, zasłoniętego czerwoną firanką; zawahał się chwilę, wreszcie pchnął

zasłone ramieniem, jakby to była jakaś ciężka zapora. Wielki czworokąt słonecznego blasku leżał na podłodze. Na lewo stała drewniana skrzynia pani Almayer, pusta, z odrzuceniem wiekiem; tuż obok błyszczały miedziane gwoździe, któremi był nabity europejski kufer Niny, tworząc na wierzchu dwie duże litery: N. A. Kilka sukien Niny wisiało na drewnianych kołkach, przybrawszy w swem opuszczeniu sztywny wygląd urażonej godności. Przypomniał sobie, że sam te kołki wystrugał i zauważył, że bardzo są porządne. Gdzież ten klucz? rozejrzał się i zobaczył, że wisi obok drzwi. Czerwony był od rdzy. Zmartwił się, lecz wnet się opamiętał i zdziwił, że go to obeszło. Cóż to szkodzi? Wkrótce nie będzie już ani klucza, ani drzwi, ani niczego. Zatrzymał się z kluczem w ręku; czy też zdaje sobie sprawę, o co mu właściwie chodzi? Wrócił na werandę i stanął w zamysleniu obok stołu. Małpka zeskoczyła z jego ramienia, chwyciła łupinę leżącą na podłodze i jęła pracowicie skubać ją na okruszyny.

— Zapomnieć! — wyszeptał Almayer. Ten wyraz poruszył w jego świadomości cały łańcuch następstw; ujrzał dokładny obraz tego, co się stanie. Wiedział już doskonale, co ma zrobić. Naprzód to, potem tamto — a potem wszystko już łatwo przyjdzie. Bardzo łatwo! Opętała go myśl, że jeśli nie zapomni przed śmiercią, będzie musiał pamiętać przez całą wieczność. Musi wyrwać z życia pewne rzeczy, zdeptać, zniweczyć, zapomnieć. Długi czas stał zatopiony w myślach i starał się przeniknąć zasadzki zdraźnej pamięci. Czuł coraz wyraźniej wiszącą nad nim grozę śmierci i wieczności. „Wieczność!” rzekł głośno. Dźwięk tego słowa wyrwał go z zadumy. Małpka drgnęła i upuściła łupinę, wykrzywiając się do niego przyjaźnie.

Zbliżył się do drzwi biura, otworzył je z niejaką trudnością i wszedł, podnosząc tuman kurzu. Otwarte księgi o podartych stronicach wały się po podłodze, inne zaś, brudne i czarne, wyglądały, jakby ich nigdy nikt nie otwierał. To księgi rachunkowe. W tych księgach zamierzał spisywać dzień po dniu swoje wzrastające bogactwa. Było to dawno! Przez wiele lat nie skreślił ani słowa na tych kartkach, pociętych czerwonymi i niebieskimi linjami. Wielkie biurko o złamanej nodze, stojące w środku pokoju, chyliło się na bok, jak kadłub okrętu, osiadłego na mieliźnie; wszystkie prawie szuflady powylatywały, wysypując stopy papieru pożółkłego od starości i brudu. Obracające się krzesło stało na swem zwykłym miejscu, lecz kiedy go dotknął, okazało się, że nie kręci się już wcale. A niech tam. Wodził zwolna oczami od przedmiotu do przedmiotu. Ileż to pochłonęło kiedyś pieniędzy! A teraz wszystkie te rzeczy — biurko, papiery, podarte książki, połamane półki — wszystko to wygląda pod grubą warstwą pyłu, jak szkielec i prochy martwego warsztatu pracy. Oto co pozostało po tylu latach trudu, walki i zniechęcenia, które tylekroć przezwyciężał. I na co to wszystko? Rozmyślał ponuro o swej przeszłości, gdy nagle usłyszał wyraźnie jasny głosik dziecięcy, szczebiocący wśród tej ruiny i spustoszenia. Wzdrygnął się z przerażeniem i gorączkowo jął zgarniać papiery rozsypane po podłodze. Połamał krzesło na kawałki, roztrzaskał szuflady o biurko i z wszystkich szczątków i rupieci ułożył wielki stos w rogu pokoju.

Wrócił prędko na werandę, trzasnąwszy drzwiami; zamknął je na klucz, wyjął go, pobiegł ku balustradzie i z rozmachem cisnął w rzekę, aż zagwizdało w powietrzu. Potem podszedł zwolna do stołu i zawołał na małpkę; odczepiwszy łańcuch, przygarnął ją do piersi i otulił kurtką.

Siadł na stole i wlepił wzrok w drzwi pokoju, z którego wyszedł przed chwilą. Nasłuchiwał bacznie. Posłyszał suchy szelest, potem ostry trzask, jak od pęknięcia suchego drzewa, wreszcie jak gdyby trzepot skrzydeł zrywającego się ptaka. Przez dziurkę od klucza jęła się wydobywać cienka struga dymu. Małpka szarpała się pod kurtką. Wpadł Ali z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

— Panie! dom się pali! — krzyknął.

Almayer powstał, trzymając się stołu. Krzyki lęku i zgrozy niosły się od osady. Ali załamał ręce, głośno lamentując.

— Cicho, głupcze — rzekł spokojnie Almayer. — Weź mój hamak i kołdry, i zanieś je do drugiego domu. No, prędko.

Dym wydostawał się już przez szczeliny. Ali porwał hamak i jednym susem znalazł się u stóp werandy.

— Zajęło się dobrze — mruknął Almayer. — Spokojnie, Jack! — zwrócił się do małpki, która szarpała się rozpaczliwie, chcąc wyrwać się z uwięzi.

Drzwi pękły od góry do dołu; buchnął ogień i dym, wypierając Almayera aż do balustrady. Wytrwał tam, dopóki potężny huk nad głową nie dał znać, że dach jest w płomieniach. Wówczas zbiegł ze schodów, krztusząc się dymem, który ścigał go i czepiał się niebieskawym wieńcem jego włosów.

Po drugiej stronie rowu, oddzielającego podwórze Almayera od osady, tłum mieszkańców Sambiru gapił się na płonący dom białego. W spokojnem powietrzu bladocęglaste płomienie strzelały wysoko, mieniając się fioletem w jaskrawem słońcu. Cienka kolumna dymu wznosiła się prosto w górę i gubiła w jasnym błękicie. W pustej przestrzeni między dwoma domami ujrzano wyniosłą postać białego, wlokącą się ze spuszczoną głową w kierunku „Fantazji Almayera“.

Tak więc Almayer przeniósł się do nowego domu. Objął w posiadanie świeżą ruinę i w upartym obłędzie swego serca czekał z niepokojem i udręką na zapomnienie, które wciąż jeszcze nie przychodziło. Uczynił wszystko, co tylko mógł. Zniweczył wszelki ślad istnienia Niny, a teraz pytał siebie każdego rana, czy zapomnienie przyjdzie, nim słońce zajdzie? czy wogóle przyjdzie przed śmiercią? Pragnął żyć tylko tak długo, aby móc zapomnieć. Uporczywość pamięci napełniała go przerażeniem i odrazą do śmierci. Jeśli umrze, zanim cel jego życia zostanie osiągnięty, będzie musiał pamiętać na wieki! Tęsknił za samotnością — ale napróżno. W półmroku pokoi — przy zamkniętych okiennicach, w jasnym blasku słońca na werandzie, gdziekolwiek poszedł, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie widział drobną postać dziewczynki o ładnej, ciemnej twarzyczce i długich, czarnych włosach. Różowa sukienka zsuwała jej się z ramionek, a wielkie oczy spoglądały ku niemu z tkliwą ufnością pieszczonego dziecka. Ali nic wprawdzie nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że w domu jest dziecko. Odwiedzając znajomych w osadzie, wiódł nieraz długie rozmowy u ognisk wieczornych i opowiadał zaufanym przyjaciółom o dziwnym zachowaniu się Almayera. Pan jego stał się czarownikiem na stare lata. Gdy tuan Putih pójdzie już spać, słyhać często, jak rozmawia z kimś w swoim pokoju. Alemu zdaje się, że to duch, zaklęty w kształt dziecka. Poznaje to po niektórych słowach i wyrażeniach. Pan mówi niekiedy po malajsku, ale częściej po angielsku; Ali rozumie po angielsku. Czasem pan jest czułym dla dziecka, czasem płacze nad niem, to znów śmieje się, błaga, aby sobie odeszło — przeklina je nawet. Jest to duch zły i uparty. Ali przypuszcza, że pan wywołał go nierozważnie, a teraz nie może się go pozbyć. Pan jest bardzo odważny; nie boi się rzucić

przekleństw na ducha; a raz, to walczył z nim nawet! Ali usłyszał wielki hałas, i bieganinę po pokojach, i jęki. To jego pan jęczał; duchy nie jęczą. Pan jest bardzo odważny, lecz głupi. Przecież ducha zranić nie można. Ali spodziewał się, że na drugi dzień znajdzie pana nieżywego, ale nie. Pan wstał bardzo rano, wyglądał znacznie starzej, niż przedtem i przez cały dzień nic nie jadł.

Oto co rozповідаł Ali w osadzie. Z kapitanem Fordem był daleko rozmowniejszy dla tej prostej przyczyny, że kapitan Ford miał pieniądze i wydawał rozkazy. Za każdą bytnością Forda, który przyjeżdżał co miesiąc, Ali zjawiał się na pokładzie z raportem o mieszkańcu „Fantazji Almayera”. Przybywszy do Sambiru po wyjeździe Niny, Ford zajął się interesami Almayera. Nie przedstawiało to wielkich trudności. Szopa, gdzie chowano zapasy, była pusta, a łódki znikły, rozkradzione nocą przez różnych sambirskich obywateli, łaknących środków przewozowych. W czasie wielkiego wylewu pomost Lingarda i Sp. opuścił wybrzeże i popłynął wdół rzeki, szukając snąc weselszego otoczenia; nawet stado gęsi — „jedynych gęsi na całym wschodnim wybrzeżu” — wyruszyło w świat, przekładając nieznane niebezpieczeństwa, czyhające w lesie, nad opustoszałą siedzibę. Zczasem trawa porośla czarny płat ziemi, gdzie przedtem stał dom Almayera i nie zostało ani śladu z budynku, który chronił młodzieńcze jego nadzieje, marzenia o wspaniałej przyszłości, ocknięcie się jego i rozpacz.

Ford rzadko odwiedzał Almayera, bo nie należało to wcale do przyjemności. Almayer odpowiadał obojętnie na hałaśliwe zapytania o jego zdrowie, usiłował nawet rozmawiać i pytał, co się dzieje, ale czuć było z jego głosu, że nie ma na tym świecie nowiny, któraby go obejść mogła. Zczasem stawał się coraz bardziej milczący, jak gdyby zapominał

stopniowo mówić. Krył się w najciemniejszych zakątkach, gdzie Ford musiał go wyszukiwać, kierując się tupotem małpki, która biegła naprzód. Małpka zjawiała się zawsze na powitanie Forda. Małe zwierzątko objęło najformalniejszą opiekę nad Almayerem; kiedy chciało, aby zjawił się na werandzie, ciągnęło go wytrwale za kurtkę, póki nie wyszedł posłusznie w blask słońca, którego zdawał się tak bardzo nie lubić.

Pewnego ranka Ford zastał go siedzącego na podłodze werandy z plecami opartymi o ścianę; nogi jego wyciągnięte były sztywno, a ręce zwisały bezwładnie. Twarz pozbawiona wyrazu, rozwarte szeroko oczy o nieruchomych źrenicach i sztywność pozy czyniły go podobnym do olbrzymiego pajaca, którego ktoś zepsuł i porzucił. Usłyszał kroki Forda i zwolna obrócił ku niemu głowę.

— Ford — szepnął do niego z podłogi — ja nie mogę zapomnieć.

— Doprawdy? — zapytał dobrodusznie Ford, usiłując być jowialnym, — chciałbym to samo o sobie powiedzieć. Co do mnie, tracę zupełnie pamięć — niema rady, starość! Parę dni temu mój pomocnik —

Zamilkł; Almayer dźwigał się z ziemi, ale potknął się i wsparł na ramieniu przyjaciela.

— Oho, dzisiaj lepiej się czujesz. Wkrótce przydziesz zupełnie do siebie — rzekł wesoło Ford, kryjąc niepokój.

Almayer puścił jego ramię i stał wyprostowany z głową podniesioną i odrzuconemi wtył ramionami. Patrzył kamiennym wzrokiem na niezliczone mnóstwo słońc, jaśniejących w falach rzeki. Kurtka jego i luźne spodnie trzępotały się w wietrze na wychudłych członkach.

— Niech jedzie! — wyszeptał ochryłym głosem. — Niech sobie jedzie. Jutro o niej zapomnę. Jestem człowiekiem twardym — twardym jak skała... jak..

Ford spojrział mu w twarz — i uciekł. Kapitan był sam człowiekiem wytrzymałym — o czym mogą zaświadczyć ci, co z nim żeglowali, ale hart Almayera był ponad jego siły.

Gdy po upływie miesiąca Ford przybył znów do Sambiru, Ali przyszedł się poskarżyć. Żalił się przed Fordem, że Chińczyk Dzim Eng wtargnął do domu Almayera i mieszka tam już od miesiąca.

— I obaj palą — dodał Ali.

Ford gwizdnął przeciągle.

— Opjum?

Ali skinął głową. Ford zamyślił się głęboko i mruknął: „Biedak! im prędzej, tem lepiej”. Po południu poszedł do Almayera.

— Co tu robisz? — spytał Chińczyka, który wałęsał się po werandzie.

Dzim Eng wytłumaczył mu po malajsku monotonnym, bezbarwnym głosem, cechującym długoletnich palaczy opjum, że własny jego dom jest stary, dach zacieka, a podłoga butwieje. Więc, jako dawny przyjaciel z przed wielu, wielu lat, zabrał swoje pieniądze, opjum, dwie fajki i zamieszkał w wielkim domu.

— Tutaj dużo jest miejsca. On pali, a ja tu mieszkam. Nie będzie palił długo — dodał.

— Gdzież on jest? — spytał Ford.

— W swoim pokoju. Śpi teraz — odpowiedział ociężale Dzim Eng.

Ford zajrzał przez drzwi. Dostrzegł w półcieniu Almayera, leżącego nawznak na podłodze, z głową wspar-

tą o drewnianą poduszkę. Długa, biała broda pokrywała mu piersi, cera pożółkła, a z pod przymkniętych powiek wyglądały białka...

Ford wzdygnął się i odwrócił. Wychodząc, zauważył długi pas czerwonego, spleśniałego jedwabiu, pokryty chińskimi głoskami. Dżim Eng przymocował go właśnie do jednego ze słupów werandy.

— Co to takiego? — spytał.

— To jest nazwa tego domu — odrzekł Chińczyk bezbarwnym głosem. — Mój dom tak samo się nazywa. Bardzo dobra nazwa.

Ford popatrzył na niego i odszedł. Nie wiedział, co znaczy warjacki labirynt z chińskich liter na tle czerwonego jedwabiu. Gdyby był spytał Dżim-Enga, cierpliwy Chińczyk wytłumaczyłby z należytą dumą, że napis brzmi: „Dom niebiańskiej rozkoszy”.

Tegoż dnia wieczorem Babalaczi przyszedł w odwiedziny do kapitana Forda. Drzwi od kajuty wychodziły na pokład; na wysokim progu siedział okrakiem Babalaczi, a Ford palił fajkę, wyciągnięty na tapczanie. Parowiec odpływał już nazajutrz rano i stary dyplomata przyszedł, jak zwykle, na ostatnią pogawędkę.

— Mieliśmy wieści z Bali w ostatnim miesiącu — zauważył Babalaczi. — Wnuk urodził się staremu radży i wielka tam radość.

Ford usiadł zaniepokojony.

— Tak — rzekł Babalaczi, odpowiadając na pytające jego spojrzenie. — Powiedziałem mu. To było, nim zaczął palić.

— No i co? — pytał Ford.

— Uszedłem z życiem — ciągnął poważnie Babalaczi, — ponieważ biały człowiek jest bardzo słaby i upadł,

rzucając się na mnie. — Po chwili dodał: — Ona szaleje z radości.

— Pani Almayer?

— Tak. Mieszka w domu naszego radzy. Ona nieprędko umrze. Takie kobiety żyją długo — rzekł Babalaczi z odcieniem żalu w głosie. — Zakopała swoje dolary, ale wiemy w jakim miejscu. Dużo było kłopotu z tem wszystkim. Musieliśmy zapłacić karę i słuchać gróźb białych ludzi. Trzeba być teraz ostrożnym. — Westchnął i zamilkł, lecz po chwili podjął znów z energią:

— Będzie wojna! Tchnienie walki wieje przez wyspy. Czy jeszcze dożyje?... Ach, tuanie, — ciągnął już spokojniej, — stare czasy były najlepsze! Żeglowałem z wojownikami z plemienia Lanun i napadaliśmy w nocy na ciche okręty z białymi żaglami. To było jeszcze, nim angielski radza zaczął rządzić w Kuchingu. Walczyliśmy między sobą i byliśmy szczęśliwi. Teraz, kiedy walczymy z wami, czeka nas tylko śmierć!

Powstał, zabierając się do odejścia. „Tuanie, — rzekł — czy pamiętasz niewolnicę Bulangiego? tę, co narobiła całego tego kłopotu?”

— Pamiętam. Co się z nią stało?

— Wychudła bardzo i nie mogła pracować. Wtedy Bulangi, który jest złodziej i zjadacz świńskiego mięsa, odstąpił mi ją za pięćdziesiąt dolarów. Umieściłem ją wśród moich kobiet, aby stała się tłustą. Pragnąłem usłyszeć jej śmiech, lecz widać urzekł ją ktoś i... parę dni temu... umarła. Nie, tuanie! Czemu mówisz złe słowa? Stary jestem, to prawda, ale dlaczego nie mam pragnąć widoku młodej twarzy i dźwięku młodego głosu? — Urwał i zaśmiał się ponuro, dodając:

— Jestem jak biały człowiek — mówię wiele o tem, co nie powinno znaleźć się na ustach mężczyzn, gdy rozmawiają ze sobą.

I odszedł zgnębiony.

* * *

Milczący, rozkołysany tłum, zbity w półkole u schodów „Fantazji Almayera”, rozwarł się przed gromadką biało odzianych ludzi w turbanach, którzy szli przez trawę ku domowi. Abdulla postępował naprzód, wspierając się na Reszydzie, a za nim kroczyli wszyscy Arabowie z Sambiru. Gdy weszli w szpaler kornego tłumu, podniósł się stłumiony gwar, wśród którego można było rozróżnić jedno, jedyne słowo: „matī”. Abdulla przystanął i rozejrzał się powoli.

— Nie żyje? — spytał.

— Obyś żył wiecznie! — odrzyknął tłum jedno-głośnie, poczem nastąpiła głucha cisza.

Abdulla postąpił kilka kroków i znalazł się po raz ostatni twarzą w twarz z dawnym swym wrogiem. Mimo wszystko, co działo się dawniej, nie był już teraz groźny; leżał sztywny i martwy w bladym świetle wczesnego ranka. Jedyne białe ciało na wschodnim wybrzeżu już nie żyło, a jego duch, wyzwolony z więzów ziemskiej ułudy, stanął przed Nieskończoną Mądrością. Twarz jego, zwróconą ku niebu, przyobłócił spokój, jaki zjawia się po ustąpieniu udręki i bólu. Pogodne oblicze świadczyło bez słów wobec czystych niebios, że ten człowiek, leżący pod objętym wzrokiem tłumu, doznał przed śmiercią łaski zapomnienia.

Abdulla patrzył smutnie na niewiernego, z którym walczył tak długo, którego tylekroć zwyciężał. Prawowier-

ny wyznawca został wynagrodzony! A jednak, w starym sercu Araba drgnęło uczucie żalu za tem, co go odeszło z śmiercią białego. Znikali przyjaciele i wrogowie, miały triumfy i zawody — wszystko, co składa się na życie; przed nim był już tylko kres. Modlitwa wypełni ostatek dni wydzielonych prawowiernemu. Ujął różaniec wiszący u pasa.

— Znalazłem go tak dziś rano — rzekł Ali cichym i wylęklonym głosem.

Abdulla spojrział chłodno raz jeszcze na pogodne oblicze.

— Chodźmy — zwrócił się do Reszyda.

Gdy szli przez tłum, który cofnął się przed nimi, paciorki różańca dzwiękły w dłoni Abdulli, a wargi jego wymówiły uroczystym szeptem imię Allaha, który jest łaski pełen i miłosierdzia.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-290 Warszawa
Tel. 26-58-63, 26-52-81 w. 42

F

492